



*Małgorzata J.
Kursa*



*EKOLOGICZNA
ZEMSTA*

Oświadczam stanowczo, że nie odpowiadam za poglądy oraz
nietypowe pomysły bohaterów tej książki.

Z poważaniem – autorka.

Malwina Letycja Pędziwiatr liczyła sobie czterdzieści sześć wiosen i wyglądała jak starszy klon swojej córki. Była kobietą zadbaną, elegancką i niezależną. Wszystkie te cechy robiły wrażenie na płci przeciwnej, którą jednak Malwina ostentacyjnie gardziła. Ojciec jej jedynej córki zaraz po ślubie utrwalił w niej przekonanie, że mężczyźni składają się głównie z wad. Gdyby jakaś jednostka posiadała minimum zalet, krytycznie nastawioną Malwina nie dostrzegłaby ich nawet przez mikroskop elektronowy. Od lat egzystowała jako singiel i bardzo sobie ten stan chwaliła.

Wiadomość, że jej ukochana córka zamierza zamienić państwo na małżeńskie kajdany, wstrząsnęła nią potwornie. Do tej pory wydawało się jej, że urodziła i wychowała dziecko inteligentne. Okazana znieczeka przez córkę głupota zachwiała w niej to przekonanie. Wymogła na kanadyjskim pracodawcy tygodniowy urlop i pognęła do ojczyzny ratować jedynaczkę.

Lot do Polski przetrwała z zamkniętymi oczami, ignorując głupie insynuacje stewardesy, że boi się latać. Była tak zaabsorbowana swoimi myślami, że w tej chwili tylko katastrofa mogłaby ją poruszyć.

Usiłowała sobie bowiem wyobrazić tego potwora płci męskiej, który otumaniał jej córkę. Raz jawił się jej pryszczaty młodzian z tłustymi włosami związanymi w kitkę, pokancerowany kolczykami w dziwnych miejscach i mówiący przez nos, a zaraz potem stawał jej przed oczami krzepki osiłek, u którego cały impet ewolucji poszedł w mięśnie, nie tykając rozumu. Wyobrażała go sobie również jako bufonowate – go intelektualistę w okularach, nadętego swoją wątpliwą mądrością i patrzącego na wszystkich z góry. Żaden z tych obrazów jej nie zachwycił i na lotnisku w Warszawie opuszczała samolot w stanie bliskim depresji.

Przesiadła się do autokaru i usiłowała opracować strategię, która zniechęciłaby ukochaną Lukrecję do debilnego wybranka. Wiedziała, że

lekkie nie będzie. Jej jedyne dziecko dysponowało cechą niegdyś zachwycającą, a obecnie mocno denerwującą, mianowicie uporem. Po wielogodzinnych rozmyślaniach nabawiła się w końcu bólu głowy. Postanowiła jednak, że najpierw uważnie przyjrzy się hipotetycznemu zięciowi, by potem przekonująco mogła go krytykować.

Szoku doznała już przy pierwszym spotkaniu z Łukaszem. Chłopak wyglądał normalnie. Na oko nie dało się zauważyć żadnych niedoróbek i Malwina pomyślała, że będzie gorzej, niż jej się wydawało. W dodatku bez problemu wyczuł, w jaki sposób podała mu rękę, i nie rwał się do całowania, pozbawiając ją możliwości złośliwej riposty. Za to na powitanie przyszłej teściowej wystąpił z niebanalnym bukietem – wręczył jej przepiękne ozdobne osty. Zachwyciły ją od razu, ale nie byłaby sobą, gdyby cierpko nie spytała:

– To ma być aluzja do instytucji teściowej?

Miała nadzieję, że go speszy, ale się przeliczyła. Łukasz tylko się uśmiechnął i odparł, że nie ma pojęcia o tej instytucji, bo debiutuje w roli męża i zięcia. Malwina zauważywszy nieszczęśliwą minę córki, zamilkła, by oszczędzić jej dodatkowych stresów. Co się odwlecze, to nie uciecze. Jeszcze dopadnie tego cwaniaczka i zdąży go nauczyć szacunku dla kobiet.

Rodzinę Łukasza potraktowała bez złośliwości, bo zauważyła, że wszyscy są jej córką zachwyceni. Ceremonię ślubną przetrzymała z zaciśniętymi zębami, zmuszając się, by nie przepędzić zgromadzenia na cztery wiatry, ale zaraz po weselu wróciła do Kanady. Wytrzymała tam jeszcze pół roku, aż wreszcie uznała, że miesiąc miodowy Szczęśnych dawno minął i powinna bronić interesów córki. Zrezygnowała z dobrze płatnej pracy i wróciła na stałe do Kraśnika. Po czym stała się rzecz straszna – nie wiadomo jak i kiedy Malwina szczerze polubiła zięcia. Wielką

przyjemnością stało się dla niej wspólne oglądanie filmów kryminalnych, podczas których obydwójce typowali morderców. Odkryła też, że praca policjanta jest fascynująca i zadawała setki pytań, na które Łukasz cierpliwie odpowiadał. W takiej sytuacji nie miała wyjścia. Postanowiła zapomnieć, że zięć należy do wybrakowanego rodzaju męskiego i przemianować go na syna. Syna mogła ścierpieć. W końcu gdyby sama go urodziła, też musiałyby go znosić na co dzień.

Ku swojemu zdziwieniu zdobyła się również bez wielkiej przykrości na akceptację kolejnego przedstawiciela znieawidzonego męskiego rodu. Doktor Janusz Wroński, częsty gość młodych Szczęśnych, małżonek Moniki, przyjaciółki córki jeszcze z czasów dzieciństwa, okazał się interesującym rozmówcą i wielbicielem jej kuchni. Malwina niechętnie uznała, że bywają wyjątki, i zaprzestała wojny podjazdowej wobec obu panów.

Parę miesięcy od jej powrotu zleciało nie wiadomo kiedy. Młodzi pracowali, Malwina zajmowała się domem i ogrodem. Nie żałowała, że wróciła. Na koncie miała dość pieniędzy, by zaspokoić swoje nagłe fanaberie. Na razie odpoczywała i odnawiała dawne znajomości. I dziwiła się. Spotykane na ulicy rówieśnice stanowiły widok przerażający. Te, które pracowały, jeszcze się trzymały, jednak nie bardzo dawało się z nimi rozmawiać. Tryskała z nich, widoczna gołym okiem, zazdrość i obłudne politowanie, kiedy dowiadywały się, że Malwina dokarmiała bogatych imperialistów. Te, które utknęły przy podtrzymywaniu domowego ogniska, wzbudzały litość. Wypchane siaty, włosy od lat nie oglądające przyzwoitego fryzjera, zaniedbana cera, workowate ciuchy z odzysku i totalne zgorzknienie. Narzekały na wszystko, co skutecznie zniechęcało Malwinę do dyskusji i napełniało ją złością, bo uważała, że same są sobie winne. Nikt

im nie kazał tkwić na wieki u boku leniwych i głupich bęcwałów. Instytucja rozwodów trzymała się krzepko i każda mogła z niej skorzystać, zamiast zazdrościć wolności Malwinie.

Pewnego dnia wracająca z pracy Luka zastała matkę w ogrodzie. Malwina tkwiła w dziwnej pozycji, jakby kontemlowała widoki sąsiedniej posesji. Wsparła się o płot, wypinając tylną część ciała i ponuro patrzyła przed siebie.

– Mamo, co robisz? – Luka stanęła na chodniku i spojrzała na matkę niepewnie.

– Ryby sobie łowię – odparła zgryźliwie Malwina i z wysiłkiem powstrzymała bolesne stęknienie. -

Zdaje się, że będziecie mieli dodatkową atrakcję. Będę tak tkwiła, dopóki całkowicie się nie rozsypię.

– Co ci się stało? – usiłowała się dowiedzieć zaniepokojona Luka.

– A czy to nie wszystko jedno? – burknęła Malwina, ostrożnie przenosząc ciężar ciała na drugą nogę. – Coś mi trzasnęło w krzyżu, kiedy próbowałam wykopać ten zdechły berberys tam w kącie... Przez chwilę byłam pewna, że zaraz umrę – wyznała z westchnieniem. – Nie pamiętam, żeby mnie kiedykolwiek tak bolało. Na szczęście w porę przypomniałam sobie, że nie mam pojęcia, czy ten cholerny Pędziwiatr żyje, a nie napisałam testamentu. W grobie bym się przewróciła, gdyby ktoś z tej rodziny wyciągnął łapę po to, co należy do ciebie...

– Mamo! – Luka przestraszyła się nie na żarty. – Dlaczego nie poczekałaś, aż Łukasz wróci? Dasz radę dojść do domu? Zadzwoń do Janusza, może coś wymyśli.

– Zadzwoń – zgodziła się Malwina i mocniej ścisnęła sztchetę. – Nie dam rady dojść do domu i niech nikt się nie waży ruszać mnie stąd, bo

zabiję. I doktora też zabiję, jeśli mnie dotknie. Masz mu to powtórzyć – zażądała stanowczo.

Ciężko przerażona Luka po chwili wahania przysiadła na schodku i wygrzebała z torebki komórkę. Nie spuszczać oka z matki, wystukała znajomy numer.

– Janusz? Przepraszam, że zawracam ci głowę. – Malwina u płotu wydała z siebie oburzone sapnięcie. – Mamie coś się stało i nie może się ruszyć... Nie, mówi, że robiła coś w ogrodzie i strzeliło jej w krzyżu... Dysk? Nie mam pojęcia. Zaraz, poczekaj... Mamo, miałaś kiedyś kłopoty z kręgosłupem?

– Do tej pory egzystowaliśmy na zasadzie wzajemnego zrozumienia: on działał, a ja mu w tym nie przeszkadzałam – odparła cierpko Malwina. – Powiedz doktorowi, że dopuszczam tę diagnozę, ale i tak nie pozwolę się dotknąć. Niech wymyśli coś, żeby mi pomogło bez macania. I niech zrobi to szybko, bo mnie już nogi bolą!

– Janusz... A, słyszałeś. – Luka westchnęła. – Co mam robić? Mama jest w ogródku i nie może wejść do domu. Może wezwać pogotowie?

– Żadnego pogotowia! – warknęła od płotu Malwina. – Nie życzę sobie, żeby praktykował na mnie jakiś medyczny bałwan!

– Janusz... A, słyszałeś... Czekaj, a może... Poczekaj moment... Mamo – zaszemrała niepewnie – może zgodziłabyś się na Monikę, co? Ona by cię... Co mówisz? – usłyszała w aparacie rozweselony głos Wrońskiego. – Aha... Aha... Jesteś pewien? A ona by mogła tu do domu? Aha... Ale, Janusz, ale ja bym chciała, żeby szybko, bo mamę nogi już bolą... Aha, na domkach... Myślisz, że przyjdzie? No dobrze, to poczekam. Dzięki.

– Poczekam! – Malwina sapnęła z irytacją i znowu ostrożnie przestąpiła z nogi na nogę. – Siedzisz sobie wygodnie, to możesz czekać do

końca świata, a co ja mam zrobić? Co tam doktor wymyślił? Że Monika ma mnie obmacywać? Co mi to pomoże?

– Nie Monika, mamo – powiedziała niepewnie Luka. – Doktor Salecki, znajomy Janusza, zna kobietę, która zajmuje się medycyną naturalną. Podobno pomogła już wielu ludziom. Salecki do niej zadzwoni. Wytrzymaj jeszcze trochę, mamo.

– Będzie mnie okadzała czy odczyni uroki? – zapytała zgryźliwie Malwina.

– Raczej nie. – Luka nie dała się wyprowadzić z równowagi. – Chyba wiem, o kim Janusz mówił.

Niedaleko starego przystanku jest mały salon masażu. Nazywa się MARTA. Kamila tam była, kiedy naciągnęła nogę w kostce. Podobno Luiza chciała napisać o nim artykuł, ale ją ta właścicielka pogoniła. Słyszałam, że starsze panie chodzą tam na masaże...

– Ciekawe, jak sobie wyobrażasz masaż w takich warunkach, moja uczona córko – warknęła Malwina, bo czuła, że jeszcze moment, a jej nogi zamienią się w kamień. – I nie rób ze mnie starszej pani!

– ... ale ta właścicielka podobno jest też bioterapeutką – kontynuowała niewzruszona Luka. – Przecież Janusz jest lekarzem. Nie polecałby kogoś niesprawdzonego. A już na pewno nie tobie – podkreśliła z naciskiem. – Ona mieszka na domkach. Powinna niedługo przyjść, bo inaczej Janusz by zadzwonił i po...

– Dzień dobry. – Przy furtce stanęła drobna czarnowłosa kobieta. Zerknęła na trzymaną w dłoni kartkę, potem na dziwacznie zgiętą Malwinę i z ulgą powiedziała: – Chyba dobrze trafiłam. – Pchnęła furtkę i weszła na podwórko. – Zwykle zapraszam pacjentów do siebie, ale Kamil mówił, że to dysk, więc przyszedłam od razu. Na szczęście mieszkam niedaleko.

Postawiła na ziemi wypchaną torbę i podeszła do nadętej i wyraźnie sceptycznej Malwiny.

– Nazywam się Marta Artymowicz. Zajmuję się medycyną naturalną. Proszę się nie obawiać, współpracuję z lekarzami. Mam dyplom pielęgniarki – uśmiechnęła się uspokajająco. – Zbadam panią, ale bez dotykania. Wiem, że musi bardzo boleć. Chcę najpierw sprawdzić, czy Kamil miał rację, stawiając diagnozę.

Luka odetchnęła z ulgą, bo matka wydeła wargi z widocznym powątpiewaniem, ale nie wygłosiła żadnego komentarza. Z zainteresowaniem przyglądała się, jak kobieta przesuwając drobne dłonie nad wypiętą Malwiną, a potem kiwa głową.

– Musiała pani wykonać jakiś gwałtowny ruch – powiedziała ze współczuciem. – Da pani radę wejść do domu?

– Po moim trupie! – oznajmiła twardo Malwina. – Wolę tu umrzeć, niż się ruszyć. A ruch, owszem, wykonałam. Usiłowałam wydrzeć z ziemi to badziewie pod płotem.

– Rozumiem. – W oczach potencjalnej wybawicielki błysnęło rozbawienie. Rozejrzała się bystro i z namysłem powiedziała: – W normalnych warunkach najpierw bym panią znieczuliła, ale coś mi się zdaje, że już długo pani w tej pozycji nie wytrzyma. Chyba muszę zadziałać radykalnie...

– Da mi pani w łeb i przestanie mnie wszystko boleć? – zainteresowała się cierpko Malwina.

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, przed domem zatrzymał się zakurzony jeep i wysiadł z niego Łukasz. Na widok zgromadzenia przy płocie, przyśpieszył kroku.

– Dzień dobry, pani Marto. – W głosie miał niepokój. – Co panią do

nas... Mamo, co się stało?

– Wszystkim po kolei mam tłumaczyć? – zniecierpliwiła się zgięta Malwina, która wyraźnie czuła, że zaczyna wrastać w podłogę. – Niechże pani wreszcie coś zrobi, na litość boską!

Marta Artymowicz natychmiast rozpoznała syna swojego stałego pacjenta i odetchnęła z ulgą. Kiwnęła na niego ponagląco, ustawiła się w odpowiedniej pozycji i powiedziała półgłosem:

– Pamiętasz, jak twój ojciec... No właśnie. Kawał chłopca z ciebie, pomożesz mi. Stań tutaj. Wiesz, co masz robić?

Łukaszowi stanął przed oczami obraz jego protoplasty tkwiącego w przerażonym bezruchu na drabince, kapiącej z pędzla wściekle zielonej farby i tej niepozornej istoty dokonującej cudu jednym gestem. Skinął głową i stanął za teściową, w każdej chwili gotów ją podtrzymać.

Malwina miała dość. Nogi ciążyły jej jak ołowiane kule. Bała się ruszyć, bo natychmiast przeszywał ją straszliwy ból. Nie miała nawet siły, żeby uczciwie wrzasnąć. Zmobilizowała się resztkami uporów. Ostrożnie nabrała powietrza, by uświadomić otoczeniu, jak okropnie cierpi, i w tym momencie Marta jednym ruchem oderwała ją od opoki. Malwina nie krzyknęła tylko dlatego, że brakło jej tchu. Przeszył ją potworny ból, coś jej chrupnęło w kręgosłupie i zrobiło się jej ciemno przed oczami. Łukasz błyskawicznie przytrzymał ją w odpowiedniej pozycji, a Marta położyła dłonie na jej krzyżu. Malwina poczuła rozlewające się po jej ciele przyjemne ciepło i zastygła w bezruchu, bo nagle przeraziła się, że teraz będzie musiała sterczeć solo, bez żadnej podpory. Jęknęła mimowolnie i natychmiast usłyszała uspokajające stwierdzenie:

– Już dobrze... Łukasz? Dobrze pamiętam? Łukasz powoli zaprowadzi panią do domu, a ty, dziecko – obejrzała się na milczącą Lukę – przygotuj

jakieś leże. Zrobię mamie masaż rozluźniający i pewnie zaśnie...

– Nigdy nie śpiam w dzień – oznajmiła wyniośle Malwina, ostrożnie drepcząc u boku zięcia.

– No to nie zaśnie – zgodziła się Marta. – Ale przynajmniej nie będzie bolało, a jutro wstanie pani jak nowa.

Kiedy pół godziny później wyszła od pacjentki, młodzi spojrzeli na nią z napięciem. Uśmiechnęła się i uspokajająco powiedziała:

– Mówiłam, że zaśnie. Nie bójcie się o nią. Na to się nie umiera. Wystarczy, jeśli przez jakiś czas nie będzie się rwała do prac ogrodniczych. No i niech unika gwałtownych ruchów.

– Z tym może być kłopot – wyrwało się Łukaszowi. – Mama jest dosyć... energiczną osobą.

– Energia jeszcze nikomu nie zaszkodziła. – Marta wzruszyła ramionami. – Nic jej nie będzie. Twój ojciec po moich zabiegach nie składał reklamacji... No, dobrze, dzieciaki – spojrzała na zegarek. – Idę już sobie, bo mój mąż znowu będzie narzekał.

– Zaraz. – Luka się poderwała. – A pieniądze? Przecież musimy...

– Za pierwszą wizytę nie biorę pieniędzy od nikogo.

– Proszę pani, czy ja bym... – Luka przytrzymała ją za ramię. – Czy ja bym mogła o pani napisać? O tym, co pani robi?

– A co ja robię? – Marta spojrzała na nią niecierpliwie. – Pomagam ludziom, którzy tej pomocy potrzebują, i to wszystko. Nie mam czasu na głupoty, a reklamy nie potrzebuję. Ludzie sami do mnie przychodzą. – Zobaczyła rumieniec na twarzy dziewczyny i łagodniej dodała: – Nie bierz tego do siebie, dzieciaku. Już Marek Dorosz chciał zrobić program na ten temat. Też go pogoniłam. Chyba nie mam parcia na szczyty... No, trzymajcie się. Naprawdę muszę iść.

Malwina wyszła z gabinetu swojej wybawiciel – ki zadowolona i pełna energii. Wreszcie spotkała przedstawicielkę swojej płci, która nie narzekała, za to umiała słuchać i zadawać właściwe pytania. Malwina nawet nie zauważyła, kiedy opowiedziała jej o swoim pobycie w Kanadzie, rozczarowaniu, jakie sprawiły jej dawne znajome. Wyznała, że zaczyna się straszliwie nudzić. Jedno słowo z ust Marty sprawiło, że nagle otworzyły się przed nią nowe możliwości. Postanowiła zostać bizneswoman. W wydaniu kraśnickim.

Siedziała teraz na ławce w parku, nie zważając na wiosenny chłód, i bardzo intensywnie myślała. Pieniądze miała, więc kredyty mogła sobie odpuścić, jednakowoż nie widziała powodu, dla którego miałyby rezygnować z unijnych dotacji.

Możliwości były wielkie, ale Malwina nie wiedziała, która z nich jest dla niej najlepsza. I wtedy usłyszała rozmowę dwóch dziadków. Siedzieli na ławce, od której Malwinę oddzielała nieczynna fontanna, ale widocznie obaj byli nieco głusi, bo dolatywało do niej każde słowo. Narzekali, że mięso drogie, gotowanie nie bardzo im wychodzi, a ileż można jeść kaszankę na gorąco. Z rozmarzeniem wspominali zupy gotowane przez nieżyjące małżonki, a przy pierogach oczy im wyraźnie zwilgotniały.

To było to! Malwina poczuła, jak robi się jej gorąco z wrażenia.

Energicznie poderwała się z ławki i bardzo zamyślona podreptała do domu.

– Wiecie, dzieci – zaczęła Malwina wieczorem przy kolacji – przydałby mi się samochód. Możliwe, że będę musiała pojeździć po okolicy, a miejski transport zdecydowanie mi nie odpowiada.

– Możesz jeździć moim – powiedziała życzliwie Luka, przetykając pośpiesznie pożywienie. – Ja i tak latam na piechotę albo mnie Łukasz

podwozi.

Malwina wydeła usta i obrzuciła córkę wyniosłym spojrzeniem.

– Nie będę jeździć twoim – stwierdziła stanowczo. – Wcale nie jestem pewna, czy to coś zasługuje na miano samochodu. Częściej stoi w warsztacie niż jeździ. Mam pieniądze i chcę kupić auto, które będzie pasowało do mojej osobowości.

Łukaszowi przeszło przez głowę, że w takim razie teściowa powinna nabyć czołg, ale przytomnie zachował ten pomysł dla siebie. Zobaczył, że jego żona blednie z obrazy i szybko powiedział:

– Nie ma problemu. Możemy skoczyć do komisju albo na giełdę. Radziłbym komis. Pewniejszy. A co z prawem jazdy?

– Synku – Malwina popatrzyła na niego spode łba – w Kanadzie też jeździłam. Miałam do dyspozycji bardzo przyjemnego austina. Teraz wolałabym coś większego. A prawo jazdy mam międzynarodowe. Wyrobiłam jeszcze przed wyjazdem.

Łukasz usiłował sobie przypomnieć, jak długo jest ważne to prawo jazdy i ile lat temu teściowa wyjechała. Nagle coś mu przyszło do głowy.

– Mamo – zapytał ostrożnie – a dowód też mama wyrobiła przed wyjazdem?

– Jaki dowód? – Malwina spojrzała na niego nieufnie. – W Kanadzie posługiwałam się paszportem. Dowód nie był mi potrzebny.

Luka ze świstem wciągnęła powietrze i rzuciła mężowi rozpaczliwe spojrzenie. Łukasz westchnął ciężko, podrapał się po głowie i smętnie powiedział:

– No to mamy problem. Termin wymiany dowodów dawno minął. To nie Kanada. Bez paszportu może mama tu spokojnie się obejść. Bez dowodu nie da rady. Wystarczy byle glina. Może mamy nie zamkną, ale na pewno

skasują na jakieś pięć tysięcy. Trzeba to załatwić. Najpierw dowód, a potem samochód. Inaczej się nie da... Rany, naprawdę mama nie wiedziała, że jest wymiana? W tej Kanadzie Polonia nie odbiera?

– Odbiera – warknęła Malwina. – A ja też nie gamoń i język polski znam. I nikt mnie nie zmusi, żebym oglądała jakieś reżimowe programy!

– Ale, mamó – Luka o mało się nie udławiła – jakie reżimowe? Oni przez cały czas mówią, że mają misję. Dlaczego reżimowe?

– Misję! – prychnęła pogardliwie Malwina. – Za PRL – u też mieli taką misję, tylko głośno o niej nie mówili.

– A co się mamie nie podoba? – zainteresował się Łukasz. – Przecież oni robią programy dla Polaków za granicą..

– Oni nie robią programów dla Polaków za granicą – wyrębała twardo rozeźlona Malwina. – Oni uważają, że elita umysłowa siedzi w kraju, a za granicę wyjechała debilna hołota. I tę hołotę usiłują wychowywać. A ja się na to nie zgadzam! Dawno wyrosłam ze szkolnej ławki i jakaś siusiumajtka nie będzie mi dyktowała, kogo mam lubić, a kogo nie! To się właśnie nazywa reżim!

– Ale dlaczego... – Łukasz urwał, bo doznał olśnienia. – Oglądała mama jeden z tych „jedynie słusznych” programów publicystycznych!

– A co to takiego? – zapytała nieufnie Malwina i nie czekając na odpowiedź, gniewnie powiedziała: – Były Zaduszki i popadłam w nostalgię. Kanadyjczycy nie mają takich zwyczajów. Chciałam poczuć trochę naszego ducha i miałam nadzieję, że pokażą Powązki albo jakieś kresowe cmentarze. No i pokazali – aż sapnęła ze złości. – Potężne, kamienne kolubryny z epoki gomulłowskiej. Z odpowiednim komentarzem.

Łukasz wolał nie dociekać z jakim, ale Luka uznała, że matka przesadza.

– Mamo – powiedziała łagodząc – teraz taka moda, żeby mówić źle o wszystkim, co było kiedyś.

Na Malwinę to stwierdzenie podziałało jak płachta na byka. Poczerwieniała ze złości i rąbnęła pięścią w stół.

– I co? Jak wywalę wszystkich komunistycznych nieboszczyków, od razu zrobi się lepiej? Alzheimera jeszcze nie mam! Sama pamiętam, jak było kiedyś! Nie upieram się, że świetnie, ale od narzekania nic się nie zmieni!

– Ale dowód i tak mama musi wyrobić. – Łukasz rozsądnie wrócił do meritum. – Popytam jutro. Pewnie trzeba będzie napisać jakieś przekonujące wyjaśnienie i może da radę bez wielkiego płacenia.

– Nie kombinowałam w PRL – u, nie będę i teraz – powiedziała twardo Malwina. – Napiszę świętą prawdę: że byłam w Kanadzie i nie wiedziałam. I nie mam zamiaru płacić więcej niż inni.

– I musisz zrobić zdjęcia – dodała pośpiesznie Luka. – Znam taki mały zakład... Nie – uprzedziła wybuch matki. – Teraz się nie czeka. Robią od ręki. Trzeba tylko zaznaczyć, że to do dowodu.

Malwina dość pośpiesznie opuściła zakład fotograficzny. Wprawdzie zrobiła i od razu odebrała zdjęcia potrzebne jej do wyrobienia nowego dowodu, ale przy okazji została zmuszona do wyjęcia z uszu swoich najpiękniejszych złotych kolczyków. Wbrew sobie, i w dodatku idiotycznie.

Panienka obsługująca aparat obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem i oznajmiła:

– Jest pani zakolczykowana. Proszę zdjąć. Przepisy takie. Do dowodu bez kolczyków.

Malwina natychmiast poczuła się znieważona i kiedy głos jej wrócił, wysyczała jadowicie:

– Zakolczykowana to może być Świnia, droga pani. Kobieta co

najwyżej może być ozdobiona. Jeśli pani nie widzi różnicy, to nie jestem pewna, czy umie pani robić zdjęcia.

– Do dowodu bez ozdób – zignorowała ją panienska, nie dając się wyprowadzić z równowagi. – Proszę zdjąć.

Nawet bez ukochanych ozdób na fotografiach Malwina wyglądała całkiem przyzwoicie, co spowodowało, że złość z niej nieco uszła. I pewnie wszystko byłoby w porządku, gdyby udała się prosto do domu. Uznała jednak, że musi zrobić zakupy. Spożywcze.

W kilku sklepach, do których zajrzała, nie znalazła upragnionych przypraw. Przypomniała sobie wetkniętą do skrzynki listowej ulotkę. Jeden z supermarketów zapowiadał włoski dzień. Malwina była zdania, że kto jak kto, ale Włosi znają się na gotowaniu, więc tam pomaszzerowała.

Na parkingu przed supermarketem panował duży ruch i Malwina była zmuszona tkwić w miejscu, przeczekując kolejne wyjeżdżające samochody. Zacisnęła zęby, bo rozmaite określenia odnoszące się do umiejętności kierowców same pchały się na usta jednostki obytej w świecie. Kiedy wreszcie udało jej się dotrzeć do wejścia, zajrzała do środka. Poczula ogromne zniechęcenie do osobistego wizytowania przybytku, jednak się przemogła. Pomyślała, że nie będzie sobie zawracać głowy żadnymi wózkami. Nie zamierzała kupować całego sklepu, tylko parę niewielkich torebeczek, ewentualnie słoiczków z przyprawami. Sama myśl o lawirowaniu wózkiem w tym kłębiącym się tłumie była nieprzyjemna. Uznała, że ekologiczna torba, którą miała ze sobą, wystarczy na zakupy.

Z determinacją weszła do środka, majtnęła torbą w stronę zajętej kasjerki, by pokazać, że pusta, i ruszyła wzdłuż półek, wypatrując stoiska z włoskimi artykułami.

Zajęta lawirowaniem pomiędzy ludźmi i wózkami, mamrocząca w

duchu inwektywy pod adresem wątpliwej inteligencji kupujących nie zauważyła, że z uwagą obserwuje ją przystojny młodzian. Chłopię, zdecydowanie włoskiego typu urody oraz kolorytu, wyglądało jak naburmuszony kupidynek i było odziane w ciemną bluzę z napisem OCHRONA.

Niczego nie podejrzewająca Malwina dotarła w końcu do upragnionego stoiska i rozpromieniła się na widok znajomych etykiet. W małym kanadyjskim miasteczku, gdzie prowadziła kuchnię w sympatycznym pensjonacie, był nieduży sklepik prowadzony przez włoską matronę. Dzięki niej Malwina dowiedziała się o kuchni włoskiej wielu pożytecznych rzeczy i nauczyła się języka na tyle, by rozumieć oznakowania na produktach. Dlatego teraz z rozanieloną miną, zapominając o całym świecie, grzebała pośród towarów i pomrukiwała z zadowoleniem, gdy trafiła na coś szczególnie upragnionego. Wybrane produkty beztrąsko wtykała do jadowicie zielonej torby.

Ciemnowłosa i śniadolicz kupidynek zakotwiczył nieco dalej i z wielkim natężeniem przyglądał się poczynaniom potencjalnej złodziejki. Adrenalina w nim buzowała, ale czekał, aż zwierzyna chyłkiem oddali się z miejsca przestępstwa i będzie usiłowała rozpląnąć się w tłumie. W uszach grały mu surmy bojowe, a duma, że już pierwszego dnia pracy wykaże się instynktem łowieckim, mało go nie rozsadziła. Przestał zwracać uwagę na kłębiących się wokół klientów – mogli w tej chwili wynieść pół sklepu. Interesowała go tylko ta kobieta.

Malwina z uczuciem głębokiego zadowolenia dołożyła do torby słoiczek oryginalnego sosu bolońskiego – go i uznała, że wystarczy tego dobrego. Zrobi dzieciom prawdziwy włoski obiad, bo oczywiście nabyła też spaghetti i parmezan. Energicznie ruszyła w stronę kas, przepychając się

między cholernymi wózkami.

Udało jej się wyjść spomiędzy pólek, kiedy poczuła, że ktoś obcesowo łapie ją za ramię, i w tym samym momencie usłyszała krótkie, dość piskliwe:

– Stać!

Obejrzała się, zaskoczona, i ujrzała przed sobą młodziana o urodzie południowca, który natychmiast dodał podniesionym tonem:

– Proszę pokazać, co pani ma w torbie!

– Zakupy mam, młody człowieku – wyjaśniła niecierpliwie i strząsnęła z siebie jego rękę. – I nie przeszkadzaj mi, bo się śpieszę. Muszę jakoś dotrzeć do kasy, a to nie takie proste. – Obrzuciła wymownym wzrokiem depczący sobie po piętach ludzki gąszcz.

– Pójdzie pani ze mną! – oznajmił twardo młody człowiek. – Widziałem, jak pani kradła towar!

– Nigdzie z tobą nie pójdę, chłopcze – powiedziała niecierpliwie Malwina i nagle dotarły do niej słowa ochroniarza. Wyprostowała się z godnością, popatrzyła na chłopaka jak na coś obrzydliwego, co znienacka pojawiło się na jej drodze, i gniewnie warknęła: – Won! Nie będzie mnie tu byle gówniarz obrażał! Zjeżdżaj, smarkaczu, bo wezwę policję!

Wokół nich zaczęło się robić zbiegowisko i Malwina poczuła, że za chwilę trafi ją szlag. Potoczyła po gawiedzi ognistym wzrokiem i wściekłym tonem oznajmiła:

– Nie macie na co się gapić. Zejdź mi z drogi, chłopcze. Idę do kasy.

– Żadne takie! – z werwą zaprotestował kupidynek, widząc, że zwierzyna wymyka mu się z rąk. – Wszystko widziałem! Kradła pani towar!

Malwina przyjrzała się z uwagą ochroniarzowi, popukała palcem w czoło i poradziła, żeby zmierzył sobie gorączkę. Tłum wokół zafalował i

żądny sensacji zacieśnił krąg. Kiedy ktoś rzucił z niezdrową satysfakcją „złodziejka”, Malwina nie wytrzymała.

– Dość tego! – warknęła rozwścieczona. – Co to za sklep? Mało, że się narusza nietykalność osobistą klienta, to jeszcze zapłacić nie dają! Dzwonię na policję! Won! Zabieraj tę łapę, gówniarzu, bo cię zaskarżę! – rzuciła ambitnemu młodzieńcowi spojrzenie, które powinno było wbić go natychmiast w posadzkę, ale widocznie był uodporniony na wszelkie inwektywy, bo tylko jeszcze bardziej się nadał.

Telefon do zięcia Malwina miała wpisany w komórkę. Nigdy by jej do głowy nie przyszło, że będzie zmuszona użyć go w takich okolicznościach, ale nie zastanawiała się ani chwili. Miała jednakże tyle przytomności umysłu, że nie chciała się zdradzić ze związkami rodzinnymi.

– Policja? Proszę natychmiast przyjechać na... – podała adres sklepu. – Jakiś debil z ochrony uważa, że złapał mnie na kradzieży. Życzę sobie wyjaśnić sprawę i żądam przeprosin.

Rozłączyła się od razu po przekazaniu wiadomości, więc nie usłyszała Łukaszowego: „Rany boskie, już jadę”. Nie zaświtała jej nawet myśl, że zięć mógłby nie spełnić polecenia.

Następnie zażądała jakiegokolwiek sprzętu do siedzenia. Drugi ochroniarz przyniósł jej drewniany taboret, a potem zaczął cichą rozmowę z agresywnym kupidynkiem. Po chwili wykonał gest, jakby chciał się złapać za głowę, zawinął się na pięcie i pognał gdzieś na zaplecze. Włoskiej urody młodzian, napęczniony poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, pozostał na straży.

Tłumek w pobliżu podzielił się na dwa obozy. Jedni kibicowali Malwinie i przekonywali opozycję, że złodziej nie wzywa policji, a ochroniarz ma prowizję od każdego złapanego, więc łapie, jak leci. Inni

twierdzili, że właśnie policja chroni przede wszystkim bandytów, a nie obywateli, więc z tą kradzieżą coś tam musi być na rzeczy.

Malwina zносиła to wszystko z wyniosłą miną i z wyraźnym obrzydzeniem spoglądała na sprawcę zamieszania. Miała rację. Zawsze była zdania, że mężczyźni to dranie albo idioci. I proszę. Jak można zatrudnić na stanowisku ochroniarza smarkacza, który naoglądał się amerykańskich filmów akcji? Kobiety najpierw myślą, a dopiero potem biorą się za działanie. A toto? Wbiło sobie coś idiotycznego do głowy i łopatą mu nie wyłożysz, że palnął głupotę.

Łukasz i jego kolega weszli do sklepu w tym samym momencie, kiedy do siedzącej, nabzdyczonej Malwiny podszedł szef ochrony z pracownikiem, który wcześniej rozmawiał z kupidynkiem.

– Ogromnie panią przepraszamy – zaczął szef z największą uprzejmością. Tłum otaczający potencjalną złodziejkę zafalował i nadstawił ucha. – To nieporozumienie...

Malwina dojrzała zięcia i poczuła ulgę. Jego głupotę wykluczyła przy bliższym poznaniu, mogła być pewna, że ma w nim wsparcie. I mogła sobie wreszcie pozwolić na uzewnętrznienie uczuć, które się w niej kłębiły.

– Nieporozumienie? – wysyczała, posyłając szefowi jadowite spojrzenie. – Ten młody debil – ręką wskazała kupidynka – nazwał mnie złodziejką w sklepie pełnym ludzi!

Łukasz ogarnął sytuację wzrokiem, popatrzył na nabuzowanego adrenaliną młodzieńca i poczuł ulgę. Bardzo by się zdziwił, gdyby okazało się, że jego teściowa cierpi na kleptomanię. Luka go o niczym takim nie uprzedzała, a i Malwina nie zdradzała przez te parę miesięcy niepokojących objawów.

– Policja! – Błysnął odznaką na użytek publiczności i bardzo

służbowo zapytał: – Czy tę panią zatrzymano po ominięciu kasy, czy jeszcze na terenie hali sprzedażowej?

– No, właśnie to chcieliśmy... – zaczął przymilnym głosem szef ochrony, rzucając kupidynkowi nieprzyjazne spojrzenie.

– Zatrzymano mnie dokładnie w tym miejscu – przerwała gniewnie Malwina. – Właśnie szłam do kasy, żeby zapłacić. A towar miałam w torbie. Przedtem była pusta, pokazałam kasjerce. Gdzie niby miałam się zmieścić z wózkiem, skoro tu taki tłum?

– W takim razie ma pan problem – Łukasz, zwracając się do szefa ochrony, starannie ukrył ulgę. – Ochrona sklepowa ma prawo zatrzymać klienta tylko wtedy, kiedy znajduje się on poza kasą, a istnieje podejrzenie, że nie zapłacił za zakupy. Nieprawdaż?

– Prawdaż – szef ochrony pośpiesznie przytaknął. – Dlatego bardzo przepraszamy za pomyłkę. Nasz pracownik jest dopiero pierwszy dzień...

– A co mnie to obchodzi? – warknęła Malwina. – Kto wam każe przyjmować do pracy bezmózgowców? On – wskazała na kupidynka – robi wrażenie, jakby miał jakąś obsesję na punkcie łapania złodziei. O nic nawet nie zapytał. On w ogóle umie myśleć?

Tłum zebrany wokół chłonał sensację jak wyschnięta gąbka wodę. Wielu klientów przy okazji dowiedziało się właśnie szalenie pożytecznej rzeczy odnośnie zakresu władzy sklepowej ochrony.

– Czy pan przeszedł stosowne szkolenie? – zainteresował się Łukasz, patrząc z politowaniem na zadowolonego z siebie młodziana, który sprawiał wrażenie, że nie dociera do niego nic poza faktem schwywania złodziejki.

– Przeszedłem. – Kupidynek wyprostował się z dumą.

– To dlaczego pan zatrzymał tę panią w hali sprzedażowej?

– Bo kradła – oznajmił ochroniarz.

Szef ochrony jęknął w duchu i przysiągł sobie na wszystkie świętości, że już nigdy w życiu nie zatrudni nikogo z rodziny, choćby mu pokazywał papiery stwierdzające, że jest geniuszem.

– No? Mówiłam! – zjadliwie wycedziła Malwina. – Wybrakowany! Jak go robili, zapomnieli o mózgu. Chyba, że to robot i miał spięcie.

– Chce pani wnieść oskarżenie..? – zaczął służbowo Łukasz.

– Proszę pani, nam naprawdę jest bardzo przykro. Jeśli zechce pani zapomnieć o tym nieszczęsnym incydencie... – przerwał mu błagalnie szef.

– Może i zechcę – mruknęła Malwina, która przypomniała sobie, że coś tam ma nie w porządku z dokumentami. – Pod warunkiem, że przeprosiny dostanę na piśmie na adres domowy! – dodała twardo.

– Ależ oczywiście!

– A co z tym młodym gniewnym? – nie odpuściła Malwina.

– Tym proszę się nie przejmować. On już skończył pracę w tym sklepie.

– Jak to? – wyrwało się kupidynkowi, który z niedowierzaniem wpatrywał się w przełożonego. – Dlaczego? Przecież...

– Jeśli ty jeszcze nie wiesz dlaczego, to mnie się nie chce tłumaczyć – warknął szef ochrony. – Wyprowadź go – rzucił do drugiego pracownika. – Niech zdejmie uniform, zabiera swoje rzeczy i zjeżdża.

Malwina została uroczyście doprowadzona do kasy. Zapłaciła za zakupy, podała swój adres, przypomniała o pisemnych przeprosinach i w asyście zięcia oraz jego milczącego kolegi wyszła z nieprzyjaznego klientom sklepu. Wywalenie na zbitą mordę młodego bałwana podreperowało jej zachwianą nieco równowagę.

W ciągu dwóch miesięcy, bez jakichkolwiek nadprogramowych opłat Malwina wyrobiła nowy dowód i uaktualniła prawo jazdy. Nie miała

pojęcia, że sprawę po kumotersku popchnął Łukasz, który na samą myśl o osobistym zaangażowaniu teściowej doznawał pewnej nerwowości, bo prześladowała go obawa, że zamkną ją za obrazę urzędników państwowych. Niektórych sam z przyjemnością by obraził, ale umiał się powstrzymać. Malwina tej sztuki nie opanowała, a gdyby trafiła przy okazji na urzędnika – mężczyznę, mogłoby być gorąco.

Po długich rodzinnych dyskusjach Malwina łaskawie zgodziła się, by zięć asystował przy kupnie samochodu. Z początku kategorycznie odrzucała wszelką pomoc, ale po namyśle doszła do wniosku, że Łukasz powinien sam się przekonać, jaką dozą głupoty dysponuje jego własna płeć, a mała lekcja mu się przyda.

Oboje pojechali do małego komisju, w którym Malwinie od razu wpadła w oko przyjemna czerwona mazda. Nie pokazała tego po sobie, tylko z zięciem oglądała zgromadzone na placu samochody. Właściciel na widok potencjalnych klientów wybiegł z niewielkiego baraku i natychmiast począł zachwalać kolejne, mijane przez nich auta.

– Panie – nie wytrzymała w końcu Malwina – pan myśli, że ja je wszystkie kupię? Potrzebuję jednego samochodu. Ma być w porządnym stanie, najlepiej na benzynę i gaz. I żeby miał ABS i poduszki powietrzne. Jeśli chodzi o markę to jest mi obojętne, nie zaznaczam, że będę jeździć głównie w mieście, więc dobrze by było, gdyby samochód nie był przesadnie wielki.

W efekcie po dwóch godzinach, w czasie których sprzedawca ukradkiem ocierał pot z czoła, Malwina wyjechała z komisju upatrzoną wcześniej mazdą kupioną za cenę, jaką sobie zaplanowała.

– Aż mi go było szkoda – powiedział Łukasz, kiedy Malwina z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku udała się na spoczynek, a on i

Luka sprzątała po kolacji. – Wyglądał, jakby go przepuścili przez maszynkę do mielenia mięsa.

– Ona tak robi niektórym – westchnęła Luka. – Musiał się narazić. Zrobił coś nie tak?

– Owszem – mruknął Łukasz, zawzięcie wycierając talerz. – Już na starcie. Urodził się mężczyzną... W zasadzie to nie wiem – zastanowił się nagle – czy powinienem być zadowolony, czy przeciwnie. Mnie jakoś specjalnie nie dokucza. Może uważa, że jako mężczyzna jestem wybrakowany?

– Oczywiście, że nie jesteś. – Luka podała mu kolejny talerz. – Ona cię uznała za własne dziecko, a rodzinie nie dokopuje... Słuchaj, mówiła, że zapłaciła za tę mazdę dziesięć tysięcy i była z siebie bardzo zadowolona. To ile ona kosztowała tak naprawdę?

– Czekał, powiem ci wszystko od początku. – Łukasz przysiadł na taborecie, nie przerywając wycierania. – W tym komisie było nawet z czego wybierać. Mama od razu zapodała komunikat o swoich

wymaganiach co do samochodu, ale coś mi się widzi, że od początku upatrzyła sobie tę mazdę. Facet zaczął oczywiście od tych najdroższych. Popatrzyła na niego, jak na półgłówka i powiedziała, że ona ma zamiar dużo jeździć po mieście niezależnie od pogody i nie będzie za każdym razem płacić za porządne mycie i woskowanie. No to łaziliśmy i łaziliśmy, aż w końcu facet pokazał jej tę mazdę. Życzył sobie za nią trzynaście i pół tysiąca...

– Zbiła trzy i pół tysiąca?! – Luka z wrażenia chlapnęła na siebie płynem do naczyń.

– Tak. Najpierw na tę cenę parsknęła śmiechem i popukała się w czoło. Potem zajrzała do środka i wytknęła wszystkie usterki. Ja się ich nie

dopatrzyłem – zastrzegł uczciwie Łukasz. – Do silnika zaglądałem i był w porządku, a trochę się na tym znam. Nie spodobała się jej liczba przejechanych kilometrów. Gdybyś jej posłuchała, miałabyś wrażenie, że w zasadzie ten samochód nie ma prawa jeździć. I ona to wszystko mówiła bez żadnej wyższości, tylko z takim żalem, że chcą ją oszukać. I jeszcze wytknęła, że w Kanadzie to każdy każdemu wilkiem, ale po rodaku się tego nie spodziewała. W końcu rozpięła żakiet, zademonstrowała dekolt i zaczęła się wachlować ręką. Że niby aż tak się zdenerwowała. I przysięgam, że miała łzy w oczach. Facet od tego zgłupiał. Myślałem, że dostanie zeza rozbieżnego. Jedno oko mu leciało na damskie widoki, a drugie na te usterki, które znalazła. W końcu zapytał, ile jest skłonna zapłacić. No i stanęło na dziesięciu kawałkach. Twoja matka jest mistrzynią manipulacji.

– Wiem – mruknęła Luka. – Znam ją od ponad dwudziestu lat. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby okazało się, że ojciec już po prostu nie mógł z nią wytrzymać.

– Aż tak źle o niej nie myślę – uspokoił ją małżonek. – Wystarczy mieć się na baczności i da się żyć. A poza tym uważam, że niektóre jej podchody są nawet zabawne.

Malwina przejechała właśnie swoim nowym nabytkiem wyjątkowo idiotyczne rondo (rondko właściwie) i mamrocząc pod nosem inwektywy pod adresem włodarzy miasta, mijała przystanek, kiedy nagle dostrzegła znajomą twarz. Rozejrzała się pośpiesznie na wszystkie strony, zjechała na bok, uchyliła szybę i radośnie wrzasnęła:

– Liza! Nie wierzę własnym oczom! Liza! To ja, Malwina! Chodź szybko, podwiozę cię!

Na ponurym obliczu stojącej na przystanku kobiety mignęło zaskoczenie, a chwilę potem błysk rozpoznania. Rzuciła się przez ulicę ku

samochodowi, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia pozostałych stojących, wpadła z impetem do środka i wydyszała:

– Zabierz mnie stąd, zanim kogoś zabiję! Wszystko jedno dokąd!

– Lizia, co u ciebie? – Malwina nie mogła uwierzyć, że ją spotkała. – Śpieszysz się? Bo jeśli nie, to jedźmy do mnie. Dzieci w pracy, możemy pogadać.

– Nie mów do mnie Lizia, bo mogę być przykra! – warknęła nowo odzyskana przyjaciółka ze szkolnej ławy. – Lizia to ja byłam dla tego mojego pijaczka! I to tylko wtedy, jak był trzeźwy! Bo jak się zdrowo nabombał, to w ogóle byłam taka Krysia bezimienna... Jezu! – oprzytomniała. – Malwina, jak ja się cieszę, że cię spotkałam! Podobno byłaś gdzieś w świecie. Już nie jesteś?

– Jak widzisz. – Malwina prychnęła rozśmieszona. – To jak? Masz trochę czasu?

– Jasne. To jedyne, czego mi nie brakuje, bo poza tym... Wiesz, co ci powiem? Życie jest do dupy! Nie dość, że nic nie mam, to jeszcze mnie okradli!

– Skoro nic nie masz, to co ci ukradli? – zainteresowała się Malwina i skrzyła w stronę domków. – To nie życie jest do dupy, tylko faceci! Czekaj, na razie nic nie mów. Pojedziemy do mnie, zrobię kawę i pogadamy. Nawet niedawno planowałam, żeby cię odszukać, tylko nie wiedziałam jak. Te wszystkie dziewczyny z naszej klasy o niczym nie mają pojęcia... O, tu mieszkam. – Malwina otworzyła pilotem bramę i wjechała na posesję. Łukasz specjalnie dla niej osobiście zamontował to automatyczne udogodnienie. – Chodź. Zrobimy sobie przyjęcie i wszystko mi opowiesz.

– Ty tego swojego Pędziwiatra to już dawno się pozbyłaś, nie? – zapytała dość niemrawo Eliza, kiedy siedziały przy zastawionej

słodkościami ławie. – A swoją drogą... Od razu ci mówiłam, że to głupi pomysł wychodzić za niego. Pomijając resztę, samo nazwisko było jak przestroga.

– Reszta z początku nawet nieźle się zapowiadała – mruknęła niechętnie Malwina. – Leciał na mnie jak głupi, w oczka zaglądał, myślałam, że to ten jedyny, do końca świata i jeden dzień dłużej. Przeszło mu, jak zaszłam w ciążę. Dziecka w planach nie miał, myśl o alimentach była nieprzyjemna, liczył, że jakoś to będzie. A ja, niestety, potężnie przytyłam i mój widok mu się przestał podobać. Zaczął się plątać po cudzych wyrach, to go w końcu pogoniłam... A ten twój to co? Mówiłaś, że pił?

– Z początku nie – wyznała uczciwie Eliza. – Mieszkanie kupili nam moi rodzice. Oboje pracowaliśmy, więc na jego urządzenie wzięliśmy kredyt. Nieważne, dawno spłacony. Potem urodził się Piotruła i mój Stasiulek dumny był, że ma syna. Wtedy się rzeczywiście porządnie ululał, ale to podobno wszyscy tatusiowie tak mają...

– Taki ekwiwalent – mruknęła pogardliwie Mal – wina. – Sam nie umie urodzić, to musi się napić.

– Możliwe – zgodziła się Eliza i upiła trochę kawy. – Jak Piotruła zbliżał się do matury, zaczęły się schody. Bo Stasiulkowi w pracy było bardzo źle...

– W jakim sensie? – zainteresowała się Malwina.

– W takim, że wszyscy go chcieli wpuścić w kanał, bo w fabryce zaczęły się te zwolnieniowe przepychanki. A ten bałwan, zamiast porządnie się przyłożyć, żeby im nie dawać powodu do zwolnienia, zaczął popijać. Bo tak cierpiał. W końcu go wywalili i cierpiał jeszcze bardziej. I wszyscy w domu go denerwowali, a najbardziej ja, bo Piotruła poszedł na studia.

Odprawa, którą dostał Stasiulek, szybko się skończyła, zasilek przepijał i w efekcie oboje z Piotrusiem stawaliśmy na głowie, żeby on te studia skończył. Piotruś, znaczy... Ty wiesz – wybuchnęła nagle – że dzieciak w każde wakacje zasuwał w cegielni, żeby zarobić na kolejny rok?! A ten debil pił i płakał, że dziecku tak ciężko. I wyklinał wszystkich, tylko jakoś do siebie nie miał pretensji!

– Rany boskie – sapnęła Malwina i poderwała się z fotela. – Uspokój się. Chcesz koniaczku? Po cholere go tak hołubiłaś? Nie mógł cierpieć z dala od ciebie?

– Chcę! No właśnie nie wiem, po cholere. A nie, wiem. Dziecka mi było szkoda. – Eliza wypła łyżeczek koniaczku i pokiwała głową z uznaniem. – Dobry... Dobrze, że mam normalnego syna. Przyjechał pewnego razu na ferie i mówi do mnie: „Matula, daj se luz, niech ojciec idzie do dziadków, jak mu z tobą tak źle.. Bo muszę ci powiedzieć, że moja teściowa była zdania, że to przeze mnie Stasiulek tak chla...

– Faktycznie, mądre masz dziecko. Choć syn – przyznała łaskawie Malwina. – Ja swojego Pędziwiatra też do mamusi wygnałam. Chwała Bogu, że on głupi był, bo jak pomyślę, że mógł się domagać ode mnie spłaty za dom... Co prawda przy rozwodzie wszyscy w sądzie byli po mojej stronie. Świadków miałam na to jego cudzołóstwo, widać było, że jestem w ciąży. A jeszcze jakoś szybko mi się płakało...

– Hormony – mruknęła pouczająco Eliza i zażyła koniaczku.

– Pewnie, że hormony. Ale zrobiłam odpowiednie wrażenie. Nawet alimenty mi przyznali na dziecko, choć wcale się nie upominałam.

– Głupia jesteś? To z czego niby miałaś żyć?

– No, z tych alimentów to też bym bardzo nie wyżyła – prychnęła Malwina pogardliwie. – Zresztą sąd mnie pouczył, że dziecko ma prawnie

zagwarantowane alimenty i żadna matka, nawet najbardziej ambitna, nie ma prawa się ich zrzec. Ich wysokość to już oczywiście inna sprawa, ustalana indywidualnie. Z pieniędzmi nie było źle. Po wuju została mi działka. Sprzedałam i na początek było. A potem poszłam do pracy i miałam w nosie wszystkich Pędziwiatrów świata. A ty? Pracujesz gdzieś? Bo słyszałam, że u nas trudno o pracę?

– Księgową byłam w fabryce. Jak mnie zwolnili, to wzięłam odprawę, zrobiłam dodatkowe kursy i założyłam jednoosobowe biuro rachunkowe. Mam paru stałych klientów i jakoś leci.

Malwina zamyśliła się. Przyjrzała się przyjaciółce z uwagą i zaświtał jej w głowie pewien pomysł. Już miała głośno pochwalić swoją inteligencję, kiedy coś jej się przypomniało. Odłożyła na bok swój genialny plan i gwałtownie zapytała:

– Liza, okradli cię? Naprawdę? Bo coś takiego mówiłaś w samochodzie?

– A jak mieli okraść? Na niby? – warknęła Eliza i ze złością majtnęła kieliszkiem, ochlapując sobie spódnicę znakomitym koniakiem. – Cholera! Kolejna strata! Szkoda, bo niezły...

– Zaraz ci doleję. – Malwina pośpiesznie napełniła naczynie i spojrzała na przyjaciółkę ponagłajaco. – Mów. Może będę mogła ci pomóc.

– Ciekawe jak. – W oczach Elizy błysnęła złość. – Zgłosiłam na policję. Ha! Zgłosiłam! Widziałam tego gnoja! Powiedziałam, że mogę im go palcem pokazać! Wiesz, co mi powiedzieli? Mogę go pokazywać do końca świata, a oni to i tak oleją, bo nie mam dowodów! Rozumiesz?! Łobuz w biały dzień wyrwał mi torebkę! Wszystkie dokumenty w niej miałam, pieniądze, które klient mi wpłacił! A komendant przysłał pismo o umorzeniu sprawy! Ze względu...

– ... na niską szkodliwość społeczną czynu – dokończyła ponuro Malwina i westchnęła. – No, wiem. Mój zięć tam pracuje. Czasami opowiada takie rzeczy, że... Z drugiej strony... Ten łobuz pewnie od razu torebkę wyrzucił, dokumenty mógł sprzedać, a pieniądze spokojnie wydał. Jak mu udowodnią, że to on?

– A co mnie to obchodzi?! – wrzasnęła rozwścieczona Eliza. – Ja mu mam udowodnić, że on złodziej?! To co to za kraj?! Cholera, podatki płacę po to, żeby byle gnój mógł mnie okraść na ulicy?!

– Napij się, Liza, bo się zapowietrzysz – poradziła życzliwie Malwina. – Wiesz, ja dopiero dowiaduję się tych wszystkich głupot, które tu się działy, kiedy ja zarabiałam pieniądze w Kanadzie. Może to i dobrze, bo już wcześniej by mnie szlag trafił, a tak to jestem trochę impregnowana... Słuchaj, jak dostałaś pismo urzędowe, to sprawiedliwości się nie doczekasz. Trzeba by jakoś samemu...

– Co samemu?! Też mam napadać?! Co ja jestem?! Robin Hood?!

– Robin Hood napadał na bogatych nierobów...

– Oni też są nieroby! I też nieźle żyją za cudze!

– Jakieś się zrobiło wybuchowe to spotkanie po latach – zauważyła filozoficznie Malwina. – Odpuść chwilowo temat nierobów, bo ja bym miała dla ciebie propozycję. Słuchaj...

Kiedy po dwóch godzinach Eliza Barnaba opuszczała gościnny dom przyjaciółki, była już w lepszym nastroju, choć lekko zaintrygowana jej ostatnimi słowami. Odprowadzając ją bowiem do furtki, Malwina oznajmiła zdecydowanym tonem:

– Niczym się na razie nie przejmuj. Ja przeprowadzę rekonesans w sprawie tej twojej kradzieży i trochę sobie pomyślę. Jakoś tego drania dopadniemy.

Wieczorem przy kolacji Malwina dyskretnie podrzuciła zięciowi temat do dyskusji. Zainteresowała ją mianowicie wykrywalność drobnych przestępstw, do których gładko zaliczyła rozbój na ulicy.

– Rozbój typu pobicie? – Łukasz połknął haczyk.

– Raczej rozbój typu kradzież. Jeśli na przykład ktoś kogoś napadł na ulicy i coś mu ukradł – uściśliła Malwina.

– To najgorsze sprawy. – Łukasz westchnął i sięgnął po kanapkę. – Ofiary są zwykle tak zaskoczone i zszokowane, że nie są w stanie podać rysopisu...

– A jeśli rozpoznały sprawcę?

– To powinno się zrobić konfrontację – wtrąciła się Luka, nieźle już obeznana z kryminalistyką dzięki mężowi.

– Jeśli rozpoznały sprawcę, to można zrobić okazanie – przyznał Łukasz. – Tyle że prawo jest teraz takie, że on się może wyprzeć w żywe oczy, a dopóki nie ma konkretnych dowodów, to nic mu nie zrobimy.

– Nawet jeśli był już wcześniej karany za podobne rzeczy? – W głosie Malwiny dźwięczało niedowierzenie.

– Nawet. – Łukasz westchnął i wzruszył ramionami. – No, co mamie poradzę? Prawo takie. Kiedyś specjalnie przejrzałem stary kodeks, żeby sobie porównać.

– I co? – spytały jednocześnie Luka i Malwina.

– I stwierdziłem, że przez ostatnie dwadzieścia lat kolejnym prawniczym mądralom spodobała się radosna twórczość, czego efektem jest ten bałagan, który mamy teraz. W dodatku kancelarie prawne potrafią z tego bałaganu świetnie korzystać.

– Mnie się to nie podoba – stwierdziła z obrzydzeniem Malwina. – Ludzie płacą podatki i nie mają żadnych praw? Byle menel ma większe? Nie

podoba mi się to, mówię. Pracujesz, synku, w paskudnej instytucji. Powinieneś się zastanowić, czy warto... Idę do siebie. – Podniosła się z za stołu.

– Zaraz! – Łukasz nagle zbystrzał. – Co z tym rozbojem? Mama myśli o jakimś konkretnym przypadku? A może...

– Synku, gdyby to na mnie padło, to ten bandzior w szpitalu by leżał. – Teściowa spojrzała na niego z politowaniem. – W sklepie dziś słyszałam, jak ludzie sobie opowiadali, że ktoś napada na kobiety i wyrywa im torebki. Boją się. Ciekawa byłam, dlaczego z tym nie zrobicie porządku...

– Podobno jest specjalny telefon – przypomniała sobie Luka. – Zaufania, czy jakoś tak. Można zadzwonić i donieść. Anonimowo.

– Tak całkiem anonimowo to nie – mruknął Łukasz. – Mają takie urządzenie do identyfikacji numerów.

– Zastrzeżonych też? – zainteresowała się niewinnie Malwina, stając w drzwiach.

– Też. To na wypadek, gdyby ktoś wpadł na jakiś głupi pomysł. Że niby podłożył bombę, albo coś w tym stylu. Takie akcje kosztują, a policja nie krezus... Choć małolaty teraz sprytne. Komórki na kartę nie da rady wyłapać.

– Jakieś wybrakowane to zaufanie – zauważyła kąśliwie Malwina i spojrzała na córkę. – Lukrecjo, powinnaś wspomnieć w swojej gazecie o tych napadach. Moim zdaniem należy ostrzec przede wszystkim starszych ludzi. Dobranoc, dzieci.

Piotr Barnaba zaparkował sfatygowanego busa naprzeciwko salonu Marta i cierpliwie czekał, aż kolejny małolat wygrzebie się ze swoim ekwipunkiem na zewnątrz. Umiał sobie oczekiwanie, kontemplując widoki. Jego uwagę przykuł ruch przed salonem. Ze schodków zbiegła wiotka

dziewczyna z szopą platynowych włosów, zarzuciła na ramię torebkę, rozłożyła parasolkę, bo padało, i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Patrzył na nią z przyjemnością, dopóki nie skręciła w parkową alejkę i nie zniknęła mu z oczu.

Małolat wreszcie wyszedł i Piotruś pojechał dalej. Na ostatnich uczestników trzydniowego rajdu rodzice czekali pod szkołą. Podjechał zatem przed sam budynek, żeby dzieciaki za bardzo nie przemokły.

– Stary! – Kiedy wysiadł, obserwując rodziców, którzy w pośpiechu odbierali swoje pociechy, dopadł go kumpel. Przemek był kierowcą szkolnego gimbusa i to on miał jechać po małych piechurów, ale dopadł go gigantyczny katar i w ostatniej chwili ubłagał Piotrusia o przysługę – Dług bab u ciebie! – Po głosie kumpla Piotruś poznał, że katar w dalszym ciągu ma się świetnie i zrobiło mu się przyjemnie, że mógł pomóc koledze. – Rady! Dikogo byb nie zdalazł, a tab już wszystko było dagrane! Dzięki, stary!

– Dobra, dobra. – Piotr przezornie odsunął zakatarzonego kumpla na przyzwoitą odległość. – Ty mi nie dziękuj, tylko zjeżdżaj do domu, włącz pod kołdrę I wygrzej to świństwo, bo pół miasta zarazisz... Tu masz kluczyki. Papiery są w wozie. Ja spadam, bo matka się będzie denerwować.

Goniły za nim dziękczynne okrzyki kolegi, ale nawet się nie obejrzał, tylko naciągnął na głowę kaptur, bo padało coraz mocniej, i pośpiesznie ruszył do domu. Głodny był jak niedźwiedź po długiej zimie, ponieważ dramatyczny telefon kumpla wyrwał go z domowych pieleszy przed samym obiadem.

– Dzięki Bogu, że wróciłeś – powitała go z wyraźną ulgą w głosie matka. – Pogoda się popsuła. Bałam się...

– Matula, strach jest destrukcyjny. – Piotruś zdarł z siebie moką

kapotę. – Tyle razy ci mówiłem: należy myśleć pozytywnie... Jest coś do żarcia? Bo mi się żołądek totalnie zminimalizował... Wróciłbym wcześniej, ale te małolaty jakieś takie niekompatybilne czasowo. Najpierw nie mogli się zebrać do kupy, a potem darli się, żeby stanąć na widok byle krzaków. – Poszedł za matką do kuchni.

Eliza podpaliła gaz pod garnkiem z zupą, obejrzała się na syna, który zasiadł przy stole i westchnęła.

– A ty jesteś niekompatybilny z higieną, Piotruś. Za rączkę mam cię prowadzić? Jazda do łazienki łapy myć!

Kiedy posłusznie poszedł do łazienki, pomyślała, że jednak załapała się na swoją dawkę szczęścia. Może trochę jej w małżeństwie nie wyszło, ale syn się udał. A teraz przy Malwinie może i finansowo stanie na nogi. Piotruś już zarabia na siebie, bo pisze programy komputerowe... Ciekawe, co by powiedział, gdyby zdecydowała się na rozwód, jak jej radziła

Malwina? Stasiulek na leczenie raczej nie pójdzie, a jeszcze, nie daj Boże, przyjdzie mu do głowy, że go powinna utrzymywać. Trzeba by pogadać z mecenas Rozbicką, podobno jest najlepsza.

– Pamiętasz Malwinę? – zapytała, kiedy syn zasiadł przed pełnym talerzem. – Tę moją koleżankę z liceum? Mówiłeś na nią „ciocia”. Córkę miała, Lukrecję...

– A jak pamiętam, to co? – Piotruś z widocznym zadowoleniem wpakował do ust łyżkę aromatycznej kartoflanki.

– Wróciła z Kanady. Na stałe chyba. – Eliza energicznie zamieszała sos w rondlu. – Chce się wziąć za biznesy i mam jej poprowadzić księgowość. I rozmawialiśmy... Wiesz, ona ma zięcia policjanta. Obiecała, że popyta, może namierzą tego łobuza, co mnie okradł.

– Matula, nie chciałbym cię dołować, ale już raz cię olali. – Piotruś z

powątpiewaniem pokręcił głową. – Nowy dowód wyrobiłaś, a o szmalu zapomnij raz na zawsze. Będiesz zdrowsza.

– Nie chcę być zdrowsza! – warknęła Eliza buntowniczo. – Chcę być bogatsza o moje ciężko zarobione pieniądze! Mijałam gówniarza na ulicy! W twarz mi się roześmiał, kiedy mu powiedziałam, że złodziej!

– Matula, ty się zresetuj albo co. – Syn popatrzył na nią z troską. – Zarobisz sobie nowe, a do banku ja będę z tobą chodził. Omijaj szambo, bo śmierdzi.

– Właśnie dlatego ktoś powinien zadziałać, żeby przestało – uparła się Eliza. – Nie wierzę, że tylko mnie obrobił. Jeśli ja się dałam tak głupio okraść, to co mają zrobić biedne starowiny, którym zabierają ostatni grosz? – Zabrała synowi sprzed nosa pusty talerz i postawiła drugie danie. – Inteligentny człowiek nie powinien się godzić na przemoc.

Piotruś westchnął, zdusił ripostę, która mu się pchała na usta, i przystąpił do konsumpcji.

– No i co? – Eliza upiła łyk kawy i obrzuciła gospodynię pytającym spojrzeniem. – Rozglądałaś się za lokalem?

– Jeszcze nie. – Malwina westchnęła rozdzierająco i pokręciła głową. – Ale już powiedziałam dzieciom i Lukrecja ma poszperać w Internecie. Albo popytać między ludźmi. Oni tam, w tej gazecie wiedzą takie rzeczy. Coś się znajdzie. Na razie nie ma pożaru... Co innego mi teraz łązi po głowie. Wiesz, przejęłam się tą twoją stratą, tym bardziej że rabunek miał miejsce w mieście, w którym zamierzam zostać już na zawsze. To moje miasto! I nie będzie żaden złodziej wprowadzał tu zamęt! Nie podoba mi się, że chodzi sobie luzem i korzysta z przyjemności. Uważam, że trzeba mu ukrócić ten proceder. Lukrecja mi mówiła, że w jej redakcji słyszeli o paru takich przypadkach. A Łukasz opowiadał, że raz prawie tego złodzieja mieli,

ale świadek nie rozpoznał i musieli go puścić. Podobno już dwa razy siedział za drobne kradzieże...

– Świadek? – zdziwiła się Eliza. – To nic dziwnego. Swój na swego nie kabluje. Ale to mimo wszystko wredne, żeby okradać kumpla po fachu. Kiedyś przynajmniej obowiązywał złodziejski kodeks...

– Ten twój złodziej siedział! Świadek to się bał albo naprawdę nie rozpoznał. To jakaś wiekowa jednostka podobno... Słuchaj, ja już widzę, że państwowej sprawiedliwości to ty się nie doczekasz. Ja bym była za tym, żeby samemu...

– Odbiło ci całkiem? – zachnęła się Eliza. – Mam latać po ulicy z kijem bejsbolowym i rabować rabusiom?

– A dlaczego nie? – Malwinie wyraźnie podobała się idea współczesnego Robin Hooda. – Skoro oni mogą... Z kijem to nie – oświadczyła po namyśle. – Z kijem to latają prostackie półgłówki. My musimy do tego podejść elegancko. Z klasą. Żeby się nie zniżać do ich poziomu, ale żeby dać nauczkę na całe życie.

Eliza przyjrzała się jej podejrzliwie i z lekkim przestraczem. Jeszcze z czasów licealnych pamiętała, że jej przyjaciółka miewała dość radykalne pomysły, kiedy coś jej się nie podobało i życzyła sobie natychmiastowej zmiany. Ale po chwili przypomniła sobie koszmarne poczucie bezradności, które ją ogarnęło, kiedy złodziejaszek po prostu ją wyśmiał, i pomysł zaczął jej się podobać.

– A co miałybyśmy robić? – zapytała niepewnie.

– Przemyślałam to. – Malwina postawiła na stole butelkę wina i dwa eleganckie kieliszki. – Trzeba uczcić nasze przedsięwzięcie. – Napęłniła naczynia i spojrzała z błyskiem w oku na Elizę. – Najpierw musimy przeprowadzić rozpoznanie. Trzeba się zorientować, gdzie ten bandzior

bywa i kiedy. Może wyłapiemy coś stałego. Przecież nie będziemy się na niego czaić z nadzieją, że los nam pomoże. A jak już będziemy o nim wiedziały, co trzeba, to wtedy się obmyśli, jak mu dać łupnia.

– Uważasz, że się nie zdziwi, jak zaczną za nim łązić dwie Matki Polki? – zainteresowała się Eliza. – To młody gówniarz! Nie uwierzy, że dostałyśmy nagle bzika na jego punkcie. Poza tym... Piękny to on nie jest. Już dawno przestali mi się podobać pryszczaci, niedomyci smarkacze. Nie chciałabym go nawet za dopłatą.

Malwina zakłopotana się nieco.

– No właśnie tak sobie teraz pomyślałam, że to może być trudne – przyznała niechętnie. – Musiałybyśmy tak wyglądać, żeby nie mógł nas rozpoznać w razie wpadki. Już się nauczyłam, że jak cię nie wskażą palcem, to nic ci nie mogą zrobić...

– Ale jak zaczniemy latać po ulicy w kominiarkach – przerwała jej przyjaciółka – to każdy nas zapamięta. Szczególnie w biały dzień. Wystarczy, żeby ktoś wezwał straż miejską. Zażyczą sobie dokumentów i już będziemy miały przechlapane.

– Nikt nas nie może zapamiętać – oświadczyła stanowczo Malwina. – Mój zięć głupi nie jest. Od razu skojarzy, bo ostatnio ciągle go wypytywałam o tych złodziejasków... Kominiarki to na nocną akcję. Myślałam raczej o perukach. Jest tu u nas jakiś sklep?

– Sklepów ci u nas dostatek – mruknęła Eliza i przypomniała sobie, jak to w odległej przeszłości marzyła o aktorstwie i uwielbiała przebieranki. – W Lublinie jest. Ale one chyba drogie, te peruki – westchnęła.

– Będę naszym sponsorem – obiecała Malwina. – Bo jeszcze musimy pomyśleć o ciuchach. Takich, jakich normalnie nigdy byśmy nie założyły.

– Przelecimy po ciucholandach – zapaliła się Eliza. – Tyle teraz tego,

że skompletujemy garderobę bez problemu.

Malwina poczuła w sobie odruchowy protest. Myśl, że miałyby nosić ciuchy, które wcześniej miał na sobie ktoś inny, wydała się jej nie do przyjęcia. Co prawda kanadyjskie sklepy z używaną odzieżą nie budziły w niej odrazy i chętnie się w nich zaopatrywała, ale w nich nie śmierdziało pralnią chemiczną, a ubrania wyglądały jak nowe.

– Musimy? – wyrwało się jej z niechęcią.

– Musimy – stwierdziła stanowczo Eliza. – I najlepiej, żebyśmy wybrały coś potwornie zwyczajnego. Żeby nie rzucało się w oczy. I żeby ukryło sylwetkę. Coś workowatego... O, już wiem! Jakies szarobure rozlazłe dresy. Nikt nie będzie wiedział, czy mamy po dwadzieścia lat, czy więcej... Przestań! – Dojrzała obrzydzenie na twarzy przyjaciółki. – Przecież nie będziesz się w to ubierać w sklepie. Pralki są. Upierzesz sobie... No, sama mówiłaś, że mamy wyglądać inaczej. Kto uwierzy, że możesz włożyć na siebie coś takiego i wyjść między ludzi? Nikt cię w tym nie pozna!

Malwina zachwiała się nieco w swoim postanowieniu. No, owszem, chciała pomóc przyjaciółce i przy okazji dokopać kolejnemu męskiemu wyrodkowi, ale nie za cenę swojego wyglądu. Już dość się napatrzyła na kraśnickich ulicach na zaniedbane, ubrane bez gustu rówieśnice wyglądające jak służące tych cholernych panów stworzenia. Sama miała się w taką zamienić?

– Malwina! – Elizie zaś pomysł się coraz bardziej podobał i widoczne wahanie przyjaciółki zmobilizowało jej elokwencję. – Nikt nie będzie wiedział, że to ty! – powiedziała z naciskiem. – Nawet twojemu zięciowi nie przyjdzie do głowy, że mogłabyś wyglądać jak pomiotło. Musimy się przebrać, bo nas wsadzą, a ten bandzior dalej będzie napadał. Pamiętasz liceum i nasz szkolny teatr? Królowe już grałaś, teraz zagrasz służącą.

Chyba że nie potrafisz – dodała z premedytacją.

Na Malwinę podobne stwierdzenia działały jak ostroga na konia. Natychmiast spinała się do działania, bo sama myśl, że czegoś nie potrafi, była okropna. Od tego miała inteligencję, żeby potrafić! Wyprostowała się gwałtownie i rozbliły jej oczy.

– Jeszcze zobaczysz, jak potrafię – oznajmiła gniewnie. – Tak się wczuję w rolę, że rodzone dziecko mnie nie rozpozna. Jutro jedziemy do Lublina po peruki. Tam też możemy przelecieć się po ciucholandach.

Piotr Barnaba miał dwadzieścia pięć lat. Był młodzieńcem spokojnym i rozsądnym, bo okres burzy i naporu, za sprawą ojca przeszedł mu, jak ręką odjął. Protoplasta okazał się tchórzem, który za swoje błędy winił własną żonę i zamiast wyleźć z psychicznego dołka, pogrążał się coraz bardziej. Do nastoletniego Piotrusia błyskawicznie dotarło, że on by tak nie chciał. Pijany ojciec wzbudzał litość i zakłopotanie, a nie szacunek. Matka przeciwnie – w domu był porządek, obiad ugotowany, rachunki płacone w miarę możliwości. Ciągłe była zajęta, ale zawsze umiała wydłubać chwilę na sprawy syna. Raz tylko wygłosiła pogadankę na temat picia i narkotyków (było to po jakiejś wywiadówce w szkole, gdzie nauczycielka profilaktycznie przestrzegła rodziców) i to było wszystko. Nie wtrącała się w życie potomka, ale wymagała jedynie by meldował się w domu o tej porze, którą podawał przed wyjściem.

Piotruś był też zdolny i pracowity, choć nieco powolny. Natychmiast po ukończeniu studiów zarejestrował jednoosobową działalność i korzystając z uniwersyteckich kontaktów, zaczął pisać programy komputerowe na zamówienie. Miał do dyspozycji własny pokój, więc na totalnym luzie zakładał wieczorem słuchawki na uszy i dopieszczając duszę cudownymi dźwiękami klasycznego rocka, zagłębiał się w skomplikowany

świat informatyki. Siedział niekiedy do późnej nocy, dopóki natchnienie go nie opuściło, po czym odsypiał robotę do południa. Resztę dnia poświęcał na spotkania z kumplami lub czatowanie. W Internecie wiele się działo, raz nawet prawie się zakochał w błyskotliwej rozmówczyni o wdzięcznym nicku Inez. Tak go zafascynowała, że postanowił dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Z racji studiów i zainteresowań był niezłym hakerem, więc szybko udało mu się ją namierzyć. I okazało się, że Inez w realu była trzydziestosiedmioletnim facetem, który na Facebooku z dumą prezentował swoje fotografie rodzinne (łysiejący tatuś trojga dzieci) i zdjęcia ze znanymi ludźmi ze sceny politycznej. Zdegustowany Piotruś rozsądnie pożegnał się z marzeniem o znalezieniu miłości swojego życia w Internecie. Tymczasowo chodził luzem, ale w głębi duszy piastował nadzieję, że przyjdzie dzień, w którym trafi na swoją połówkę. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby posiadała przyjemny dla oka wygląd i żeby dało się z nią rozmawiać. Z tego, co pamiętał, koleżanki z liceum spełniały jedynie pierwszy postulat, a na studiach na jego roku nie było ani jednej dziewczyny. Na innych Piotrusiowi nie chciało się szukać, bo pochłaniała go nauka, a zniechęcał niski budżet osobisty. Uznał, że jeśli nie będzie miał przesadnych wymagań, los sam postawi mu na drodze stosowną kandydatkę.

Piotr Barnaba z zadowoleniem przyjął fakt, że na jego konto wpłynął obiecany przelew. Uznał, że wreszcie może zwolnić obroty i w myślach rozparcelował pieniądze. Na pewno część przekaże matce; może dzięki temu zapomni o incydencie z torebką. Tyle razy ją przekonywał, żeby zamiast operować gotówką, przestawiła się na konto internetowe. Jak grochem o ścianę. Przecież i tak przy pracy korzystała z komputera. Co to za problem pójść o krok dalej? Westchnął. Matula najwyraźniej nie była kompatybilna z bankowością elektroniczną. Szkoda.

Piotr przypomniał sobie, że miał zrobić większe zakupy w znajomym sklepie i szybko wydrukował listę. Wetknął ją niedbale do kieszeni dżinsów, zarzucił kurtkę, bo na dworze było chłodno, na wszelki wypadek zostawił matce kartkę z informacją, kiedy wraca, i pośpiesznie wyszedł z domu.

Wiosna w tym roku jakoś nie mogła się zdecydować. Na trawnikach przy blokach bieleły kępki przebiśniegów i barwne plamy krokusów, ale drzewa wciąż straszyły nagimi gałęziami. W dodatku pozbawione śniegowej otuliny miasteczko wyglądało na przygnębiająco brudne. W parku dumnie rozpierała się nowa fontanna, ostatnie dzieło byłego burmistrza, które Piotrusiowi zawsze kojarzyło się z typowym amerykańskim tortem weselnym. Wydające dźwięki, a wieczorami nawet podświetlane było okazem drobnomieszczańskiego kiczu. Piotruś był estetą. Kicz mu nie imponował.

Pomyślał, że matka ostatnio wyraźnie jest czymś zaabsorbowana. Może to spotkanie z przyjaciółką po latach dobrze na nią wpłynie. Przynajmniej zaczęła wychodzić z domu. Zauważył nawet, że jakby przybyło jej energii, ufarbowała włosy i lepiej się ubiera. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem kogoś sobie nie znalazła, ale zaraz odrzucił tę myśl. Ojciec skutecznie ją zniechęcił do płci przeciwnej, a gdyby coś było na rzeczy, powiedziałyby mu na pewno. Tak to u nich działało. Wszelkie sprawy, które mogły mieć wpływ na ich wspólną egzystencję, uczciwie omawiali. On w zasadzie nie miałby nic przeciwko absztyfikantowi matki. Z ojcem jej nie wyszło, ma prawo układać sobie życie na nowo. Już on by gościa prześwietlił i pogadał z nim po męsku, żeby facio raz na zawsze zapamiętał, że ORMÓ czuwa. No, ale matka była tradycjonalistką. Najpierw ustabilizowałyby sytuację na niwie rodzinnej i przeprowadziła rozwód (do czego ją gorąco namawiał), a potem dopiero

meblowała życie od nowa.

Piotr minął park i przystanął przed pasami. Sklep, do którego zmierzał, znajdował się po drugiej stronie ulicy i nosił nazwę Myszka. Jego właścicielem był Michał Artymowicz, który zawsze umiał doradzić niezdecydowanemu klientowi. Piotruś do tych niezdecydowanych nie należał, ale chętnie słuchał jego sugestii. Poza tym znał dobrze jego syna Aleksa, który również zajmował się informatyką. Nie konkurowali ze sobą, ale często wspomagali się, kiedy trafili na jakiś problem.

Przemknął przez ulicę i już miał wejść na prowadzące do sklepu schodki, gdy drzwi otworzyły się z impetem i wybiegła z nich drobna postać z rozwianym szalem i równie rozwianą grzywą platynowych włosów. Nim zdążył ustąpić jej z drogi, wpadła na niego. Przytrzymał ją odruchowo. Wsparła się na nim przez chwilę i poczuł przyjemny kwiatowy zapach, ale zaraz odskoczyła i uniosła głowę. Zobaczył roziskrzone i lekko łzawe czarne oczy. Był w nich przestraszanie i zniecierpliwienie, a po chwili błysnęły przeproszająco i Piotruś zapomniał języka w gębie. Oblało go gorąco.

– Sorry – powiedziała na lekkim przydechu niebiańska istota. – To moja wina. Zawsze byłam gapa, ale teraz okropnie się śpieszę i dlatego... Przepraszam. Muszę lecieć. – Przemknęła obok niego i przebiegła przez ulicę, nie patrząc nawet, czy coś nie jedzie.

Magister informatyki Piotr Barnaba stał jak słup, odprowadzając ją maślanym wzrokiem. Nie był to klasyczny sycylijski piorun, o którym czytał w „Ojcu chrzestnym”. Nawet przez chwilę nie pomyślał o łóżku, tylko o przemożnej potrzebie patrzenia na tę cudowną istotę, zapewnienia jej życia bez stresów i na takim poziomie, na jaki jego zdaniem zasługiwała. Te oczy zamglone łzawą warstewką uderzyły go prosto w serce i nie miał pojęcia, co z tym teraz robi. Zwłaszcza że nic o niej nie wiedział.

Kraśnik nie metropolia, pomyślał z nadzieją. Jakoś ją znajdzie.

Eliza spojrzała w lustro i poczuła satysfakcję. Na głowie miała skołtunioną czarną perukę, a zgrabną sylwetkę – choć może nieco zbyt zaokrągloną – skutecznie ukryła rozciągnięta do granic możliwości bluza od dresu. Szerokie hajdawery, które nabyła w lumpeksie, przeszyla w pasie gumką, bo z niej spadały, i uzyskała efekt, o jakim jej się nie śniło. Po-fałdowanie z tyłu sugerowało, że ma rozmiary uczciwej kolubryny, a szerokość nogawek pozwalała snuć domysły, iż kryją w środku słoniowe nogi. Bardzo była z siebie zadowolona.

– No? Mówiłam – powiedziała z satysfakcją, przyglądając się z upodobaniem postaci w lustrze. – Nikt nie ma prawa mnie rozpoznać.

Siedząca w fotelu Malwina musiała przyznać jej rację. Jednakże wszystko w niej gromko protestowało przeciwko przemianie w potwora. Stan, który kobiety nazywały błogosławionym, dokopał jej straszliwie. Była wtedy niemiłosiernie gruba, spuchnięta i paskudna, w dodatku cerę miała okropną. Patrzyła na siebie w lustrze i prawie rozumiała niechęć małżonka. Przysięgła sobie, że już nigdy w życiu nie będzie tak wyglądać. Po porodzie zajęła się sobą tak skutecznie, że po dwóch miesiącach faceci mijający ją na ulicy dostawali na jej widok oczopląsu. I tak miało pozostać. Miała zamiar starzeć się z godnością i odsuwać w czasie ten przykry proces najdłużej jak się da. A tymczasem... I w dodatku sama to wymyśliła.

– W kłębie masz chyba tyle, ile hipopotam – mruknęła zgryźliwie.

– W kłębie to ma koń – oświadczyła z godnością Eliza i wzruszyła ramionami. – No i co z tego? Przecież to tylko przebranie. Wolę przez chwilę wyglądać jak fleja, niż siedzieć za niewinność... Twoja kolej. Przebieraj się – poleciła energicznie.

Malwina wstała i z ciężkim westchnieniem sięgnęła po rekwizyty.

Zdjęła z siebie wizytowe ciuchy i założyła mocno sprane dżinsy. Przewiązała je paskiem, bo były przynajmniej o trzy rozmiary za duże. Zerknęła w lustro i z zaciśniętymi zębami założyła rozciągniętą bluzę z kapturem. Przyozdobiła głowę siwą peruką, której strąki malowniczo zwiesiły się wokół twarzy i z desperacją nasadziła na nos okulary zerówki z wielkimi oprawkami. Popatrzyła na swoje odbicie i ulżyło jej trochę. Nikt by jej nie poznał w tym rozczochranym potworze.

– Super! – zachwyciła się Eliza. – Musimy zrobić próbę generalną – oświadczyła stanowczo i zanim przyjaciółka zdołała ją powstrzymać, gromko wrzasnęła: – Piotruła! Chodź tu na chwilę!

Piotruś spożywał w kuchni późne śniadanie. Na wezwanie matki przełknął pośpiesznie, wstał od stołu i ruszył do pokoju. Otworzył z rozmachem drzwi, spojrzął i zamarł z otwartymi ustami. Stały przed nim dwa koszarne wyciruchy płci chyba żeńskiej, choć głowy by za to nie dał. Wyglądały, jakby przed chwilą wynurzyły się z jakiejś meliny z zamiarem obrabowania kolejnego śmietnika. Potrząsnął głową, przetarł oczy, ale widok nie zniknął.

– Chryste, co... Matula, co to?!

Eliza i Malwina spojrzały na siebie i odetchnęły z ulgą. Kamuflaż był idealny.

– Przybij żółwika. – Eliza uniosła zaciśniętą dłoń.

– Co to jest żółwik? – zainteresowała się Malwina. – Aha, to jak przybić piątkę, tylko pięścią... No, to na szczęście. Przybijam!

Do zmaltretowanego widokiem Piotrusia dotarło nagle, że jedna z maszkar mówi głosem matki. Opadł na fotel, odchrząknął i surowo zapytał:

– Matula, co to ma znaczyć? Idziecie na bal gałganiarzy?

– Niezupełnie. – Eliza pomacała czarny kołtun na głowie. – Cholera,

to grzeje... Chciałyśmy sprawdzić, czy wyglądamy inaczej – wyjaśniła.

Piotruś zamrugał oczami.

– A po co macie wyglądać inaczej? – zapytał podejrzliwie. – Chcecie napaść na bank?

– Prawie trafiłeś, synku. – Malwina zdarła z głowy siwe strąki, rzuciła je niedbale na fotel i przyklepała własne włosy. – Twoja matka została bezczelnie okradziona w biały dzień. Zamierzamy dać nauczkę temu rabusiowi, ale nie chcemy, żeby nas ktoś rozpoznał.

Piotruś przez chwilę trawił jej oświadczenie, a gdy wreszcie do niego dotarło, jęknął ze zgrozą.

– Ciotula, wam ktoś mózgi zhakował?! W tym chcecie wyjść na ulicę?! Zamkną was za sam wygląd! Złodzieja będziecie napadać?! Co mu zrobicie?! Udusicie peruką?!

– Myślisz, że nie damy rady? – obraziła się Malwina. – Najpierw zrobimy rozpoznanie w tym przebraniu, a w stosownej chwili go dopadniemy i nauczymy moresu. Elegancko. Bez przemocy.

– O Jezu. – Piotruś złapał się za głowę. – Chcecie, żebym osiwiiał? Przecież jak ten facio zobaczy dwa straszidła... Naprawdę wam się wydaje, że nikt was nie zapamięta? Gdzie wyście widziały na ulicy tak zestrojone baby? Każdy się za wami obejrzy! Straż miejska was zwinie za włóczęgostwo!

– Nie bój się – uspokoiła go Malwina. – My go napadniemy w nocy. Nikt nas nie pozna. Zrobiłyśmy sobie bardzo przyjemne kominiarki.

Eliza zmarszczyła brwi i popatrzyła na swoje efektowne przebranie.

– Malwina... Cholera, wiesz, on może mieć rację – powiedziała po namyśle. – Gdybym ja na ulicy zobaczyła takie coś, to chyba bym zapamiętała. Może przesadziłyśmy z tym kamuflażem.

– To jak mamy za nim chodzić? – zdenerwowała się Malwina. – To małe miasteczko, wszyscy się znają. Wystarczy, że ktoś mnie zagadnie, kiedy będę prowadziła czynności śledcze i ten bandzior się zorientuje!

– Jakie czynności śledcze? – Piotruś jęknął rozdzierająco. – Policja mu nie dała rady, a wy go złapiecie? I co? Wsadzicie do ciupy? Zawieziecie na komendę? Oskarży was o napaść i jeszcze zażąda odszkodowania! Rany! Wystarczy, że kumpli zawoła i wylądujecie w szpitalu!

Eliza zdarła perukę, usiadła w fotelu i rzuciła synowi pełne uporu spojrzenie.

– Nie odpuszczę – oznajmiła twardo. – Młody parszywiec wydarł mi w biały dzień uczciwie zarobione pieniądze. Głupia nie jestem, wiem, że ich nie odzyskam, ale życzę sobie dać mu nauczkę. I to taką, żeby zapamiętał na całe życie!

– Na Zachodzie to jest lepiej zorganizowane – westchnęła Malwina i usiadła na swojej peruce. – Tam działają patrole obywatelskie, sąsiedzkie.

– Ciotula, oni tam mają Zachód ucywilizowany – powiedział z naciskiem Piotruś. – My na razie jesteśmy na etapie tego dzikiego. Gdyby ludziom dać taką możliwość, najpierw zajęliby się załatwianiem własnych rozliczeń... Dobra, kobiety. – Wyprostował się i popatrzył na nie groźnie. – Wiem, co to za facio, bo matula mi go pokazała. Położę za nim i dowiem się, jaki ma rozkład jazdy. A wy będziecie się trzymały jak najdalej od niego i grzecznie czekały na moje ustalenia. Nie śpieszy mi się, żeby zostać sierotą. – Pomyślał chwilę i nagle zapytał: – A właściwie co zamierzacie z nim zrobić, jak go już namierzę?

Malwina i Eliza spojrzały na siebie z pewnym zakłopotaniem. Wcześniej nie zastanawiały się nad tym specjalnie, rzucając luźnymi pomysłami, które nie miały raczej szansy na realizację, ale dobrze robiły na

samopoczucie.

– Tak myślałem – oznajmił Piotruś z satysfakcją, patrząc na ich miny.
– To zrobimy tak: ja pochodzę za tą gnidą, a wy pomyślicie o karze. Potem to przedyskutujemy, opracujemy plan i dopiero będziemy działać. Mam niezłe perspektywy na przyszłość. Nie chciałbym utknąć w pace... Pasuje?

Przyjaciółki przez chwilę myślały intensywnie. W końcu skinęły głowami. Piotruś odetchnął z ulgą. Czuł się, jakby właśnie przekopał tunel do Chin. Otarł pot z czoła i poszedł do kuchni dokończyć śniadanie.

– Wiesz, Malwina – powiedziała z namysłem Eliza – tak mi przyszło do głowy... Jak już przyjdzie pora na właściwą akcję, to co zrobisz? W domu masz dziennikarkę i policjanta. Będziesz się wymykać w środku nocy po kryjomu? Może byś wcześniej jakoś grunt przygotowała i zamieszkała u mnie na pewien czas? Jeden pokój mam całkiem wolny. Co ty na to?

– Pomysł dobry – zgodziła się Malwina. – Tylko muszę coś wymyślić, żeby przekonać dzieci. Jak się tak znienacka przeniosę, pomyślą, że się obrażam albo co.

– Możesz powiedzieć, że Stasiulek mnie po nocy nachodzi i chcesz mnie wesprzeć – podsunęła Eliza.

– A nachodzi? – Malwina zjeżyła się natychmiast.

– Iii tam. – Eliza machnęła ręką. – Raz usiłował po pijaku złożyć wizytę. Sama bym sobie poradziła, ale Piotruś akurat siedział do późna przy komputerze i dał tatusiowi odpór. Dobre mam dziecko. Wie, po której stronie się opowiedzieć.

– Dobre – przyznała Malwina. – Chociaż syn... Masz rację. Gdybym użyła twojego Stasiulka jako argumentu, to dzieci może by mi uwierzyły. Zaczę przy kolacji podsuwać im ten pomysł. Będą mieli czas, żeby się przyzwyczaić... Liza, słuchaj, ten twój Piotruś... My rzeczywiście musimy

poważnie się zastanowić nad karą dla tego rzezimieszka. Od dziś spisujemy na kartkach pomysły, a jak nam któryś przypadnie do gustu, dopracujemy szczegóły... Dobra. – Podniosła się z fotela i z ulgą zaczęła się przebierać we własne ciuchy. – A, słuchaj. Umówiłam cię na jutro w salonie Marta. Na dwunastą, nie zapomnij.

Eliza z powątpiewaniem przyjrzała się swojemu napuchniętemu nadgarstkowi.

– Naprawdę myślisz, że mi pomogą? Mój doktor powiedział, że już tylko operacja...

– A ty tak lubisz, żeby cię kroili? – zdziwiła się zgryźliwie Malwina. – Nie mówię, że ona cię od razu wykuruje, ale na pewno pomoże. Przynajmniej nie będzie cię tak bolało. A jak nic nie będzie mogła zrobić, to ci powie. Ona jest uczciwa. Sama słyszałam...

– Jak się nazywa?

– Marta Artymowicz. Nasi lekarze sami do niej wysyłają swoich pacjentów. – Malwina poprawiła włosy, przejrzała się w lustrze i spojrzała na przyjaciółkę. – O dwunastej, pamiętaj. Nie będę za ciebie oczami świeciła. Ona ma wielu pacjentów, wcisnęłam cię po znajomości. Raz mi dysk nastawiała, a potem sama zaczęłam do niej chodzić na taki specjalny masaż, który wspomaga kręgosłup. Bardzo przyjemna operacja. Wychodzę stamtąd, jakbym znów miała dwadzieścia lat.

Karolina Minatówna zwana Lalą, lat dwadzieścia cztery, czekała aż ciotka pozamyka skomplikowane zamki w drzwiach salonu, następnie pożegnała się i z lekką niechęcią ruszyła w swoją stronę. Nie to, żeby akurat w tym momencie życie specjalnie ją uwierało, ale pogoda i pora dnia źle wpływały na jej nastrój. Wiedziała, że – nim dotrze do domu – na głowie będzie miała platynowy kołtun, bo mżawka tak działała na jej włosy.

Pomyślała, że powinna wrócić do naturalnego koloru. Od pewnego czasu jest w końcu dorosła i nikt nie ośmieli się nazywać ją Cyganichą. A gdyby nawet, to świat się od tego nie zawali. Misiek też jest brunetem i ma czarne oczy i to mu nie przeszkadza. Trudno, żeby z dwojga czarnowłosych istot urodziły się odmieńce. Widocznie oboje mają *to w genach*.

Lala minęła sklep wuja Michała, skręciła i już miała przejść na drugą stronę ulicy, kiedy poczuła dziwny opór. Zdziwiła się lekko, ale nie zareagowała, zbyt pochłonięta myślami o swojej rodzinie. Rodzice byli w porządku – matka pracowała w bibliotece, a ojciec w sklepie wuja Michała. Lala trochę im zazdrościła. Nie pracy, ale tego, że udało im się wiele lat temu trafić na siebie i zgodnie egzystować przez te wszystkie lata. Jeśli się nawet czasem kłócili, ona tego nie słyszała. Ale chyba nie, bo ojciec był zawsze uosobieniem spokoju i rozsądku. Matka w zasadzie też, choć z tego kokonu wyrywały ją tarapaty, w które pakował się jej syn nazywany w gronie rodzinnym Misiem.

Lala westchnęła. Kiedy człowiek słuchał o Misiowych dramatach, trudno było uwierzyć, że brat skończył dwadzieścia dwa lata. I ona, i rodzice wydzwaniali do Michała po kilka razy w ciągu dnia, żeby się upewnić, iż wszystko jest w porządku. Miś kochał kłopoty i kłopoty kochały jego. Ostatni wyczyn kosztował go kilka szwów na twarzy i to Lala wlokła go na izbę przyjęć, bo właśnie ją uszczęśliwił dramatycznym oświadczeniem. A zaczęło się całkiem niewinnie. Miś wrócił z zajęć głodny jak wilk po przymusowej diecie i zamiast pójść od razu do mieszkania rodziców, które było obok, postanowił we własnych pieleszach ugotować jajka. Rodzice wprawdzie jeszcze nie wrócili z pracy, ale w domu zawsze było coś jadalnego. Miś jednak zapragnął jajek, a ich ugotowanie nie wydawało mu się szczytem kulinarniej maestrii. Wszystko zrobił, jak należy – umył

pożywienie, włożył do rondelka, zalał wodą i postawił na gazie. Po czym założył na uszy słuchawki, włączył muzykę i zapomniał o całym świecie. Do rzeczywistości przywołał go podejrzany zapaszek. Pociągnął nosem i trafił za nim do kuchni. Po namyśle stwierdził, że pochodzi z postawionego na gazie rondelka i lekko się zdziwił, bo nie kojarzył mu się z jajkami. Pochylił się nad naczyniem, które już dawno zapomniało, że była w nim woda, zawęszył jak rasowy ogar i w tym momencie jedno z pękniętych jajek zrobiło mu siurpryzę, wyskakując z rondla jak pocisk i trafiając go w twarz. Ryknął jak ranny lew, złapał się za poparzony policzek i natychmiast zadzwonił do siostry po ratunek. Czekala w sklepie na ojca, ale usłyszawszy, co się stało, od razu pognała do mieszkania brata. Miś powitał ją w progu, posykując i złorzecząc wszystkim jajkom świata i zademonstrował Lali poparzony policzek, w którym tkwiły skorupki. Siostra, nie zadając wiele pytań, chwyciła za kluczyki do samochodu, wyłączyła gaz, machnęła ręką na pobojuwisko w kuchni i zawiozła brata do szpitala. Dopiero na drugi dzień, kiedy opowiedziała całą historię Mamince, czyli ciotce Marcie, była zdolna się śmiać. Zwłaszcza że Maminka miała wyobraźnię i łatwo było ją rozśmieszyć. Rozmowy z ciotką miały jeszcze tę zaletę, iż po nich zwykle okazywało się, że życie wcale nie jest takie złe.

Lala znowu westchnęła. Kochała rodziców, ale z problemami leciała do Maminki. Z początku źle jej z tym było. Miała wrażenie, że to nie fair wobec matki, która przecież zawsze chętnie rozmawiała z dziećmi. Przeszło jej, gdy coś napomknęła na ten temat, a matka spojrzała na nią, uśmiechnęła się ciepło i spokojnie powiedziała:

– Lalu, to normalne. Nie mam zamiaru konkurować z Martą i nie jestem zazdrosna. Ja też z nią rozmawiam, kiedy mi źle. Ona działa jak okład na bolącą ranę.

Lala zamrugała oczami i wróciła do rzeczywistości, bo miała wrażenie, że coś jest nie tak. Powinna już dawno być po drugiej stronie ulicy, a tymczasem tkwiła przed pasami jak zaczarowana. Wysunęła nogę, by zejść na jezdnię, ale znowu poczuła opór. Nim zdążyła obrócić głowę, by sprawdzić, co ją powstrzymuje, usłyszała nieprzyjemny, zachrypnięty głos:

– Dawaj to! Puść, mówię, ty... Barbie częstochowska!

Lala odwróciła się wreszcie, bardziej zaintrygowana niż przestraszona, i ujrzała przed sobą niewysokie indywiduum, które ciągnęło ku sobie pasek jej torebki. Twarzy nie dostrzegła, bo zasłaniał ją kaptur przeraźliwie brudnej bluzy. Natychmiast przypomniała sobie opowieść jednej z klientek ciotki Marty, która wspominała, że jej przyjaciółka została okradzona w biały dzień na ulicy.

– Widzisz, jak to dobrze, że Kasia Doroszowa nauczyła was samoobrony? – powiedziała z satysfakcją Maminka po wyjściu pacjentki. – Chłopcy i tak sobie poradzą, a o córki nie musimy się martwić.

Teraz te słowa pomogły jej się pozbierać. Umiejętności nabyte na kursie cioci Kasi nieraz jej pomogły. Kiedy koledzy z gimnazjum ciągnęli ją za włosy i dokuczali, przezywając Cyganichą, Lala nie dyskutowała z nimi, tylko od razu rzucała na glebę, więc zaczęli szybko obchodzić ją z daleka. Teraz też się nie bała. Popatrzyła karcąco na złodziejaszka i łagodnie powiedziała:

– Siódme: nie kradnij. Spadaj stąd, a zapomnę o sprawie.

– Kurza mordą! – warknęło indywiduum. – Ty głucha jesteś? Torebkę dawaj, mówię! Już!

Lala zawsze nosiła torebkę przerzuconą przez głowę, bo wtedy nie bała się, że spadnie jej z ramienia. Poza tym ojciec specjalnie wzmacniał jej paski kolejnych nabytków, ponieważ jego córka nosiła w nich wszystko, co

wpadło jej w ręce, więc żadna normalna torebka by tego nie wytrzymała. Przyjrzała się teraz agresorowi z namysłem. Pokonałaby go bez trudu, bo nie wyglądał na miłośnika szlachetnej walki i z pewnością nie spodziewał się ataku z jej strony. Zerknęła niepewnie na klapę płaszcza, na której, połyskiwała srebrem śliczna broszka w kształcie aniołka, prezent od Maminki. Odniosła wrażenie, że aniołek pokręcił przecząco ufryzowaną głową i nagle przypomniała sobie, że w torebce ma kamienny przycisk do papieru, który ciotka dziś przyniosła do pracy i poprosiła, by Lala przekazała go swojej matce. Maminka uwielbiała robić przyjaciom prezenty, a w tym wypadku uparła się, że struktura przycisku pasuje idealnie do charakteru Ali Minatowej i Lala musiała przyznać, że coś w tym było – przycisk miał ciemnoszarą barwę poprzecinaną srebrnymi żyłkami. I był ciężki. Bardzo.

Lala spojrzała ukradkiem na nogi rzezimieszka. Miał na sobie stare, brudne trampki. Przez chwilę prawie go pożałowała, a potem westchnęła, z niewinnym uśmiechem odsunęła się od niego, zdjęła torebkę i upuściła ją na nogi napastnika.

Chłopak wrzasnął, wytrzeszczając oczy z bólu. Opadł na chodnik jak podcięta lilia, a Lala bez wysiłku podniosła swoją własność i spokojnie ruszyła w stronę domu.

– Co tam w pracy, dzieci? – zapytała niewinnie Malwina, stawiając na stole półmisek z ulubioną potrawą zięcia. W Kanadzie z uporem nazywano to danie naleśnikami, co ją niewymownie denerwowało; według jej opinii naleśniki były cienkie, to zaś były placuszki, które podawała z syropem z borówek amerykańskich. – Jak wam dzień minął?

– Jak zwykle. – Lukrecja pomyślała o kaloriach i rozsądnie zrezygnowała z jedzenia. Sięgnęła po płatki i poliała je jogurtem. – Luiza

szalała, bo Filip podlizzał się nowej władzy i za tydzień jedzie z burmistrzem na Ukrainę jako nasz przedstawiciel. Ma zrobić fotoreportaż z wizyty. Ona też chciała jechać, ale naczelny powiedział, że gazety nie stać na wysłanie dwojga pracowników.

– Aż tak ją ekscytuje ta Ukraina? – zdziwiła się Malwina.

– Prędeż się boi, żeby Filip podczas wycieczki kogoś sobie nie, przygruchał – mruknęła niechętnie Luka. – Pilnuje go jak pies kości.

– Pracowita kobieta – rzuciła zgryźliwie Malwina. – Powiedz jej, żeby mu GPS zainstalowała... Po co jej taki kogut? Pożytek z niego żaden, a pilnować trzeba na okrągło.

– Kama jej to samo powiedziała – wyznała Lukrecja. – Luiza się obraziła.

– Niektóre kobiety tak mają – wtrącił Łukasz, odrywając się od jedzenia. – Jak facet w porządku, to im nie pasuje. Jak wredny, do piekła za nim pójdą.

Malwina zamilczała komentarz, który cisnął jej się na usta i łaskawie zapytała:

– A co u ciebie, synku? Nikogo dziś nie ubili?

Łukasz wzdrygnął się i pokręcił głową.

– Proza życia: kradzież samochodu i pobicie. Dwóch małolatów się pobiło o pannę. Samochód już pewnie w częściach albo ma nowego właściciela, a małolaty skargi na siebie nie składały. Nudy.

– Jak się nudzisz, chętnie ci dostarczę nieboszczyka – powiedziała życzliwie Malwina. – Tylko najpierw musiałabym się dowiedzieć, kto odpowiada za podcinanie drzew w naszym mieście. Dziś widziałam to, co po sobie zostawili ci pseudofachowcy. Gołe pnie bez jednej gałęzi. Chętnie bym im zrobiła to samo. Obciąć rączki, nóżki i niech sobie rosną.

– Mamo, za takie coś idzie się do mamra – ostrzegł Łukasz. – Na długo.

– Pogadam z Kamą – wtrąciła pośpiesznie Luka. – Ona lubi przyrodę. Może o tym napiszemy. Słyszałam, że w cywilizowanych krajach tak się drzew nie podcina.

– To nie ma nic wspólnego z cywilizacją, tylko ze zerowym rozsądkiem! – warknęła Malwina. – Gdyby w ten sposób sadownik podcinał drzewa owocowe, to nigdy by się nie doczekał zbioru!

Przypomniała sobie, że ma sprawę do załatwienia i czym prędzej porzuciła drażliwy temat. Wes – 60 tchnęła ciężko, przybrała odpowiednio niezadowoloną minę i powiedziała niechętnie:

– Być może będę was musiała porzucić na pewien czas.

– Chcesz wrócić do Kanady? – przestraszyła się Luka. – Dlaczego? Mówiłaś, że już zostajesz!

– Zostaję... Lukrecjo, pamiętasz moją przyjaciółkę Lizę? Ciocia do niej mówiłaś...

– No, pamiętam. A co ona ma wspólnego z porzuceniem?

– Liza ma... – Malwina zmarszczyła brwi. – Nie, w zasadzie to jakby nie miała...

Łukasz uniósł głowę znad talerza i przyjrzał się teściowej z nagłym zainteresowaniem.

– Niech się mama zdecyduje – zażądał. – Ma czy nie ma?

– I uściśli – mruknęła Luka. – Z tego, co pamiętam, to na pewno ma męża i syna, a co do reszty, to nie wiem, co jeszcze. Dawno jej nie widziałam. Teraz ma pewnie więcej niż kiedyś.

Malwina popatrzyła na nich z naganą, bo przeszkadzali jej w naświetleniu problemu.

– Liza, mówię, ma męża – stwierdziła z naciskiem. – Oficjalnie ma, bo go pogoniła z domu. Dramaty przeżywał okropne, bo go z pracy wyrzucili i odbijał sobie na rodzinie. Liza tego nie wytrzymała i wystawiła go za drzwi. I ta moczymorda składa jej wizyty po nocach, i to w stanie wskazującym. Postanowiłam jej pomóc.

– W czym pomóc? – Łukasz spojrział podejrzliwie na teściową.

– A jak myślisz? – Luka westchnęła. – Pewnie się awanturuje i mama chce go zniechęcić... Zaraz! Mamo, przecież ona ma syna! Chyba już dorosłego. On nie wystarczy?

– Piotruła zarabia na utrzymanie – wyjaśniła powściągliwie Malwina. – Poza tym Liza się boi, że może tatusia niechcący uszkodzić i złamie sobie życie, bo go zamkną.

– Mamę też mogą, jeśli... – zaczął ostrzegawczo Łukasz, ale nie dała mu dokończyć.

– Synku, ja śmiecia nie tykam, bo się brzydzę. Ale jak w drzwiach stanę i powiem, co myślę, to może się zniechęci. A w razie czego mogę zadzwonić na policję i donieść o zakłócaniu spokoju, ciszy nocnej, miru domowego, czy czegoś innego. Łatwiej mi przyjdzie, bo to nie mój ślubny.

– A dlaczego ona się z nim nie rozwiedzie? – chciała wiedzieć Luka.

Malwina westchnęła potężnie.

– Czasu nie ma. I głowy do tego. Pracuje, żeby utrzymać resztki rodziny, bo przecież ta pijaczyna nie zarabia. Rozwiedzie się, jak już stanie na nogi... No, to was uprzedziłam. Nie wiem dokładnie, kiedy się do niej przeniosę, ale na wszelki wypadek od dziś zacznę więcej gotować, żebyście mieli zapasy.

Luka z wysiłkiem powstrzymała się od uwagi, że nie padali z głodu, zanim z nimi zamieszkała, więc i teraz nie padną, tym bardziej że

umiejętności gotowania nie zapomniała, a jedynie zawiesiła je na czas pomieszkiwania u nich nadgorliwej mamusi.

– Piętnaście minut przerwy – sapnęła Marta, wychodząc z gabinetu. – Lala, słonko...

– Już zrobiłam, Maminka – przerwała Lala, podając jej filiżankę z parującą kawą. – Siadaj sobie spokojnie. Następna pacjentka jest zapisana na dwunastą.

Marta postawiła ostrożnie filiżankę na małym stoliku, usiadła w wygodnym foteliku i wyciągnęła przed siebie nogi.

– Dziecko, jesteś skarbem – powiedziała z wdzięcznością. – Mam nadzieję, że twoi rodzice są tego świadomi.

– Są – uspokoiła ją Lala i wychyliła się zza swojego biurka. – Maminka, czy ja wyglądam jak Barbie?

Marta pośpiesznie przełknęła łyk gorącej kawy i przyjrzała się jej z zastanowieniem.

– Czy mam być szczerą, czy grzeczną?

Lala zmarszczyła brwi. Po chwili westchnęła i przeciągnęła dłonią po platynowej grzywie.

– Wyglądam... Myślisz, że powinnam wrócić do swojego koloru?

– A on ci w czymś przeszkadza? – zainteresowała się Marta. – I skąd ci się w ogóle wzięła ta Barbie?

– Mówiłam ci, że wczoraj jakiś łobuz próbował mi wyrwać torebkę – wyjaśniła smętnie Lala. – Nazwał mnie Barbie częstochowską. Barbie mogą zrozumieć, ale...

Marta zachichotała i wskazała ruchem ręki na wiszący na wieszaku płaszcz.

– Zobaczył aniołka i uznał, że jesteś wojującą katoliczką... Lala,

zapomnij o tych przygłupach ze szkoły i pogódź się ze sobą. A gdybyś była Cyganką, to co? Też byś się przemalowała? Dzieciaki są głupie, ale z tego wyrastają...

– Nie wszystkie.

– Nie wszystkie – zgodziła się Marta. – Ale nie wierzę, żeby ci zależało na tych najbardziej debilnych. Gdzieś sobie chodzi luzem taki ktoś, kogo nie obchodzi, jaki masz kolor włosów, tylko jaka jesteś. – Upiła łyk kawy i westchnęła. – Na mnie mówili Liliput albo Pcheła.

– Ale ciebie to tylko złościło, a mnie bolało – mruknęła niechętnie Lala.

– A niby dlaczego? Uważasz Cyganów za gorszych od siebie? Jeśli tak, to jesteś głupia, co stwierdzam z przykrością. Nie sądzi się ludzi po przynależności, tylko po tym, co robią i jak... Pogadaj z matką. Jest bibliotekarką. Wiem, że uważasz się za dorosłą, ale poczytaj sobie baśnie cygańskie Ficowskiego... To się chyba nazywa „Gałązka z drzewa słońca"... Albo wiersze Papuszy. To jest dorobek Cyganów, czy tam Romów, jak to się teraz mówi. – Pochyliła się ku milczącej Lali. – Strasznie mnie wkurza przypisywanie wady jednego bałwana całemu narodowi. Jeden polski złodziej czy pijak wyrobił nam markę w całej Europie.

Uśmiechnęła się nagle pogodnie i uspokoiła.

– Nie martw się, Lala. To już koniec kazania. I dzięki za cierpliwość. Nela na twoim miejscu przewróciłaby oczami i wyjęczała: Mamo! A co do twoich włosów, to ja bym na twoim miejscu wróciła do naturalnego koloru. Pomyśl, ile to roboty z odrostami, farbowaniem. Już nie mówię o tym, że włosy farby nie kochają, choćby była najbardziej ekologiczna. No i przy czarnych możesz nosić mocne kolory. Same zalety... Dzięki Bogu, że ty rozsądek odziedziczyłaś po obojgu rodzicach. – Do salonu weszła kolejna

pacjentka. – I czuję się usatysfakcjonowana, że do ukarania tego łobuza użyłaś kamienia ode mnie. Ja zmusiłabym takiego bandziora do wypicia butelki rycyny – wstała i przeciągnęła się. – Dzięki za kawę, Laleczko... Pani była umówiona na dwunastą? Proszę za mną.

Eliza wyszła z gabinetu lekko ogłuszona (bo właścicielce nie zamykały się usta) i pełna wdzięczności. W upojeniu zaciskała i rozwierała dłoń, nie mogąc się nadziwić, że po jednym zabiegu jest w stanie dokonać takiego cudu. W dodatku za wizytę nie zapłaciła ani grosza. Dokładnie tak, jak powiedziała jej Malwina. Zapłacić miała dopiero za kolejną, na którą już się zapisała. Cała w skowronkach podeszła do siedzącej przy biurku wiotkiej blondyneczki.

– Pani Marta kazała mi kupić tę maść. – Przesunęła po blacie karteczkę z nazwą. – Nie chciałam jej przeszkadzać, bo widzę, że już czeka następna pacjentka – wskazała ruchem brody korpulentną kobietę, która sztywno wyprostowana podniosła się z fotela – ale gdzie to można kupić? W każdej aptece?

– Moment. – Lala poderwała się z krzesła, zajrzała do gabinetu i skinęła na pacjentkę. – Proszę wejść... Co to jest? – Przeleciała wzrokiem po kartce. – A, to maść z kasztanowca. Bardzo dobra... Tak, dostanie ją pani w każdej aptece.

Eliza podziękowała, zarzuciła na siebie płaszcz i już miała wyjść, kiedy coś jej się przypomniało. Z wahaniem odwróciła się ku dziewczynie.

– Przepraszam bardzo – powiedziała niepewnie – ale usłyszałam, co pani Marta mówiła, zanim mnie przyjęła. O bandziorze i rycynie...

Lala prychnęła śmiechem.

– Moja szefowa ma bojowe nastawienie do wszystkiego, co jej się nie podoba – wyjaśniła pobłaźliwie. – Jakiś złodziejasek próbował mi wczoraj

wyrwać torebkę, ale mu nie wyszło. Maminka uznała, że rycyna nauczyłaby go moresu.

Brzmiało to bardzo interesująco i Eliza poczuła przyjemny dreszczyk gdzieś w sobie. W poczekalni nie było żywej duszy. Pokiwała zachęcająco na młodziutką pracownicę i umościła się w fotelu.

– Chcę wiedzieć wszystko na ten temat – oświadczyła stanowczo. – Chcę wiedzieć, kto panią napadł, jak panią napadł, jak sobie pani z nim poradziła i co mu może zrobić rycyna. Bo, widzi pani, mnie też bandzior napadł i pozbawił gotówki, nie mówiąc o dokumentach...

Malwina wpuściła podekscytowaną Elizę, która wcześniej telefonicznie upewniła się, czy zostanie przyjaciółkę w domu.

– Widzę, że ci pomogła, chociaż tak wydziwiałaś – powiedziała z przekąsem, prowadząc ją do pokoju. – Energia aż od ciebie bije.

– Boli mnie zdecydowanie mniej – przyznała Eliza i usiadła w fotelu. – I opuchlizna trochę zesza. I ona mi wyliczyła, o co powinnam zadbać... Nieważne. Słuchaj, ja tam spotkałam bardzo bystrą dziewczynę. Wyobraź sobie, też ją napadł ten łobuz, ale dała mu odpór! – Opowiedziała z przejęciem, jak Lala poradziła sobie z napastnikiem i popatrzyła tryumfalnie na współniczkę.

– Będziemy nosić w torebkach kilogramy kamieni? – Malwina zmarszczyła nos z dezaprobatą. – Wolałabym dokopać temu gówniarzowi, nie sobie.

– Dobrze mówisz – pochwaliła z zapalem Eliza. – I dobrze go określiłaś. Gówniarzem to on zostanie do końca życia... Żadne kamienie. Rycynę mu do mordy wiejemy! Rozmawiałam z ekspertką. Po pół godzinie skutek murowany! A wstyd na całą wieś!

– Jesteś pewna, że on tę rycynę dobrowolnie wypije? – W głosie

Malwiny dźwięczał sceptycyzm. – Zaciśnię mordę na amen i lewarkiem nie poradzisz... Pół godziny? Mamy przy nim sterczeć przez pół godziny i czekać na efekty? Śmierzące w dodatku? Mało przyjemny widok.

– Ale jaki ekologiczny!

– Ekologiczny?! Chyba ci odbiło! To klasyczny przykład zanieczyszczania środowiska!

– W ten sposób to wszelka żywna zanieczyszcza środowisko już od zarania dziejów – stwierdziła Eliza, wzruszając ramionami. – Dopilnujemy, żeby zanieczyścił tylko atmosferę. Zawartość będzie musiał zabrać ze sobą w portkach do domu, a powietrze samo sobie poradzi.

– Może i coś w tym jest – przyznała niechętnie po namyśle Malwina. – A jak masz zamiar go zmusić, żeby tę rycynę spożył? Z tego, co pamiętam z dzieciństwa, to ona nie jest przyjemna w smaku.

– Lejek! – oznajmiła tryumfalnie Eliza. – Wetkniemy mu w otwór gębowy lejek i polecą prosto do gardła!

– Może się udławić...

– No i czego piętrzysz problemy? Cholera... Czekaj, podobno ci francuscy bandyci masują po szyi te nieszczęsne gęsi, co z nich pasztet...

– Będiesz go masować po szyi?! Malwina spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzaniem. – To bandzior! Sama mówiłaś, że brudas!

– Umyję potem ręce spirytusem. Albo założę rękawiczki – odparła niecierpliwie Eliza. – Nie chcę go zabić, tylko ukarać... Wiesz co? Ja bym najpierw zrobiła próbę generalną. Trzeba by zobaczyć, jak ta rycyna działa, bo może dałoby się ustalić dawkę, która szybciej...

– Na kim masz zamiar próbować? – zainteresowała się cierpko Malwina. – Na Piotrusiu, czy na mnie?

– Najchętniej na Stasiulku – mruknęła Eliza. – Albo na teściowej... Za

kogo ty mnie masz? Sama się poświęcę.

– Stasiulek byłby niezły – zamyśliła się Malwina.

– Musiałabym go trzymać w domu i obserwować. Nie chcę. Jeszcze się przywiąże do idei powrotu na łono rodziny. Chyba mi lepiej bez niego... Wiesz, ta rycyna podobno bardzo ciekawie działa – dodała z ożywieniem. – Nie w żołądku, tylko w jelitach. Rozłazi się po nich i robi taki poślizg.

– Przestań! Wystarczy mi, że działa. Nie czepiam się szczegółów... Rozmawiałam z dziećmi. Możesz przygotować pokój. Jutro albo pojutrze przeniosę się do ciebie.

Piotruś na razie nie miał kolejnych zleceń, więc postanowił poświęcić czas na rozpracowanie podłego bandziora. Matka ostatnio wydawała się podejrzanie podekscytowana i obawiał się, że nadmiar energii może zużytkować w niewłaściwy sposób. Wolał nie ryzykować.

Najpierw przeprowadził sondę wśród tych szkolnych kumpli, którzy obracali się w dość nizinnym towarzystwie. Wysłuchał żalów na brak szmalu, na kraśnicką klikę, która miejsca pracy nie wymagające wielkiego wysiłku trzyma pazurami dla swoich, na ciężki żywot w prowincjonalnym miasteczku i wysokie ceny piwa. Gładko wtrącił coś na temat cwaniaków, którzy dorabiają sobie w mniej konwencjonalny sposób, i dowiedział się, że owszem, jest taki jeden. Za plecami nazywają go Skunks, bo higiena jest dla niego pojęciem obcym, a z napaści na bezbronne staruszki ciągnie niezłe zyski. Ale kraśnicki półświatek trzyma się od niego z daleka, bo sknera jest. Nikomu nie postawi, grosza nie pożyczy. Wszystko przegrywa w Oazie. Wieczorami grają tam w pokera, a Skunks nie odpuści żadnej partii, dopóki nie przegra całej forsy. Dlatego z nim grają, bo tak naprawdę to gracz z niego żaden. Gdyby wygrywał, pewnie by go pogonili, ale że kasę zostawia na miejscu, jak *oś* go tolerują.

Myśl, że ciężko zarobione pieniądze matki złodziej idiotycznie przegrał, nie spodobała się Piotrusiowi. Do tej pory traktował całą rzecz jako nieprzyjemny incydent. Teraz uznał, że ktoś powinien zniechęcić bandziora do procederu raz na zawsze. Postanowił uczciwie wziąć się do roboty.

Tego samego wieczoru przysiadł się do starego kumpla i razem poszli do Oazy. Kosztowało go to sześć piw, ale nie żałował, bo od razu popchnął sprawę naprzód. Do ich stolika przysiadł się jakiś oprych. Kumpel akurat komentował pod nosem wyraźną niecierpliwość Skunksa, który chyba czekał na resztę graczy. Bywalcy Oazy omijali go dziwnie szybko, starając się znaleźć wolne miejsce jak najdalej. Oprych zarechotał i z pełną pogardą satysfakcją wyjaśnił Piotrusiowi tutejsze obyczaje. Gra, mianowicie, zaczynała się dopiero o dwudziestą trzecią. Gracze zostawali, reszta wychodziła. Właściciel nie był stratny, bo wszyscy wypijali swoje wcześniej, a wygrany odpalał mu procent. I tylko z tego powodu tolerowano obecność Skunksa w knajpie. Był mile widzianym graczem, bo jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się wygrać.

Piotruś udał wścibskiego idiotę i dowiedział się wiele o zwyczajach bandziora. Oprych zwierzał się bez zahamowań i podejrzliwości. Najwyraźniej uznał go za swojego.

Przed dwudziestą trzecią magister Barnaba opuścił dom hazardowej rozpusty i pognął do własnego, bo marzył o kąpieli. Miał wrażenie, że cały śmierdzi piwem i papierosami. Piwo też zrobiło swoje i Piotruś z nagłym rozczuleniem pomyślał o czystej, pachnącej łazience. Do tej w obskurnym lokalu nie odważył się nawet zajrzeć.

Mieszkanie było zamknięte na trzy spusty. Zdziwił się nieco, a potem przeraził, że może jego rodzicielka postanowiła osobiście szukać rzezimieszka na krańskich ulicach. Ulżyło mu, gdy zauważył, że w pokoju

świeci się światło, a telewizor jest włączony. Matka pewnie po prostu nie usłyszała dzwonka.

W pokoju jej jednak nie było. Piotruś rozejrzał się, pomyślał chwilę i wrzasnął informacyjnie:

– Matula! Wróciłem!

Przez chwilę w domu panowała cisza przerywana tylko odgłosami z telewizora. Wreszcie w drzwiach łazienki stanęła Eliza Barnaba. Twarz miała ziemistoszarą, wzrok nieco błędny. W zwojach cienkiego szlafrocza wyglądała trochę jak widmo z poprzedniej epoki i Piotruś uczył lekki niepokój. Matka była okazem zdrowia, nigdy nie chorowała, a teraz sprawiała wrażenie, że ledwo stoi na nogach.

– Piotruła – powiedziała słabym głosem – jak musisz do łazienki, to szybko, bo ja... – Poszarzała jeszcze bardziej i cofnęła się gwałtownie, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Piotruś przez chwilę stał niezdecydowany, w końcu wrócił do pokoju i usiadł na rozłożonej kanapie. Zamyślił się głęboko. Kiedy parę godzin temu wychodził z domu, wszystko było w porządku. Matka przygotowywała pokój dla swojej przyjaciółki i tak była tym zaabsorbowana, że nawet nie zapytała, o której wróci. Coś chyba musiała zjeść i wyraźnie jej zaszkodziło, bo te objawy... Piotruś nagle poczuł, że piwo, które wypił w Oazie, wielkim głosem woła o wolność. Poderwał się i załomotał w drzwi łazienki.

– Matula! Błagam, wyjdź, bo ja muszę... No, muszę!

Ze środka dobiegło bolesne stęknienie i dźwięk spuszczonej wody, a zaraz potem dziwny syk. Po chwili rzetelnie sponiewierana Eliza wypełzła niemrawo z przybytku i znękana oparła się o ścianę w przedpokoju. Do dalszych peregrynacji nie czuła się zdolna. Poza tym w pobliżu azylu czuła się bezpieczniej.

– Ale tylko na chwilę, bo ja chyba jeszcze nie skończyłam – powiedziała słabym głosem. – Tylko szybko, Piotruła. Bo będzie nieszczęście...

Piotruś nie czekał. Wpadł do łazienki jak pershing. Dopiero po chwili dotarło do niego, że w pomieszczeniu panuje dziwny konglomerat woni. Na czoło wybijał się aromat konwalii. Zdziwił się trochę, ale dojrzał stojący na wannie odświeżacz zapachów i skojarzył z nim to dziwne syczenie. Nie roztkliwił się nad rozrzutnością matki, tylko zrobił swoje, pośpiesznie umył ręce i wyszedł, bo usłyszał z przedpokoju jęk. Wpadła do środka, omal go nie przewracając.

– Matula – powiedział niespokojnie przez drzwi – może pogotowie wezwać? To nie wygląda na normalne zatrucie.

– Wiem, że nie – wystękała Eliza przez zaciśnięte zęby. – Nikogo nie wzywaj. Dam radę. Naszykuj tylko dużo picia, żebym się nie odwodniła.

Siedząc na sedesie, do przewinień złodziejaska dopisała jeszcze jedno. Nie miała zamiaru cierpieć na darmo. Wleje rycynę w tego parszywca, nawet gdyby miała mu przy tym wybić wszystkie zęby. Malwina na pewno ma kamerę, a jak nie, to z przyjemnością wyda pieniądze, żeby uwiecznić całą zemstę. Nagrają to i będą sobie oglądać dla przyjemności. A może uda jej się namówić syna, żeby puścił film w Internecie?

Piotruś posłusznie potruchtał do kuchni i nastawił wodę na herbatę. Był głodny, ale nie wiedział, co matce zaszkodziło i wolał nie ryzykować. Drugiej łazienki w domu nie było.

Pozaglądał do garnków. Ślinka mu poleciała na j widok gulaszu z obiadu, ale nie odważył się spróbować. Po namyśle ukroił potężną pajdę chleba, posmarował margaryną, położył na to wędlinę wyjętą i z lodówki, usiadł przy stole i zaczął jeść. Machinalnie przysunął do siebie ciemną

buteleczkę, która stała na brzegu. Parę razy obrócił ją w dłoni, nim zorientował się, co zawiera. Napis na opakowaniu był wystarczająco wyraźny.

Piotruś w dzieciństwie bywał straszony rycyną przez babkę Barnabinę. Głównie wtedy, gdy rozrabiał. Łyżka tego specyfiku miała w nim podobno zaszcześcić grzeczność. Na szczęście matka zobaczyła w porę, co się święci i raz na zawsze ucięła podstępą działalność babki. W Piotrusiu pozostało jednakże granitowe przekonanie, że rycyna jest obrzydliwa i zmienia człowiekowi charakter. Teraz gapił się na buteleczkę, usiłując zrozumieć, do czego jej zawartość była potrzebna matce. Nic nie wymyślił, zatem pośpiesznie wepchnął w siebie resztki kanapki i poszedł do swojego pokoju. Odpalił komputer i rozpoczął poszukiwania. Kiedy w kuchni zagwizdał czajnik, Piotruś wiedział już wszystko na temat działania rycyny. Zalała go głęboka wdzięczność, że matka uratowała go wtedy przed takim cierpieniem, ale za chińskiego boga nie mógł pojąć, dlaczego sama się katowała. Bo nie wątpił, że dzisiejsze perturbacje były wynikiem zażycia specyfiku. Może to jakaś nowa dieta? – pomyślał niepewnie.

Zaparzył herbatę i stanął pod drzwiami łazienki. Wewnątrz panowała cisza.

– Matula? Żyjesz? – Zaskrobał w drzwi.

– Zaraz... – dobiegł go znękany głos. – Znowu musisz?

– Nie, ja tylko... Zrobiłem herbatę. Jak będziesz chciała wyjść, to zawołaj. Zaprowadzę cię do pokoju. Dobra?

Z łazienki doleciał słaby pomruk, który uznał za zgodę. Piotruś usiadł na dywaniku naprzeciwko przybytku, oparł się o ścianę i zadumał głęboko. Kobieta to jednak niezrozumiały dla normalnego człowieka twór boży. Któremu facetowi przyszyłoby do głowy, żeby się odchudzać? Co komu do

jego wagi, jeśli tylko jest w stanie samodzielnie się poruszać? Albo te operacje plastyczne. Człowiek został skonstruowany przez naturę. Wygląda, jak wygląda, i koniec. Katować się tylko po to, żeby upodobnić się do jakiegoś ideału? W dodatku co dla jednego idealne, dla drugiego niekoniecznie. Widział coś takiego na Discovery. Po operacji te biedule wyglądają jak klon Frankensteina – popuchnięte, obolałe, czasem dochodzi do różnych powikłań. Nie rozumiał tego. Jak strasznie trzeba nie lubić siebie, żeby dobrowolnie pozwalać się okaleczać i jeszcze płacić za to ciężkie pieniądze... No, dobrze. Czasami jest to konieczność, bo po wypadkach różnie bywa i wtedy jest przykro, gdy niektórzy ludzie głupio komentują, jakby oni sami byli pod jakąś ochroną. Nikt nie może być pewny, że akurat jego ominie nieszczęście. Piotrusiowi nigdy nie przeszkadzał czyjś wygląd. Ktoś lubił mieć kolczyki w dziwnych miejscach, dredy czy tatuaże, jego sprawa. Po co komu ideał urody, kiedy nie ma z nim o czym rozmawiać? A głupoty zoperować się nie da.

I niestety na pierwszy rzut oka nie jest widoczna.

Piotruś z nagłym niepokojem pomyślał o platynowowłosym aniele. Nic o niej nie wiedział, może ona też... Nie, istota, która ma tak wymowne oczy, nie może być głupia. Podobno oczy to zwierciadło duszy. Coś w tym jest. Przypomniawszy sobie licealną piękność. Wyglądała jak modelka. Patrzący na nią z przyjemnością, dopóki człowiek nie spojrzał w jej oczy. Co z tego, że były podkreślone najlepszym makijażem, jeśli nie wyrażały żadnych uczuć? No, czasem wyrażały. Przeważnie wyniosłość i pogardę. Dziewczę uważało się za ósmy cud świata i pewnie nigdy jej nie przyszło do ślicznej główki, że chłopaki między sobą rozmawiali o niej jak o trofeum – pokazać się z nią, przelecieć i bye – bye, baby.

Piotruś westchnął. Kiedy już pomoże matce dorwać tego Skunksa,

przeprowadzi stosowne poszukiwania. Będzie łąził po kraśnickich ulicach, aż któregoś dnia wpadnie na tę cudowną istotę i przekona ją, że są idealnie kompatybilni.

Zza drzwi łazienki dobiegło ciężkie szuranie i Piotruś porzucił marzenia, podrywając się na równe nogi. Ostrożnie wziął sponiewieraną matkę pod ramię i poprowadził do pokoju. Dopiero gdy posadził ją na rozgrzebanej kanapie i podał kubek z herbatą, zapytał:

– Matula, po co ci była ta rycyna? – Coś go nagle tknęło. – Ta znachorka ci to kazała pić? – Ze złością zmierzwił włosy. – Wiesz, że przedawkowanie może być niebezpieczne? Po co ci jakieś diety, matula? Ja jestem młodsze wyszczekane pokolenie i nie boję się mówić prawdy – ty masz naprawdę wszędzie tyle, ile trzeba!

– Bóg zapłać za dobre słowo, Piotruś – powiedziała Eliza słabym głosem. – I nie mów o niej „znachorka”. Jeśli dobrze pamiętam, to jej syna uważasz za kumpla. – Kiedy spojrział na nią ze zdziwieniem, wyjaśniła: – Aleks Artymowicz. To jego matka. – Westchnęła ciężko i dodała: – Ona mi niczego nie kazała, Piotruś. Sama wpadłam na tę rycynę. Przypadkiem.

– Stała na drodze i zaczepiała cię? – nie wytrzymał Piotruś.

– Przypadkiem usłyszałam coś na ten temat i po – stanowiłam sprawdzić, czy się nada jako narzędzie zemsty. I już wiem, że świetnie się nada – oznajmiła matka z satysfakcją.

Piotruś zaniemówił. Przez chwilę patrzył na swoją rodzicielkę, jakby znienacka wyrosły jej dwie głowy. Wreszcie westchnął i powoli powiedział:

– Wyjaśnijmy to sobie. Chcesz facia nafaszerować rycyną? Masz pojęcie, ile z tym będzie roboty? Najpierw ktoś go musi złapać, przytrzymać i dopiero wtedy... Przecież on nie da sobie tego świństwa wcisnąć do pyska!

– Kupiliśmy w Lublinie w takim sklepie z grochowizną kajdanki...

– Co to jest grochowizna? – jęknął Piotruś. – Mów do mnie normalnie!

– Malwina to tak nazywa: groch, mydło i powidło, takie różne gadzety... Mam lejek. – W głosie Elizy dźwięczał upór. – We dwie damy radę.

– Nie ma mowy! – Piotruś złapał się za głowę. – Pójdę z wami, zanim obie wylądujecie w pace, albo w szpitalu!

– Okej, Piotruś – zgodziła się potulnie matka I upiła łyk herbaty. – To może już jutro o tym porozmawiamy, jak Malwina się wprowadzi? Bo teraz to się czuję, jakby mnie przez wyżymaczkę przepuścili...

– Ta rycyna jest świetna! – powiedziała Eliza, przyglądając się przyjaciółce, która wyjmowała z torby swoje rzeczy. – Jak się weźmie trochę więcej, niż zalecana dawka, działa błyskawicznie. A poślizg to rzeczywiście daje, że ho, ho!

– Właśnie widzę – mruknęła zgryźliwie Malwina i popukała się w czoło. – Wyglądasz gorzej niż nieboszczyk po ekshumacji. Naprawdę musiałaś sama to wypróbować?

– Chciałam wiedzieć, jak działa – rozzłościła się Eliza. – Jak mu to wiejemy do mordy, będzie mi przyjemniej, jeśli dokładnie będę wiedziała, co czuje, Należy mi się jakaś satysfakcja!

– Teraz to już podwójna. – Malwina pokręciła głową. – Dobra. Ja tu dziś jestem za kucharkę. Trzeba cię jakoś wspomóc, bo pewnie z pięć kilo ci ubyło po tym poślizgu. Siedź na tyłku, a ja zrobię zakupy, Rosół powinien ci dobrze zrobić. Nie jestem pewną co ty tam możesz jeść bez szkody dla zdrowia, ale z dzieciństwa pamiętam, że moja babka zawsze leczyła wszelkie przypadłości rosółem.

– Rób, co chcesz. Piotruś jeszcze śpi po tych wczorajszych

ekscesach. Wczoraj szukał naszego parszywca. Jak wstanie, wszystko opowie. A ja się zabiorę do roboty. Siedzącej – dodała szybko, bo przyjaciółka rzuciła jej ostre spojrzenie. – Klientka mi podrzuciła papiery.

Przez sen Piotruś poczuł jakiś niebiański zapach. Nim zdołał go zidentyfikować, zaburzało mu w brzuchu i uznał, że najwyższa pora wstawać. Otworzył jedno oko, pociągnął nosem i wreszcie skojarzył – to był wabiący aromat rosółu. Poderwał się z łóżka, przeciągnął błogo i już miał iść do łazienki gdy przypomniał sobie, że dziś miała się u nich zainstalować ciotka Malwina. Wiedział, że z tolerancją płci przeciwnej było u niej ciężko, zatem wolał się nie narażać. Naciągnął na siebie dzinsy i dopiero wtedy wyszedł z pokoju.

Rosół pachniał tak kusząco, że Piotruś umył się ekspresowo, założył pierwszy podkoszulek, który mu wpadł w ręce, i powędrował za wonią do kuchni.

– Dzień dobry, ciotula. – Znowu pociągnął nosem i prawie się oblizał. – Takie rosółowe perfumy wachałbym z przyjemnością... – Zajrzał do garnka. – A mięso gdzie? – zapytał podejrzliwie. – Na czym ten rosół? Jakież nowe kostki wymyślili?

– Jakie kostki, profanie! – prychnęła Malwina i spojrzała na niego z naganą. – To jest porządny, mieszczański rosół na wołowinie, indyku i kurze. I na uczciwych polskich warzywach.

– I co? Rozgotowało się tak na amen? – zmartwił się Piotruś. – A ja taki głodny jestem. Doładowanie by się przydało. Mięsko by mi pasowało...

– Jadasz obiad na śniadanie? – zainteresowała się zgryźliwie Malwina. – Kto to widział, żeby dorosły chłopak spał do pierwszej!

– Hej, ciotula, zaraz! – obraził się Piotruś. – Niewinny jestem jak motylek nad łąką! Musiałem się wyspać porządnie, bo wczoraj najpierw

prowadziłem czynności śledcze, a potem jeszcze na wszelki wypadek do rana się nie kładłem, bo jednakowoż matulę mam tylko jedną i wolałem zachować czujność harcerską, gdyby trzeba było wzywać doktora!

Malwina złagodniała i wskazała mu taboret.

– Siadaj, dziecko. Twoja matka już jadła i powoli odżywa, a ciebie też zaraz nakarmię. – Postawiła mu przed nosem parujący talerz. – Ja po nocach nie uprawiam sportów ekstremalnych, więc swoją energię wykorzystałam w bardziej przyziemny sposób. Z tego mięsa, co go tak nie możesz odżałować, narobiłam pierogów.

Piotruś pojaśniał jak zorza i ochoczo zabrał się do jedzenia.

– Na szczęście Skunks ma bardzo uporządkowany tryb życia – oznajmił najedzony do wypęku Piotruś (Malwina rozpanoszyła się w kuchni i na kolację zrobiła naleśniki z serem na słodko). – W Oazie grają dwa razy w tygodniu, więc on tylko w te dni napada, Kumpel mi mówił, że przeważnie najpierw kręci się pod jednym z banków albo przy bankomatach, upatrzy sobie kogoś, idzie za nim i odbiera kasę. Potem się melinuje w domu aż do wieczora i przychodzi do Oazy przed grą. Siada w kącie i czeka.

– No, proszę, jakie mam zdolne dziecko – pochwaliła się z macierzyńską dumą Eliza. – Wystarczyło, że raz zwizytował terytorium wroga i już wszystko wie. A ten twój zięć...

Malwina się najeżyła. Zięć był jej osobistą własnością i tylko ona miała prawo go krytykować. Tak stanowił jej własny kodeks, od którego nie było odwołania.

– Mój zięć – syknęła urażona – już nie jeździ na patrole, tylko jest śledczym! Do pospolitych rozbojów używają niższych stopniem! A poza tym co policja może zrobić, jeśli społeczeństwo ukrywa ważne informacje?

– A pytał któryś? – odbiła piłeczkę Eliza i szybko załagodziła: – Masz rację w zasadzie. Jak ja do nich zadzwoniłam, to kazali mi przyjechać, spisali protokół i powiedzieli, że mam czekać na wyniki śledztwa. A niedługo potem przysłali pismo, że umarzają. I podpisany był komendant, a nie twój zięć...

– I dowiedziałem się, że ten Skunks mieszka w starych blokach za Smoluchem – wtrącił pośpiesznie Piotruś, żeby zażegnać wiszącą w powietrzu awanturę. – Najlepiej będzie go dorwać, jak już wylezie po grze. On zawsze chodzi przez park. Jakbyśmy go tak capnęli w jednej z ciemniejszych alejek...

– Zawsze można zbić latarnię – podpowiedziała życzliwie Eliza. – Kiedyś nieźle strzelałam z procy.

– Nie życzę sobie zostać miejskim wandalą z powodu jakiegoś parszywca! – oznajmiła stanowczo Malwina. – Latarnie są z naszych podatków. Będiesz jeszcze dokładać do tego interesu? Lista ci urośnie i do końca życia nie zdążysz się zemścić za Wszystko.

– Matula, to ma być podobno ekologiczna zemsta – zauważył Piotruś ostrzegawczo. – Są takie miejsca, gdzie jest więcej krzaków. Tam go możemy zaciągnąć. Pora już będzie taka, że po parku raczej nikt się nie kręci.

– Chyba, żeby jakiś lunatyk – mruknęła Malwina.

– Wielkie mecyje. – Eliza wzruszyła ramionami. – Lunatyk i tak potem nic nie pamięta. Poza tym on się kręci przeważnie po domu. Piotruś tak chodził. Brał poduszkę i szedł spać do wanny. Do tej pory nie wiem dlaczego. Wody w niej nie było, ale twardo jednakowoż.

– Może się hartował... Odczep się od lunatyków. – Malwina machnęła ręką na Piotrusia. – Mów dalej, synku, i nie pozwól jej przerywać. Ona ma

zawsze najwięcej do powiedzenia wtedy, jak inni mówią.

– Ale mówię na temat – obraziła się Eliza.

– Pewnie. – Malwina prychnęła pogardliwie. – Bardzo nam się przyda informacja, że twój syn lunatykował.

– Chciałam tylko...

– Cisza, kobiety! – huknął Piotruś i bardzo się zdziwił, kiedy posłusznie zamilkły. – No... Możemy go, mówię, zaciągnąć w te krzaki i tam spokojnie działać. Najpierw mu trzeba wytłumaczyć, za co ta ekologiczna zemsta, a potem się wetknie ten lejek...

– Może trzeba wypróbować? – zatroskała się Malwina. – Bo jak on zaciśnie mordę, to możemy nie dać rady. Chyba żeby miał szczerbę w uzębieniu... Sprawdzałeś?

– Nie zaglądałem mu w paszczę! – rozzłościł się Piotruś. – Po pierwsze, wszyscy go omijali jak prawdziwego skunksa, a po drugie, nie chciałem ryzykować, że mnie zapamięta... Ciotula może mieć rację – przyznał niechętnie. – Ja bym chyba nie dał sobie wepchnąć do gęby żadnego obcego tworu. Nawet szpatułki nie lubię.

– To może rzeczywiście wypróbujemy. – Eliza poderwała się ochoczo i podreptała do kuchni. Wróciła po chwili, dzierżąc tryumfalnie niewielkich rozmiarów lejek. – Poświęcisz się, Piotruś?

Piotruś westchnął i posłusznie zacisnął usta. Eliza z początku działała delikatnie, bo jednak nie miała zamiaru uszkodzić uzębienia ukochanego jedynaka. Kiedy to nie przyniosło oczekiwanego efektu, jej osobisty upór pokonał miłość i z mocą huraganu zaczęła wpychać w syna oprzyrządowanie. Piotruś w końcu zdołał odepchnąć jej ręce i uciekł w drugi kąt pokoju.

– Matula! – wycharczał z wyrzutem. – Chciałaś mi to wepchnąć do

żołądka?

– Nie jest dobrze – mruknęła rozczarowana Eliza. – Byłam pewna, że się uda.

– Konflikt interesów – oznajmiła Malwina i westchnęła. – Jak ja czegoś nie chcę, to też się bronię... I co teraz? Jeszcze nie zaczęliśmy właściwej akcji, a już problemy się piętrzą. Jak go zmusimy, żeby połknął rycynę? Może trzeba nabyć na bazarze jakąś ruską spluwę? Albo chociaż korkowca?

– Korkowca to faktycznie się przestraszy. – Eliza prychnęła. – One są kolorowe i od razu widać, że zabawka... Cholera, coś trzeba wymyślić. Nie życzę sobie cierpieć na darmo... Co ty robiłaś, jak Lukrecja była mała i musiałaś w nią wcisnąć jakieś lecznicze świństwo?

– Tłumaczyłam – odparła Malwina cierpko. – Moja córka nie była debilem i rozumiała na ogół, co do niej mówię. Jeśli czasem się zdarzyło, że nie chciała współpracować, stosowałam metodę przekupstwa. Rzadko.

– Ja przeważnie – przyznała się Eliza. – Piotruś był sprytny i od razu wykorzystywał sytuację... Psiakrew, nic nam to nie da. Nasze dzieci były normalne, a ten... Przecież nie będę parszywca namawiać, żeby wypił za mamusię czy tatusia... Trzeba nad tym popracować... Piotruś, tobie nic do głowy nie przychodzi?

Zanim Piotruś zebrał się na odpowiedź, w przedpokoju rozległ się łomot. Malwina podskoczyła i skierowała pytające spojrzenie na przyjaciółkę.

– Nie jestem prorokiem, ale dusza mi mówi, że chyba Stasiulek chce złożyć wizytę – westchnęła Eliza. – Jak się napije, to wali w drzwi jak milicja w stanie wojennym... Chyba pójdę i dam mu odpór, zanim sąsiedzi się wściekną... Ciekawe, że nikt nie ma pretensji do niego, tylko do mnie. –

Wstała niechętnie.

– Siedź, matula – polecił Piotruś i naprężył mu – skuły. – Tobie będzie pyskował albo robi widowisko, a mnie się boi...

– Jakie widowisko? – przerwała Malwina, łapiąc go za rękaw swetra.

– Jak się upije na bohatera, to wrzeszczy, że on tu rządzi i domaga się, żeby go natychmiast wpuścić – wyjaśniła Eliza. – A jak go zbierze na sentymenty, poniewiera się przede mną na kolanach i płacze, że żyć bez nas nie może... Dziś to on chyba bohater, sądząc po tych rykach.

Zza drzwi rzeczywiście dobiegały niezrozumiałe porykiwania i Malwina nagle poczuła, że wszystko w niej rwie się do boju. Jakim prawem obrzydliwy, pijany samiec nachodzi po nocy spokojną rodzinę i dom, w którym ona aktualnie przebywa? Poderwała się z fotela, obciągnęła bluzę, którą założyła specjalnie do prac gospodarskich, i stanowczym gestem pchnęła Piotrusia na kanapę, a potem z lekkim przyśpieszeniem spowodowanym eskalacją ryków udała się do przedpokoju.

– Matula... – Piotruś spojrzał niespokojnie na matkę i wstał niepewnie.

– Nie przeszkadzaj jej! – syknęła Eliza i wystawiła głowę z pokoju. – Bardzo jestem ciekawa, co mu robi.

Piotruś z wahaniem zakotwiczył obok niej i wpatrzył się w drzwi wejściowe, w każdej chwili gotów do interwencji. Ojca się nie bał. Z doświadczenia wiedział, że wystarczy go wystawić przed klatkę, skierować w odpowiednią stronę, a dalej już działała siła przyzwyczajenia – papcio wiedziony instynktem pijaka trafiał bezbłędnie do rodzicielskiego domu, gdzie kontrolę przejmowała mamusia.

Stasiulek po drugiej stronie drzwi uczył zniecierpliwienie i wyrażał je wprawdzie mało zrozumiale, ale za to głośno, z mglistym przeświadczeniem, że – cokolwiek by zrobił – przed sąsiadami będzie się

tłumaczyła małżonka. Bardzo mu to odpowiadało. Naprany był jak świnka morska po zażyciu dopalaczy, świat mu się przed oczami zamazywał i kręcił, przed sobą widział podejrzaną ilość klamek, siła grawitacji gięła go ku posadzce, ale nie dawał za wygraną. Poniechał tylko pokrzykiwań, bo go zmęczyły. Poprzestał na oparciu dłoni na dzwonku. Trwał twardo na posterunku, bo w uszach dźwięczały mu jak surmy bojowe polecenia mamusi. Mamusia otóż uznała, że czas najwyższy odbić domowy przyczółek i pokazać hołocie, kto tu rządzi. To, że rodzicielka miała dość hołubienia wiecznie pijanego synalka i chętnie by odstąpiła tę przyjemność synowej, Stasiulkowi nie przyszło do głowy. Uznał, że robi to dla jego dobra, wypił dodatkowo na odwagę i zabrał się do wykonywania rozkazu.

Malwina prawie podskoczyła na przeraźliwy dźwięk dzwonka. Świdrował jej w uszach i poczuła, jak ogarnia ją amok. Jeszcze raz obciągnęła nieco przykrótką bluzę ozdobioną wizerunkiem wyszczerzonej radośnie myszy, odblokowała zasuwę i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi. Zaskoczonemu Stasiulkowi omsknęła się ręka na dzwonku i o mały włos nie wpadł do przedpokoju. Nie wpadł jednakże, bo Malwina przezornie zablokowała go ramieniem i odsunęła od progu z takim obrzydzeniem, jakby objawił się przed nią wyjątkowo obrzydliwy robal.

– Czego? – warknęła wrogo.

Pytanie nie dotarło do Stasiulka, albowiem jego zamglone alkoholem oczęta z trudem usiłowały przekazać równie zamroczonemu mózgowi, co aktualnie widzą. Był to proces skomplikowany i długotrwały, więc właściciel organów poniechał innych czynności i tkwił w milczącym bezruchu. Malwina była dużo wyższa od niego, głowę więc miał na wysokości jej bujnych piersi. W normalnym, męskim odruchu widok z pewnością by go zachwycił, jednakowoż w stanie nieważkości odruchy mu

nie działały. Wytrzeszczył oczy i usiłował zrozumieć, co widzi.

Malwina posłała mu miazdzące spojrzenie i zniecierpliwiona powtórzyła pytanie.

Stasiulek przymrużył zaczerwienione oczka, uczynił straszliwy wysiłek i w tym momencie mózg; przekazał komunikat. Przed nim szyderczo szczyrzyła zęby wielka biała mysz. Skojarzenie przyszło natychmiast, bo akurat niedawno jego nowy kumpel, któremu było już doskonale wszystko jedno co pije, byle miało procenty, przyznał się, że raz w życiu zobaczył legendarne białe myszki i od razu zgłosił się na odtrucie, dzięki czemu żyje do tej pory.

Stasiulek pośpiesznie zamknął oczy z nadzieją, że widziadło zniknie, ale gdy ponownie je otworzył, uparcie trwało przed nim. W dodatku odniósł mgliste wrażenie, że mrugnęło do niego złośliwie. To już było ponad jego siły. W nagłym przeblysku świadomości przypomniało mu się, że patronem wszelkiej maści pijaków jest Mateusz Apostoł. Wszak wierząca mamusia powiesiła mu nad łóżkiem obrazek świętego, by strzegł synalka. No to jak to? Gdzie ten cholerny święty, kiedy człowiek go naprawdę potrzebuje?

Zamroczonym ciałem Stasiulka wstrząsnął dreszcz rozpacz. Do tej pory trzymał fason. Wydawało mu się, że alkohol to cudowny środek na kłopoty. Po wypiciu Stasiulek znów był panem świata i nie musiał się o nic obwiniać. Mamusia spać położyła, jeść dała, oprąła i nie żądała pieniędzy. A tu znienacka... No, jakżeż tak można człowiekowi robić? Żeby to jeszcze jakaś mała myszka... Musiało mu od razu podtykać pod nos białe bydlę w rozmiarze XXL?

Stasiulek chlipnął i łzy mu poleciały po zaczerwienionej buziuchnie z tego rozżalenia nad swoim nieszczęsnym losem. A potem przypomniał sobie, jak kumpel mówił, że takich z delirką biorą od razu do wariatkowa na

odwyk. Przerazenie zjeżyło mu resztki włosów na głowie. Wydał z siebie straszliwy ryk, który sprawił, że Malwina wzdrygnęła się lekko, i runął ze schodów, byle dalej od potwora. Całą klatkę schodową pokonał jak pershing, któremu elektronika nie do końca działała. Zarzucało go po ścianach, ale bohaterstwo dotarł do końca labiryntu i wreszcie wypadł na powietrze. Zachłysnął się nim, jęknął ze szczęścia i z zamkniętymi oczami, by nie kusić licha, ruszył przed siebie posuwistym, zygzakowatym krokiem. Raptem poczuł, że coś go blokuje i usłyszał głos:

– Człowieku! Życie ci niemiłe?!

Stasiulek niepewnie otworzył oczy i po namyśle stwierdził, że górną połową ciała przytula się do maski samochodu. Fakt, że był to radiowóz, umknął jego uwadze.

– Jasiu! On jest nawalony jak stodoła – oznajmił głos z wyraźną ulgą.

– Dobrze, że wolno jechałeś.

Głos wydał się Stasiulkowi przyjazny. Oderwał się z wysiłkiem od opoki i przeniósł swoje zainteresowanie na postać, która do niego przemówiła. Postać miała brodate oblicze, a na głowie czapkę, której daszek obramowany był na biało. Do świadomości Stasiulka dotarło istnienie brody i czegoś jasnego, co skojarzyło mu się z aureolką. Błogość spłynęła mu na duszę, rymnął przed postacią na kolana, złożył ręce jak do modlitwy i wybełkotał pokornie:

– Mateuszkule ko... kochany... tto był ostatni raz... Patronie mój... – Na wszelki wypadek na znak ekspiacji rąbnął się w piersi. – Sz... szy... szy – sięgam, że już nigdy... Duża mysza... Wielka mysza... Jja wiem... małej mogłem nie zz... zobaczyć... Mateuszkule kochany... tylko nie delirka... Błagam... Świczekę ci zzzapalę... Tylko nie delirka...

– Puścić go? – zapytał ten sam głos.

– Weźmy go lepiej na dołek – powiedział inny – bo jeszcze komu innemu nieszczęścia narobi. Ładuj go do środka.

Silna dłoń ujęła Stasiulka pod ramię i wepchnęła do samochodu. |

– Mateuszkule! – jęknął ze strachem. – Nie do szpitala! Sz... szysięgam...

– Co ty z tym Mateuszkiem? – zniecierpliwil się głos. – Siedz spokojnie, bo cie skuje, czlowieku. Prze – kimasz sie w ciepelku, a rano cie puszcza.

Malwina z pogardliwym zainteresowaniem obejrzała niezrozumiale wystepy Stasiulka i ze zrozumieniem przyjela jego paniczna ucieczke. Uznawszy, ze wypeelniła obowiazek, zamknela drzwi i wrócila do pokoju.

– Co mu powiedzialas? – W oczach Elizy blyszczala zachlanna ciekawosc.

– Zrzucilas go ze schodow, ciotula? – probowal dowiedziec sie Piotrus. – Niedobrze. Jak sobie cos potlukl, babka zadzwoni z awantura.

– Nawet go nie tknelam! – zaperzyla sie Malwina. – Sam zwiatl. Pewnie mnie nie skojarzyl. Moze sie przestraszyl, ze pomylił blok...

– Co mu powiedzialas?

– Nic. Zapytalam tylko, czego sobie zyczy... No, moze zastosowalam skrot, ale kazdy debil by zrozumial... Ty sie babki nie boj, synku. Jak bedzie miala pretensje, powiedz, ze masz swiadkow i oskarzysz tatusia o nekaniu. Na pewno podziala.

– Dopoki on tu jest zameldowany, nie ma mowy o nekaniu. Sprawdzalem. – Piotrus westchnal.

– Stara Barnabina na prawie sie nie zna. – Malwina prychnela pogardliwie. – Kupi wszystko, co jej sprzedasz... Dobra, wracajmy do naszych baranow. Cos mi przyszlo do glowy, gdy stalam w drzwiach.

Musimy zrobić jeszcze jedną kominiarkę, Liza. Dla twojego Piotrusia. Kto wie, co taki parszywiec sobie myśli. Lepiej, żeby go z twarzy nie rozpoznał.

– Poszukam jakiejś starej czapki – zgodziła się Eliza – Wytnę dziury, obrzucę, żeby się nie pruły, i będzie w sam raz... I musimy pamiętać, żeby zabrać ze sobą kajdanki. Może trzeba go będzie przykuć, żeby się nie ruszał... A może by pomyśleć o jakimś kneblu?

– Po co? Jak mu zatkasz gębę, to przez co wiejesz tę rycynę? Przez ucho?

– Nie wiem, czy by doleciało gdziekolwiek – mruknął Piotruś. – On brudas jest.

– A jak będzie wrzeszczał? – chciała wiedzieć Eliza.

– Damy mu w łeb i przestanie – zaproponowała zachęcająco Malwina.

– Musi być przytomny – zaprotestował Piotruś. – Bo inaczej może się zachłysnąć tą rycyną na amen i będziemy go mieli na sumieniu. Wolałbym nie.

– Trzeba spisać dokładny harmonogram – zdecydowała Eliza. – W punktach. Żebyśmy wiedzieli, co mamy po kolei robić. I żeby było wiadomo, kto za co odpowiada... Cholera, mam zgryz. Byłam pewna, że ten lejek... Całą noc będę teraz kombinować, jak mu tę rycynę wetknąć do pyska...

– Daj klucze, Maminka. – Lala wyciągnęła rękę do zmęczonej Marty.
– Zamknę, bo ty ledwo stoisz na nogach.

Marta bez słowa podała jej pęk kluczy, a sama przysiadła na schodku i tępo zapatrzyła się przed siebie. Dzisiejszy dzień dał jej w kość. Tuż przed zamknięciem do gabinetu wparowała agresywna staruszka, wlokąc ze sobą rozwrzeszczanego dwulatka, i oznajmiła, że żąda natychmiastowego zbadania wnuka, ponieważ jest przekonana, że synowa się nad nim znęca.

Marta popatrzyła na dziecko, któremu jej zdaniem absolutnie nic nie dolegało. Chłopiec płakał wniebogłosy bardziej ze strachu niż z konkretnego powodu. W oczach troskliwej babuni było jednak coś, co Marcie się nie spodobało. Jakieś takie lisie wyczekiwanie. Najpierw więc wydusiła z babki nazwisko i numer telefonu matki dzieciaka (niby to w celu udostępnienia policji), a potem uspokoiła małego i uważnie obejrzała rzekome sińce, po czym kazała Lali przynieść mleczko do demakijażu i zmyła arcydzieło z ramienia, nim babunia zdążyła zaprotestować. Nie reagując na jej oburzone wrzaski, zadzwoniła pod podany numer, opowiedziała niewinnej synowej o podstępie babuni i poprosiła, by odebrała dziecko z jej gabinetu. Babka, widząc, że robi się gorąco, natychmiast podała tyły, a Marta musiała poczekać na przyjazd zdenerwowanej matki i wysłuchać jej łzawej opowieści. Okazało się, że dziecię jest panięńskie, a tatuś nie ma ochoty płacić alimentów. Wspólnie z babunią wykombinował więc, by dzieciak przeszedł pod opiekę państwa pod pozorem, że matka się nie sprawdza, a tatuś nie ma warunków, by utrzymać syna.

Marta od razu zadzwoniła do Weroniki Wojnarowej. Przyjaciółka, wysłuchawszy niewesołej historii, obiecała, że z ramienia fundacji zajmie się tym Zośka, jej córka, która specjalizowała się w takich sprawach, i umówiła nieszczęsną dziewczynę na spotkanie następnego dnia.

– Maminka, ludzie są wredni, nie? – Lala przysiadła na schodku obok.
– Ja tego nie rozumiem. – Podała ciotce klucze. – Sama jest kobietą, była w ciąży, rodziła, powinna wiedzieć, że łatwo nie jest. A ona jeszcze dziewczynie dokopuje...

– Głupia jest po prostu. – Marta westchnęła. – Nie widzi dalej niż czubek własnego nosa. Nie przychodzi jej do głowy, że kiedyś ta niedoszła synowa czy niechciany wnuk mogliby pomóc jej na starość. Może jej się

wydaje, że ma patent na wieczne zdrowie... Głupota to przerażająca siła, Lalu. Pojedynczy głupiec nie zdziała wiele, ale już grupa głupców... Tacy nie zadają pytań, ale na wszelki wypadek starają się zniszczyć wszystko, czego nie są w stanie zrozumieć.

– Co jej strzeliło do głowy, żeby przyjść akurat do ciebie?

– Lekarz to dla wielu ciągle jeszcze bóstwo. Tyle lat studiował, że coś tam musi umieć. Miała pewnie nadzieję, że mnie nabierze na taki numer. Ja nie mam dyplomu... Tak mi się zdawało, że skądś znam tę zołzę. Jej synalek wcześniej próbował się wzenieć w Rozbickich, ale go pogonili, jak zmajstrował dzieciaka tej dziewczynie... Nie martw się, Lalu. Nika zajmie się wszystkim, a ja jeszcze zadzwonię do Zośki i powiem jej, że babka samowolnie zabrała dzieciaka z podwórka. W razie czego mogę być świadkiem. Choć pewnie babsko stanie na głowie, żeby sprawa nie trafiła do sądu... O, jak dobrze się tu siedzi. – Marta oparła się o tralki balustrady. – Wiosna wreszcie idzie. Czujesz? – Z przyjemnością wciągnęła w płuca rzeńskie powietrze. – Już mi zbrzydł ten pozimowy brud.

Lala spojrzała na pobliski park, w którym delikatna zieleń zaczynała otulać nagie gałęzie. Okazała forsycja na trawniku już złociła się kwiatami. Trawa nabrała soczystego koloru, a w kamiennych donicach mrugały barwne oczka bratków.

– Słyszysz coś? – Marta nagle wyprostowała się i czujnie rozejrzała wokół.

Lala słuchała przez chwilę w skupieniu i w końcu dobiegło do jej uszu jakby piśnięcie. Wstała, usiłując zorientować się, z której strony dochodzi, zeszła cicho ze schodków i zaczęła myszkować wśród krzaków przy bloku. Marta oparła się z powrotem o balustradę i spokojnie czekała na rezultat tych poszukiwań.

Ze sklepu obok wyszedł młody chłopak, zbiegł na chodnik i już miał skrócić w stronę parku, ale dojrzał siedzącą z przymkniętymi oczami kobietę i podszedł do niej.

– Źle się pani czuje? – zapytał niepewnie.

Marta otworzyła oczy i stwierdziła, że oblicze młodzieńca wydaje jej się znajome.

– Znam cię – oznajmiła i pokazała dłonią, by usiadł obok. – Skąd ja cię znam? Przez któreś z dzieci? Wyszedłeś ze sklepu mojego męża – myślała głośno. – Komputery... To raczej nie Nela. Jesteś kolegą Aleksa?

Piotr Barnaba, albowiem to on poczuł w sobie ów samarytański przymus, bez oporu przyznał się do znajomości z Alekssem i przysiadł obok matki kolegi. Nic więcej nie zdążył, bo usłyszał zniecierpliwiony głos:

– Maminka! To chyba kot! Rany, ręce mam za krótkie... On sam nie wylezie. Jakiś debil wyrzucił udydoloną plastikową butelkę i on się w tym zaklinował! Co robić, Maminka? Zastosować metodę łapanki? Może trafi się jakaś dobra dusza z dłuższymi! łapami... Cholera! Jeszcze mi się łeb zaplątał w te chabazie!

Nim Marta zareagowała, Piotruś dojrzał błysk platynowych włosów i poderwał się jak dźgnięty ostrogą.

– Ja pomogę! – zameldował ochoczo i ruszył do akcji.

Bóstwo klęczało na trawniczku z głową utkwiającą na między kolczastymi gałęziami, spomiędzy których dobiegało nagłace popiskiwanie. Piotruś wykonał klasyczny pad i włożył ręce w krzaki, poszukując źródła dźwięków. Namacał wreszcie coś okrągłego z dziwnie ruchliwą zawartością i pociągnął ku sobie.

– Daj mi go! – zażądała Lala i jęknęła z bólu, bo poruszyła się i gałąź

szarpnęła ją za włosy. – I wyplącz mnie, błagam, zanim zupełnie stracę skalp!

– Ja go wezmę. – Obok nich stanęła Marta i przejęła przerażonego kociaka z rąk wybawcy. – A ty jej pomóż. – Zawróciła ku schodkom, usiadła i ostrożnie zaczęła wydobywać zwierzaka z pułapki, przemawiając do niego spokojnym, łagodnym głosem.

Piotruś skupił się na uwolnieniu połyskliwych splotów bóstwa, starając się robić to delikatnie i bezboleśnie. W duszy mu grzmiały pienia anielskie, bo nie dość, że w tak cudowny sposób udało mu się spotkać dziewczynę, to jeszcze mógł wystąpić w roli wybawcy.

– Chyba już – oznajmił lekko zachrypniętym z przejęcia głosem. – Spróbuj się wycofać.

Lala wypełzła ze zdradliwych zarośli, potrząsnęła uwolnioną grzywą, otrzepała ręce z ziemi i wstała. Przyjrzała się swojemu wybawcy i wydało się jej, że gdzieś już go widziała. Stanęła jej przed oczami upstrzona skorupkami jajek twarz brata i doznała olśnienia.

– A, to na ciebie wpadłam, jak leciałam do Misia – przypomniała sobie. – Śpieszyłam się wtedy... Dzięki za pomoc. Jestem Lala. Właściwie to Karolina, ale Maminka mnie przechrzcila na Lalę i wszyscy tak mówią.

– Ale Karolina to śliczne imię! – powiedział z rzewnym zachwytem Piotruś.

– Trochę długie. Lala szybciej do mnie dociera. Przyzwyczaiałam się... A ty? Jak masz na imię?

– Piotr. Barnaba. To drugie to nazwisko. Znam Aleksa. – Piotruś uznał, że dzięki tej informacji załapie punkty. – I wasza matka też mnie kojarzy.

– Maminka? To nie jest moja matka. – Lala spojrzała na niego ze

zdziwieniem. – Pracuję u niej... Chodź. – Pociągnęła go za rękaw. – Zobaczymy, co z tym kociakiem... Rany, to jeszcze kocia dzidzia. – Usiadła obok Marty, która oglądała uważnie potarganego i wychudzonego kota. – Zdolny jest. I wścibski. Musiał osobiście sprawdzić, co jest w tej butelce. Następnym razem może się wpakować w gorsze tarapaty. – Pogłaskała malutki łeppek. – Wzięłabym go do domu, ale...

– U was i tak mało miejsca – przerwała Marta.

– Może Miś...

– Miś mógłby nie przeżyć konfrontacji z tym tygrysem – zaśmiała się Marta.

– To może ja... – zaczął niepewnie Piotruś, usiłując nie zastanawiać się za bardzo, jak zareaguje matka na nowego lokatora.

– Ja go wezmę – uznała Marta. – Mam znajomego weterynarza, poproszę, żeby go obejrzał. Poza tym w domu zawsze ktoś jest, nie będzie się nudził... Macie jakiś pomysł, jak go nazwać?

Lala uniosła kociaka do góry i przyjrzała mu się z uwagą. Był uczciwym kraśnickim dachowcem – szarobure futerko, wielkie, złocistozielone oczy i maleńki płowy nosek ozdobiony czarną plamką.

– Może Kropka? – zaproponowała. – Ta cętka na nosie wygląda jak kropka.

– Problem w tym, że to jest facet – poinformowała ją Marta. – Mógłby poczuć się urażony.

– No to Kropek – odpowiedział szybko Piotruś, który za wszelką cenę chciał usatysfakcjonować swoje bóstwo. – Ten Kropek.

W oczach Marty zamigotały iskierki wesołości, kiedy spojrzała na niego ukradkiem. Z powagą kiwnęła głową, pogłaskała kota i zapytała:

– Chcesz być Kropkiem? Tym Kropkiem?

Kociak złapał jej palec i zaczął przygryzać. Ząbki miał maleńkie, ale ostre. Marta wycofała dłoń, przewiązała apaszkę u szyi tak, by tworzyła małe nosidełko, ulokowała w nim kota i wstała.

– Głodny jest pewnie. Idę do domu, dzieciaki... Lala, gdybyś miała zamiar zażyć dłuższego spaceru, to uprzedź matkę. Niech ja mam czyste sumienie... No to pa. Do jutra.

Przez chwilę odprowadzali ją oboje wzrokiem, kiedy szła wolno w kierunku osiedla domków. Do Lali dotarło nagle, co powiedziała ciotka i zakłopotana się nieco. Nie miała zamiaru narzucać swojego towarzystwa dopiero co poznanemu chłopakowi. W zasadzie sprawiał sympatyczne wrażenie. Miło z jego strony, że pomógł im z kotem, ale przecież tak naprawdę nic o nim nie wie. Na pewno ma dziewczynę.

– No to dzięki za wszystko. – Wyciągnęła rękę zdecydowanym gestem.

– A co z tym spacerem? – Piotruś wpatrzył się w nią prosząco. – Masz czas? I ochotę? Bo ja bym chętnie... Jak nie, to chociaż cię odprowadzę, co?

Lala wahała się przez chwilę. Wyglądał, jakby naprawdę miał ochotę pobyć w jej towarzystwie. I nie był nachalny, tylko prosił. A tam, to tylko spacer, pomyślała. Jeśli okaże się, że jest taki sam jak inni, to go zniechęci. Do tej pory zniechęcanie do siebie płci przeciwnej wychodziło jej najlepiej.

– Dobra – zgodziła się łaskawie, żeby sobie, broń Boże, nie pomyślał, że jej zależy. – Możemy się przejść kawałek. Mieszkam przy Luxie.

– To trochę blisko. – Piotruś wydawał się naprawdę zmartwiony i Lala poczuła miłe zaskoczenie. – Mam strasznie dużo pytań. Intrygujesz mnie.

Pierwszy raz w życiu spotkałem kogoś, kto do obcej osoby mówi jak do matki. Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

– To skomplikowane – zaśmiała się Lala. – Musiałabym długo

tłumaczyć, żebyś zrozumiał.

– Nie ma sprawy. – Popatrzył na nią z nadzieją. – Podobno za kościołem jest przyjemna kawiarenka. Dla dziwaków, którzy nie lubią tłoku i hałasu. Zapraszam na ciastka, jeśli masz czas.

Lala poczuła gdzieś w sobie tajemnicze piknięcie. Miała dwadzieścia cztery lata, a jeszcze nigdy żaden chłopak nie zaprosił jej do kawiarni. Owszem, z młodzieżą z Familii okupowali często lokal wuja Andrzeja, ale to się nie liczyło. Siadywali wtedy w bocznej sali z dala od stałych bywalców. I znali się wszyscy od dziecka, więc traktowali te spotkania jak okazję do wygłupów w zgranym towarzystwie.

– Musiałabym uprzedzić mamę – powiedziała niepewnie z obawą, że ją wyśmiej, bo dochodziła ledwie osiemnasta.

– Żaden problem. – Piotruś się uśmiechnął. – Mam komórkę, jeśli chcesz. Matki są tak zaprogramowane, że od razu wyobrażają sobie najgorsze, jak się człowiek trochę spóźni.

– Otóż to. Niby jestem dorosła, ale... Wyślę SMS – a, że będę za godzinę – wyjęła z torebki telefon.

– O, widzisz, znów mam kolejne pytanie. – Spojrzał na jej torebkę. – Dlaczego tak ją nosisz? To jakaś nowa moda? Nie, żeby mi przeszkadzało, ale mnie intryguje...

Lala bez słowa zdjęła torebkę i wetknęła mu w rękę. Ciężar go zaskoczył.

– No, teraz rozumiem. – Pokiwał głową i oddał jej brzemię. – Bardzo rozsądnie. Gdybyś nosiła to na ramieniu, pewnie jedno miałabyś już niższe...

Chyba jesteś bardzo przywiązana do tych rzeczy w środku?

Lala rozluźniła się wyraźnie. No, proszę. Całkiem sensowny chłopak. Bystry. Od razu zrozumiał. I co najważniejsze wcale mu jej nawyki nie

przeszkadzały.

– Owszem – odparła z uśmiechem. – Przy naszym Misiu nauczyłam się, że zawsze najbardziej potrzebne są te rzeczy, których właśnie przy sobie nie masz. Dlatego niektóre noszę na wszelki wypadek... O – przypomniawszy sobie – ostatnio przydał mi się nawet kamienny przycisk do papieru. Jakiś bałwan próbował mi wyrwać torebkę, więc mu ją upuściłam prosto na nogi. Aż mi go było szkoda – zaśmiała się.

– Mnożą mi się pytania jak króliki – poinformował ją Piotruś i od razu zadał kolejne: – Kto to jest Miś?

– Miś, czyli Michał. Mój młodszy brat. Chodzące nieszczęście. Jeśli na tym świecie istnieje nietypowy pomysł, żeby zrobić sobie krzywdę, to Miś na pewno z niego skorzysta. – Lala westchnęła. – A wiesz, czym się zajmuje? Jest instruktorem sztuk walki. Ma dyplom i jest świetnym nauczycielem. A przegrywa w starciu z głupimi jajkami. – Lala opowiedziała o ostatnim Misiowym wyczynie i zakończyła: – Czasami się zastanawiam, jak udało mu się przeżyć tyle lat.

– Zdolnego masz brata – pochwalił Piotruś. – Nie będę się mądrzył, bo ja się do kuchni nie pcham. Mama gotuje... Ja bym jeszcze chciał wiedzieć... Jak wyglądał ten, co cię napadł? Potrafisz go opisać? Bo moją matkę też okradli. I nawet wiem kto.

Minęli Lux i skręcili między bloki, by skrótami dojść do kawiarni. Lala podała bardzo szczegółowy opis napastnika i nagle coś jej zaskoczyło w umyśle. Aż przystanąła.

– Barnaba! No tak. Nazwisko wydawało mi się znajome. Twoja matka miała wizytę u Maminki. Rozmawiałyśmy. Opowiedziała mi o napadzie i chyba jej się spodobało użycie rycyny jako narzędzia zemsty bo bardzo mnie wypytywała. Fajną masz matkę.

Piotruś rozjaśnił się jak zorza. Też uważał, że matula mu się udała i ta zbieżność poglądów bardzo go ucieszyła. Jak na razie, bóstwo dysponowało wyłącznie zaletami. Uznał, że zasługuje na uczciwość.

– Matula jest okej, ale ojciec nie bardzo – wyznał szczerze. – Odkąd go zredukowali, tankuje jak ruski czołg.

– Przecież to nie twoja wina – pocieszyła go z przekonaniem natychmiast Lala. – Maminka zawsze mówi, że każdy sam odpowiada za siebie. I uważam, że ma rację. Po coś człowiek rozum ma.

W Piotrusiowej duszy błogość rozlała się jak Dunaj w delcie. Bóstwo nie tylko nie uznało go za istotę z marginesu, ale jeszcze pocieszyło. I to nie debilnymi frazesami, tylko całkiem niegłupio. On też uważał, że ojciec sam jest sobie winien i jemu nic do tego. Papcio wybrał to, co chciał. Nikt mu na siłę łba do butelki nie przytykał. Jednak niektórzy mają dziwnie skrzywione spojrzenie na te sprawy i od razu stosują odpowiedzialność zbiorową.

– Ja mam rodziców w porządku – mówiła dalej Lala. – Znają się jeszcze ze szkoły. Mama mi opowiadała, że wtedy tata kochał się w klasowej piękności, a między nimi zaiskrzyło dopiero, kiedy spotkali się na zjeździe uczniów Reja. Choć przez cały czas mieszkali niedaleko siebie i widywali się często. Między nimi jest tak... normalnie. Rozmawiają ze sobą o wszystkim, pomagają sobie. Maminka mówi, że dzieci ma się tylko na chwilę, a potem one idą swoją drogą. I moi rodzice tego się trzymają. Pomagają nam, ale każdy wybór jest tylko nasz. Wiesz, ja właściwie lubię swoje życie w tej rodzinie. Jeszcze bym tylko chciała mieć kiedyś taką samą dla swoich dzieci. – Lala uznała, że za bardzo się rozgadała i zamilkła raptownie.

– Chyba my jesteśmy trochę niedzisiejsi – ode – zwał się Piotruś zadumanym tonem, który wywarł na jego towarzyszcze piorunujące

wrażenie, bo wyraźnie świadczył, że chłopak słucha tego, co się do niego mówi. – Bo ja też nie narzekam. Jak ojciec zaczął pić I babka trzymała jego stronę, a moją matkę oskarżała, że to przez nią, matula zacisnęła zęby i olała to gadanie, a mnie powiedziała, że mam uciekać od niej jak najdalej, jeśli sama zacznie mnie traktować jak babka ojca. Fajne, nie?

Lala zgodnie pokiwała głową. Spod oka zerknęła na nowego znajomego i nie mogła się nadziwić, że trafiła na chłopaka w jej wieku, który nie narzeka na starych, nie gada o głupotach, jakby były najważniejsze na świecie, i w dodatku posługuje się normalnym językiem. Matka była bardzo czuła na tym punkcie. Nigdy wprawdzie nie przeprowadzała brutalnej selekcji ich szkolnych znajomych, ale wystarczył popłoch w jej sarnich oczach, żeby oboje z Misiem mniej się rwali do podtrzymywania tych znajomości.

– Proszę. To tutaj. – Piotruś elegancko otworzył przed Lalą drzwi kawiarenki, a potem odsunął jej krzesło przy stoliku. – Przytulnie tu. – Rozejrzał się za kelnerką. – Zaczekaj, przyniosę kartę, jeśli mają. – Podeszedł do kontuaru.

Lala uznała, że miejsce rzeczywiście jest bardzo przyjemne. Stolików nie było wiele, ale na każdym leżał czysty obrus, na którym stała cukiernica i flakonik z bukiecikiem bratków. Poza nimi w kawiarence były tylko trzy dziewczyny skupione przy stoliku na drugim końcu sali. Lala nie miała pojęcia, że ceny są tu dość wyśrubowane. W zamyśle właścicielki miał to być lokal dla smakoszy dobrej kawy, herbaty i ciasta.

– Proszę. – Piotruś wrócił do stolika i podał jej menu. – Ja stawiam, bo ja zapraszałem.

– Ale ja pracuję i stać mnie – zauważyła Lala. – Wezmę tiramisu i sok pomarańczowy.

– Ja też pracuję. – Piotruś wzruszył ramionami. – Sprzedaję programy komputerowe. Matka by mnie wklepała w podłogę, gdybym ci pozwolił zapłacić. Nie mogę jej przynieść wstydu... To zamówię dwa razy to samo. Bardziej mi zależy na rozmowie niż na jedzeniu.

Powiedział to tak, że Lala poczuła miłe piknięcie w sercu i przestało jej zależeć na płaceniu. Pomyślała nieoczekiwanie, że pasowałby do jej przyjaciół z Familii. Większość z nich w każde wakacje pracowała, by zarobić na własne kaprysy. No i priorytety mieli ustawione prawidłowo dzięki kazaniom Maminki. Wyglądało na to, że matka Piotra Barnaby też poszła tym tropem przy wychowywaniu syna.

– No, wszystko mamy. – Piotruś postawił zręcznie tacę na stoliku i podał jej wysoką szklankę z sokiem oraz talerzyk z zachęcająco wyglądającym smakołykiem. – Dobra. To teraz mam kolejne pytanie. Dlaczego mówisz na panią Martę Maminka? Myślałem, że jesteś siostrą Aleksa, choć nie jesteście podobni.

– Ona też nie jest – Lala pokręciła głową. – To znaczy jego siostra. Aleks jest podobny do ojca, a Nela wygląda jak klon Maminki. W zasadzie – zastanowiła się – ja bym też pasowała do rodziny. Te włosy... – Uniosła pasemko i skrzywiła usta. – Tak naprawdę jestem czarna jak smoła. Przefarbowałam się na blond, bo miałam dosyć. W szkole przezywali mnie Cyganicha. Ale – westchnęła – chyba wrócę do naturalnego koloru. Już mi się nie chce ciągle pilnować odrostów.

Piotruś wpatrywał się w nią z napięciem, usiłując wyobrazić sobie czarnowłose bóstwo. Przez chwilę zastanawiał się uczciwie, czy tym, co na pierwszym spotkaniu zrobiło na nim największe wrażenie, nie był przypadkiem właśnie nietypowy kolor włosów. Doszedł do wniosku, że jednak nie. To jej spojrzenie go podbiło.

– Teraz wyglądasz jak Lala – orzekł po namyśle. – Z czarnymi włosami będziesz Karoliną. A co do tej Cyganichy... Ten, który to wymyślił, był chyba ślepy. Przecież masz jasną karnację.

Lala, nie wiedzieć czemu, poczuła dziwną ulgę. Przestała wreszcie kombinować, żeby zrobić najlepsze wrażenie i zaczęła zachowywać się z takim luzem, na jaki dotychczas mogła sobie pozwolić tylko w towarzystwie swojej paczki. Wsunęła do ust kawałek tiramisu i zaczęła opowiadać.

– Niedługo po tym zjeździe, o którym wspomniałam, Maminka wyszła za wuja Michała i zaprosili na wesele całą swoją byłą klasę z liceum. Potem część się porozjeżdżała w różne strony świata, ale z niektórymi utrzymywali kontakt. Z czasem do tego towarzystwa doszło jeszcze parę osób i spotykali się często na ogniskach na działce wuja Tomka. Jak się rodziły kolejne dzieci, to jakoś tak poleciało na ciotkowanie i wujkowanie. Zналиśmy się wszyscy od małego. Maminka nazwała całe to towarzystwo Familią i tak już zostało.

– A dlaczego: Maminka? – dążył Piotruś.

– Bo matki mamy własne, ale z problemami wszyscy latali do niej. Nasi rodzice też. I jest niska. Wujek

Andrzej nawet ją nazywa Malutka. Taka miniatura matki, czyli Maminka. Już nawet nie pamiętam, które z nas to wymyśliło, ale się przyjęło. – Lala nabiła na widelczyk kolejny kawałek ciasta i popatrzyła na niego w zadumie. – Maminka jest osią Familii. Kiedy Nela miała wypadek i leżała w śpiączce, wszyscy próbowaliśmy pomóc. Wuj Andrzej i Daniel oddali krew, bo mieli tę samą grupę, nasze matki gotowały obiady dla Maminki, bo ciągle siedziała w szpitalu, a potem cała młodzież robiła wszystko, żeby Nela zapomniała o wypadku.

– Dobrze mieć takich przyjaciół – przyznał Piotruś.

– Ale dopiero teraz do mnie dotarło, że Maminka sobie na nich uczciwie zapracowała – powiedziała zamyślona Lala. – Jej dom zawsze był dla wszystkich otwarty, a nasze kłopoty traktowała jak własne. I te dziecięce były dla niej tak samo ważne jak te dorosłe. To się chyba rzadko zdarza.

– Rzadko – przytaknął Piotruś. – Choć ja też nie narzekam. Matka nigdy się specjalnie nade mną nie trzęsła, ale nie wydawała wyroku skazującego, zanim mnie nie wypytała.

– Często?

– Co: często?

– Często wydawała wyrok?

– Wiesz... W zasadzie to pamiętam tylko jeden szlaban – powiedział po głębokim namyśle Piotruś. – Przez tydzień miałem zakaz gry w piłkę i musiałem pomagać w sklepie zoologicznym. Czyściłem akwaria i karmiłem zwierzaki. W czynie społecznym.

– A za co ten szlaban? – chciała wiedzieć Lala.

– Za bezmyślność. Miałem siedem lat i wybierałem się z ojcem na ryby. Wtedy jeszcze nie pił. Kupiliśmy robaki i nagle mi strzeliło do głowy, że może one nie dość kuszące będą dla ryb. A strasznie zależało, żeby się wykazać talentem wędkarskim. I postanowiłem je utuczyć. Matula akurat ugotowała na obiad rosół, więc uznałem, że będzie dla nich w sam raz. No i wrzuciłem je do tego rosółu – wyznał bohatersko.

Lala parsknęła śmiechem na cały głos.

– Dostałeś szlaban za zmarnowanie obiadu?

– Nie. Za ukatrupienie zwierzątek. Bo okazało się, że gorący rosół to nie jest ich ulubione środowisko. Matka się przestraszyła, że ma w domu zwyrodnialca i dlatego wymyśliła taką karę. Od tej pory mam szacunek dla wszelkiej żywności. Nawet muchę wolę wypuścić niż utłuc.

– Fajna ta twoja mama. Chyba bym ją lubiła – powiedziała Lala chichocząc.

– No, pomysły ma nietypowe – odparł Piotruś i z rozpędu opowiedział o planowanej zemście i cierpieniach matki po zażyciu rycyny. – Trochę się boję – wyznał na koniec. – Bo one obie tak sobie nabiły głowy tą zemstą, że w ogóle nie myślą o konsekwencjach. Jak je zobaczyłem w tych przebraniach... Rany, każdy by na nie zwrócił uwagę! To już śmietnikowcy lepiej wyglądają! Muszę ich pilnować, bo nie mam pojęcia, co jeszcze do głów im może strzelić – westchnął ciężko.

– Mogłabym na tego rabusia napuścić ochroniarzy wuja Andrzeja – zaoferowała się Lala. – Szybko by mu wytłumaczyli szkodliwość społeczną czynu.

– To na nic. – Piotruś pokręcił głową. – On już chyba wpadł po uszy w hazard. Małpiego rozumu od tego dostał. Może mu przyjść co gorszego do łba. Teraz tylko ludziom pieniądze kradnie, a co będzie, jak się zaopatrzy w stosowne narzędzie i zacznie tłuc, albo strzelać? Poza tym, jak już moja matula się zawzięła, to nie odpuści. Zaprogramowała się jednokierunkowo i reszta opcji nie działa... A ty się nie przestraszyłaś, jak cię napadł?

– Ja? – Lala prychnęła pogardliwie. – Zrobiłam kurs samoobrony. Czasem chodzę do brata na salę i ćwiczę, żeby nie wyjść z wprawy. Jemu nie dam rady, ale takiemu złodziejaskowi... Jeszcze z zaskoczenia... Żaden problem.

– Chyba bym wolał, żeby matula mu normalnie dołożyła. – Piotruś westchnął. – To mniej skomplikowane.

– Ale to, co wymyśliła twoja matka, jest bardziej ekscytujące – powiedziała z lekką zazdrością Lala i nagle znieruchomiała ze szklanką w dłoni. – W zasadzie... Może nie zostałam poszkodowana, ale... Jeszcze nigdy

nie brałam...

Piotruś jęknął dramatycznie i gwałtownie pokręcił głową.

– Karunia! Co ty kombinujesz? Czy ty myślisz o tym, co mi się wydaje? W żadnym razie! Ja będę musiał mieć oczy na szypułkach, żeby ich obu przypilnować! Ciebie nie dam rady!

– Nie będziesz musiał. – Lala, której ta „Karunia” dziwnie przypadła do gustu, spojrzała na niego przymilnie. – To ja ci pomogę. Oboje łatwiej ich dopilnujemy, a w razie czego przydam się jako ochroniarz.

– Jaki ochroniarz?! To nie jest zajęcie dla dziewczyn! To w nocy będzie – ściszył głos, bo trzy panienki zajmujące stolik w kącie popatrzyły na nich z ciekawością. – W nocy – powtórzył z naciskiem. – Wtedy się śpi. Chyba że chodzi o moją matulę i ciotkę – skorygował. – Jesteś pewna, że twoja mama się nie zdziwi, kiedy zobaczy, że w środku nocy wychodzisz z domu?

– Szowinista – mruknęła Lala potępiająco. – Ciocia Kasia pracowała w ochronie i była lepsza od facetów... Nie mam zamiaru po kryjomu wymykać się z domu. Wystarczy, że poproszę Maminę o alibi, przysięgnę, że nie zrobię nic głupiego i będzie mnie kryła. Ona lubi takie przygody.

– Ale ja się boję, żeby coś ci się nie stało – powiedział błagalnie Piotruś. – Moja matka jest jak ten pomysłowy Dobromir z dobranocki: wystarczy chwila, żeby jej ta kuleczka w głowie wyskakowała nowy pomysł, a z mety przystąpi do realizacji i nikogo o zdanie nie zapyta. Nie jestem w stanie przewidzieć, co tam się wydarzy. A jeśli już we trójkę mamy pójść do paki, to wolałbym mieć w odwodzie kogoś, kto mnie czasem odwiedzi. Albo choć list napisze... Napisałabyś? – zapytał znienacka.

– Pewnie. Paczkę też bym przywiozła. Lubię cię – wyrwało się Lali szczerze i natychmiast poczerwieniała.

– To ja bym już nawet nie żałował tego mamra – rozjaśnił się Piotruś.

– Dopuszcz mnie do spółki, to może nam się uda bez mamra. – Lala sprowadziła go na ziemię, bo wyglądał, jakby wygrał milion w totolotka. – Nie jestem papla i naprawdę mogę się przydać.

– Nie wiem. – Piotruś westchnął rozziewając. – One cię nie znają. Mogą nie być zachwycone, że ci wszystko powiedziałem.

– To zrobimy inaczej. – Lala nie miała zamiaru się poddać. – Twoja matka ma zamówioną kolejną wizytę u Maminki. Wiem, bo sama ją zapisywałam. Kiedy wyjdzie z gabinetu, zapuszczę delikatną sondę i spróbuję tak poprowadzić rozmowę, żeby się wkręcić w te wasze ciemne interesy. Co ty na to? Jak mi się uda, to mnie zabierzesz na akcję?

Piotruś milczał. Patrzył na nią pełnym uwielbienia wzrokiem i Lala uznała, że sprawa została załatwiona po jej myśli. Przyjemnie było wierzyć, że to przypadkowe spotkanie pod gabinetem Maminki może się przerodzić w coś więcej. Dusza jej podpowiadała, że tym razem trafiła na właściwego chłopaka. Miała zamiar uzupełnić te podszepty rzetelną wiedzą. Zadzwoń do Aleksa i wyciągnie z niego wszystko, co wie na temat Piotra Barnaby.

Po obfitym obiedzie Piotruś pomógł ciotce posprzątać i udał się do siebie, by w spokoju ducha rozpamiętywać zalety swojego bóstwa. Od kilku dni było to jego ulubione zajęcie, które wygrywało nawet z komputerem.

Malwina z pilotem w dłoni zasiadła godnie przed telewizorem i próbowała znaleźć jakiś program, który nadawałby się do oglądania.

Rozleniwiona Eliza z niechęcią włączyła laptopa, wyjęła z szuflady biurka kilka cienkich teczek z dokumentami i zajęła się zarabianiem na życie. Zdążyła otworzyć pierwszą, gdy zadzwoniła jej komórka. Odebrała bez żadnych złych przeczuć.

– Słuch...

– Eliza, tak dłużej być nie może – usłyszała agresywny głos teściowej – żebyś ty Stasiulka do jego własnego domu nie wpuszczała! Ja do sądu pójdę...

– Jego własnego? – zdziwiła się jadowicie Eliza, której myśl o jakiegokolwiek pracy natychmiast wyparowała z głowy. – Wkład na mieszkanie był mój, a różnicę dopłacili moi rodzice. Mam na to papiery. Rachunki też płacę sama od paru dobrych lat, bo Stasiulek...

– Pracy nie ma – przerwała z naciskiem jej teściowa i z wysiłkiem zmieniła ton na łagodniejszy. – Od tego jest żona, żeby chłopu do rozumu przemówić. Stasiulek nie jest zły, tylko szybko się zniechęca, jak mu coś nie wychodzi. I kolegów ma pijących. Wystarczy, żebyś mu nie dawała pieniędzy do ręki...

– ... a wyniesie pół chałupy – wpadła jej w słowo Eliza. – Jak mama myśli, czemu go wyrzuciłam?

Po drugiej stronie zapanowała cisza i Eliza pomyślała złośliwie, że chyba mamusia już ma dosyć tego mieszkania z synalkiem. No i dobrze. Przynajmniej na własnej skórze doświadcza tego, co ona wcześniej.

– Co mamie wyniósł? – zapytała niewinnie.

– Pierścionek i obrączki – wyznała niechętnie teściowa. – Eliza, zabierz go. Piotruś dorosły, poradźcie sobie. Ja nie dam rady z tej renty po mężu. Rachunki, leki – to wszystko kosztuje, a jeść też trzeba...

– Niech mama zrobi to, co mnie proponowała – odpaliła bez odrobiny miłosierdzia Eliza. – Niech mu mama znajdzie robotę. Podobno to żaden problem, jak się uczciwie chce... Nie ma mowy, żebym go zabrała. Piotruś dorosły i zarabia. W każdej chwili może się żenić. Mieszkania dziś drogie, a ja mam trzy pokoje, może z rodziną u mnie mieszkać. Nie będę dziecku życia paskudziła pijakiem na co dzień. Już rozmawiałam z mecenas

Rozbicką. Rozkład pożycia jest trwały, Stasiulek leczyć się nie chce, na utrzymanie nie łoży. Rozwód dostanę bez problemu. Niech się mama cieszy, że o alimenty go nie pozwę...

– Ale Stasiulek może pozwać was oboje, żebyście na niego płacili! – oznajmiła z mściwą satysfakcją teściowa. – Sąsiadka mi mówiła! Takie teraz prawo!

– A mówiła, że gównu dostanie, dopóki nie przestanie pić? – zainteresowała się Eliza. – Jeszcze tak nie ma, żeby uczciwie pracująca rozwódka musiała pijakowi fundować. Za to mama rzeczywiście może być zmuszona łożyć na jego utrzymanie. Na mamy miejscu wysłałabym go na odwyk, bo on sam z siebie pić nie przestanie.

– Kredyt weźmie! – wysyczała teściowa wściekle, bo na samą myśl, że będzie skazana na towarzystwo syna aż po kres swego żywota, ciemno jej się zrobiło przed oczami. – Jak nie spłaci, ty będziesz musiała!

– A kto mu da kredyt, jak on żadnego dochodu nie ma? Może wziąć i dziesięć, mnie to wisi. Mam notarialne zaświadczenie, że nie odpowiadamy z Piotrułą za długi Stasiulka. Możecie mi oboje nakukać. – Eliza rozłączyła się i wzięła głęboki oddech, a potem zachichotała z satysfakcją. – Słyszałaś? – Spojrzała na pełną aprobaty twarz przyjaciółki, która od początku tej rozmowy wyciszyła telewizor i słuchała uważnie. – Jak to dobrze u mądrych się poradzić. Piotruś przeleciał pół Internetu, żebyśmy mogli się zabezpieczyć. Jak tylko skończymy z tą ekologiczną zemstą, zajmę się rozwodem.

W domu panowała cisza przerywana tylko monotonnym pomrukiwaniem telewizora. Eliza uznała, że nie może wykorzystywać przyjaciółki, i ambitnie zajęła się kolacją. Piotruś siedział przy komputerze i pisał e – mail do bóstwa. Wymienili wtedy adresy i numery telefonów. Nie

chciał dzwonić. Bóstwo mogło wszak spożywać późny obiad, a pracowało ciężko, więc nie chciał przeszkadzać i być natarczywym. Poza tym pisanie dawało więcej możliwości, bo mógł się do woli zastanawiać, jakich użyć słów, by wykazać się znajomością ojczystego języka (bóstwo wspomniało, że jego matka jest bibliotekarką).

Skończył wreszcie i wysłał epistołę (długa mu dosyć wyszła) do adresatki. Wstał, przeciągnął się błogo i zajrzał do kuchni, bo doleciały go przyjemne zapachy. Nie zagrzał tam jednak długo miejsca. Matka zobaczyła, że pakuje palucha do miseczki z pastą rybną i kazała mu opuścić przybytek rozkoszy. Zajrzał zatem do pokoju.

Przed telewizorem z pilotem w dłoni siedziała Malwina z dziwnym wyrazem twarzy. Na widok Piotrusia oderwała wzrok od ekranu i zapytała surowo:

– Synku, co to jest to, co ja oglądam?

Piotruś zdziwił się lekko, albowiem wydawało mu się, że osoba dorosła, a w dodatku Polka, powinna rozumieć język ojczysty i wiedzieć, co ogląda. Przypomniawszy sobie jednak, że Malwina parę miesięcy temu wróciła z Kanady. Zerknął więc na ekran i oznajmił:

– TVN – dwadzieścia cztery ciotula ogląda. To jest kanał informacyjny. Wiadomości dwadzieścia cztery godziny na dobę. W przerwach reklamy i gadające głowy.

– To jest ogólnopolski kanał? – chciała wiedzieć Malwina.

– Ogólnopolski, bo co?

– Bo nie rozumiem, dlaczego oni mi to pokazują. – Malwina machnęła pilotem w stronę ekranu. – Co to jest to, co ja oglądam?

– Ciotuli się mózg zawiesił? – zaniepokoił się Piotruś. – Przecież mówiłem...

– Nie jestem ślepa i widzę logo stacji – rozzłościła się Malwina. – I co do mnie powiedziałaś, też rozumiem. Ja tylko chcę wiedzieć, CO ja oglądam!

Piotruś się pogubił. Przez chwilę bezradnie patrzył na ekran, na którym defilowała kupa ludzi z pochodniami, wieńcami i transparentami. Z tłumu dochodziły złowieszcze okrzyki. Normalne wiadomości. Nie miał pojęcia, o co ciotce chodzi.

– Matula! – wrzasnął ponagłajaco. – Chodź tu na chwilę, bo mamy problem pokoleniowy!

W drzwiach pokoju stanęła Eliza z nożem w dłoni i spojrzała pytająco na syna. Malwina siedziała w fotelu i była wyraźnie nastroszona.

– Nie możemy się dogadać – wyjaśnił Piotruś przepraszająco. – Albo ciotula zadaje trudne pytania albo ja nie nadążam. Może ty...

– Jakie pytania? – Eliza przeniosła wzrok na przyjaciółkę.

– Co to jest to, co ja oglądam? – warknęła zniecierpliwiona Malwina.
– Program historyczny? Bo mam skojarzenia...

Eliza popatrzyła na ekran, wzdrygnęła się lekko i zmarszczyła brwi.

– Oglądasz wiadomości. A konkretnie wiadomości ze stolicy. Zaraz pewnie pokażą informacje ze świata i okaże się, że u nas jeszcze nie jest najgorzej.

– A dlaczego oni nie mówią o tym, co się dzieje w kraju, tylko pokazują takie dziwne rzeczy?

– Oni pokazują to, co dzieje się w kraju – stwierdziła z naciskiem Eliza i machnęła dłonią w stronę telewizora. – Właśnie to.

– I nic innego? – nie dowierzała Malwina. – Naprawdę nie mamy żadnych problemów? Bo w Kanadzie dziennikarze ciągle rządowi coś wytykają.

– U nas za dziennikarzy robi to opozycja – mruknęła z niechęcią Eliza. – Nie mów do mnie o polityce, bo ja od tego dostaję wściekły rozum. Przestaje mi działać i mam ochotę gryźć!

Malwina na wszelki wypadek odwróciła się w stronę Piotrusia i powiedziała półgłosem:

– Podobno na jednym z kanałów można oglądać debaty sejmowe. Wiesz, na którym? Interesuje mnie, w przeciwieństwie do twojej matki, co się dzieje w moim kraju. Chcę założyć własny biznes. Może dowiem się z tych posiedzeń czegoś pożytecznego.

Eliza zaśmiała się szatańsko i popukała palcem w czoło.

– Zaklep sobie od razu izolatkę w Abramowicach albo znajdź dobrego psychiatrę – poradziła szyderczo.

– Nie pytam ciebie, tylko jego – nadeła się Malwina. – Piotruś, na którym to jest kanale?

– Na INFO. – Młody Barnaba miał dosyć nieszczęśliwą minę. – Ciotula, ja cię lubię, wiesz? Nie oglądaj tego lepiej, bo nie jesteś przyzwyczajona. Do biznesu nic ci się z tego nie przyda, a może ci zaszkodzić na umysł. Po co ci to?

– Głupoty gadacie. – Malwina obrzuciła oboje podejrzliwym spojrzeniem. – Co mi może zaszkodzić? To tylko debata sejmowa. Mówią o sprawach istotnych dla społeczeństwa. Przynależę do niego i chcę wiedzieć o wszystkim, co mnie dotyczy.

– Ciotula, oni nie mówią o sprawach istotnych dla społeczeństwa – wystękał Piotruś. – Normalny człowiek tego nie wytrzyma, a te transmisje trwają nieraz kilka godzin.

– To o czym mówią przez te kilka godzin? – zdenerwowała się Malwina.

– O niczym – powiedziała z jadowitą słodyczą Eliza. – Żrą się ze sobą. Oni nie próbują się dogadać w żadnej sprawie, tylko chcą wykopać przeciwnika na aut, ewentualnie udowodnić, że jest głupszy. I wybij sobie z głowy, że zrozumiesz z tego cokolwiek, bo sensu w tym nie ma za grosz. Przekupki na targu kłócą się o miejsce albo cenę. Oni chyba dla sportu. Żeby nie wyjść z wprawy.

– No jak to... Od dawna tak jest? – W głosie Mal – winy dźwięczało niedowierzanie. – Jakiś kataklizm mnie ominął? Kiedy wyjeżdżałam, w sejmie byli normalni ludzie! Wszyscy wymarli? Jak dinozaury?

– Większość tak. – Eliza westchnęła – Słuchaj, co teraz powiem, bo to ważne. Do parlamentu może wejść każdy. Podkreślam: każdy. Nie musi się znać na budżecie, czy na prawie. Byle nie miał w papierach, że nie może zajmować stanowisk publicznych i głosował zgodnie z linią swojej macierzystej partii Badań psychiatrycznych robić nie musi, testu na inteligencję nie przechodzi. Rozumiesz?

Malwina chwilę w milczeniu przetrawiała informację. Wreszcie na jej obliczu błysnęła zgroza.

– Linia partii linią narodu... O Matko Boska - wyszeptała słabo. – To jakie ustawy oni uchwalają? Zaczynam wątpić, czy uda mi się założyć własny biznes. Bo jeśli tak jest na górze, to na dole musi być jeszcze gorzej...

– Nie martw się na zapas – pocieszyła ją przyjaciółka. – Jestem księgową i mam wszystkie Dziennik Ustaw. Wiem, gdzie czego szukać. Pomogę ci.

– Jak już ciotula koniecznie chce być na bieżąco w polityce – włączył się Piotruś – niech ciotula zacznie od programów informacyjnych. Tylko ostrożnie, nie za dużo na raz. Żeby się ciotuli zwoje nie przegrzały.

Lala siedziała przy biurku jak na rozżarzonych węglach i nie mogła się doczekać, kiedy matka najsympatyczniejszego chłopaka w Kraśniku wyjdzie z gabinetu Marty. Już wcześniej kobieta zrobiła na niej dobre wrażenie, wypytując o działanie rycyny Lala miała nadzieję, że uda się jej sprytnie wkręcić do rodzinnego gangu i wziąć udział w fascynującej przygodzie.

Była również pod coraz większym wrażeniem Piotra. Od paru dni wymieniali sobie maile, poruszając w nich przeróżne tematy. Chłopak pisał bez błędów na co Lala była specjalnie wyczulona, bo z racji zawodu matki książki czytywała od małego i język ojczysty miała opanowany zarówno w mowie, jak i w piśmie. A Piotr pisał tak, że miało się wrażenie, jakby prowadził przyjacielską rozmowę. Lala nie miała pojęcia, że Piotruś długo medytował nad każdym słowem, by bóstwa nie zniechęcić. Do czatu się nie rwał, bo nie był pewien, czy tak z marszu nie palnie jakiejś głupoty. Wolał się zabezpieczyć.

W tej chwili byli oboje na etapie wymiany życiorysów i poglądów na różne tematy. Poglądy często mieli zbieżne, co ich zdumiewało i budziło nadzieję, że życiorysy w nieokreślonej przyszłości mogą się spleść we wspólny. Zdaniem Lali ostatecznym sprawdzianem byłaby wspólna nocna eskapada.

Na widok wychodzącej Elizy Lala skinęła na kolejną pacjentkę i błyskawicznie wyskoczyła zza biurka.

– Dzień dobry! Co tam słysząc z pani planami? Specyfik zadziałał?

Eliza podejrzliwie obrzuciła wzrokiem kruczoczną dziewczeczkę.

– Zależy, o którym pani mówi – mruknęła niechętnie i nagle w jej oczach mignął błysk rozpoznania. – Ach, to pani. – Głos jej się wyraźnie ocieplił. – To przez te włosy. Nie poznałam pani... Ma pani chwilę? Bo mam problem.

– Proszę usiąść. – Lala wskazała fotel i usiadła obok. – Następna pacjentka jest zapisana za czterdzieści pięć minut. Co to za problem?

– Sprawdziłam tę rycynę na sobie – powiedziała z ożywieniem Eliza. – Jeśli weźmie się trochę więcej, działa błyskawicznie. Tyle że ja wzięłam dobrowolnie w ramach eksperymentu. Natomiast nie mam pomysłu, jak zmusić tego parszywca, żeby wypił. Przychodzi pani coś do głowy?

Lala pomyślała chwilę i entuzjastycznie pokiwała głową.

– Przychodzi. Zaraz pani wszystko powiem, tylko najpierw mam prośbę. Od razu możemy skasować tę „panią”. Mam na imię Karolina, ale wszyscy nazywają mnie Lalą. Mogłaby pani też?

Eliza przyjrzała się jej podejrzliwie i zmarszczyła brwi.

– Mam dziwne wrażenie, że to dopiero początek postulatów – powiedziała ostrożnie. – W porządku „Panią” kasujemy. Co dalej?

– Ja też się czuję poszkodowana – oznajmiła Lala stanowczo. – Napadł mnie w biały dzień. Nie wyszło mu, ale i tak jestem przeciwko napadaniu spokojnych obywaterek. Też chcę mu dać nauczkę. Mogę się przydać. Znam sztuki walki. Jakby trzeba było go unieszkodliwić fizycznie, to ja bardzo chętnie...

– Dziecko, ale nas jest trzy sztuki do tej akcji – zaprotestowała bez przekonania Eliza. – Ja, moja przyjaciółka i mój syn. Nie wiem, czy...

– Jeśli pani przekona przyjaciółkę, to ja przekonam Piotrusia – przerwała pośpiesznie Lala. – Znamy się przez Aleksa – wyjaśniła kłamliwie. – Piotruś wie, że można na mnie polegać.

– Już z nim pani... to znaczy: już z nim rozmawiałaś? – Eliza nie dała się nabrać. Po doświadczeniach z wykrętami Stasiulka jej osobista antena działała bezbłędnie.

– No... Tak jakby.

Eliza pokiwała głową i przyjrzała się dziewczynie z taką uwagą, jakby obserwowała nieznaną odmianę motyla. Ten akurat wyglądał dość reprezentacyjnie (Lala ubrała się i umalowała z wyjątkową starannością, pamiętając, że zmieniła umaszczenie). Piknęło jej w środku tajemnicze matczyne przecucie. Syna znała na tyle dobrze, że zdążyła zauważyć, iż od kilku dni chodzi trochę nieobecny i maślanymi oczami wpatruje się w ekran komputera. Nie wierzyła, by zapalał nagłą miłością do nieczulej maszyny, zatem... No, no, czyżby rzeczywiście miała przed sobą kandydatkę na synową?

– Dawno rozmawialiście? – zapytała mimochodem.

– Parę dni temu. – Lala rzuciła jej niespokojne spojrzenie.

Eliza zadumała się głęboko. Piotruś był już dorosły, należało się więc spodziewać, że prędzej czy później jakieś dziewczę go dopadnie. Głupia nie była, wiedziała, że niewiele będzie miała do powiedzenia, jeśli syn rzetelnie się zakocha. Ale jak każda w miarę normalna matka życzyłaby sobie, by ewentualna kandydatka pasowała jej do rodziny. Żeńskie egzemplarze, które widywała na kraśnickich ulicach, raczej ją zniechęcały. Większość przypominała anorektyczki, a niektóre z nich, sprawiały wrażenie, jakby cierpiały jeszcze na ADHD. W kawiarnianych ogródkach często widziała nieskoordynowane ruchowo panienki, które wierciły się, jakby zniecka kasało je coś w odwłok, podskakiwały w miejscu i denerwująco przenikliwymi głosami prowadziły dziwną konwersację. Elizie włos się jeżył, kiedy przysłuchiwała się tym rozmowom i od razu stawały jej przed oczami osławione peerelowskie budki z piwem. Drażniło ją również to, że prawie wszystkie pannice były przeraźliwie wytapetowane, niezależnie od pory dnia, i dziwnie pozbawione gustu.

Lala wyglądała jak normalna dziewczyna, ale to jeszcze o niczym nie

świadczyło. Mogła mieć ukryte wady, które należało poznać na tyle wcześniej, by można było obrać odpowiednią taktykę. Musi pogadać z Malwiną. We dwie poobserwują młodych i wyciągną wnioski. Właściwie... A, niech tam. Mogą ją **zabrać** na tę ekologiczną zemstę. Niech się dziewczyna uczy właściwego podejścia do życia.

Eliza jeszcze raz przyjrzała się ukradkiem Lali od której było niecierpliwe oczekiwanie i wyraźni napięcie, po czym wydała werdykt:

– Dobrze. Porozmawiam z przyjaciółką. Niczego nie obiecuję, ale myślę, że uda mi się ją przekonać Właściwie to i tak ja mam więcej do gadania, bo moja zemsta. Mnie okradł, nie ją.

Dziewczyna pojaśniała i wyraźnie się rozluźniła. Wyprostowała się na swoim fotelu, pochyliła ku rozmówczyni i ściszym głosem powiedziała:

– Zastanawia się pani, jak nakłonić tego złodziejaszka, żeby wypił rycynę? Trzeba go zmusić tak, jak się zmusza dzieciaka, żeby zażył gorzkie lekarstwo.

– To znaczy? – Eliza wpatrzyła się w nią z napięciem.

– Jak się złapie delikwenta za nos, to musi otworzyć usta, bo inaczej się udusi. – Lala zademonstrowała na sobie.

– A jak wypluje?

– Połknie. Mam praktykę. Nieraz pomagałam Mamince przy dzieciach. Nawet jak trochę wypluje, to lwia część doleci, gdzie trzeba... No, musi przełknąć, żeby złapać oddech.

– Ha, na to bym nie wpadła! – Eliza uśmiechnęła się szeroko. – Nie masz pojęcia, dziecko, jak mnie to dręczyło. No, to Malwina się ucieszy, że mamy problem z głowy... Zaraz, poczekaj. Jeśli chcesz iść z nami, musisz pomyśleć o przebraniu...

– Wezmę kominiarkę od brata – przerwała Lala. – I buty mam fajne.

Takie cichobiegi. Dostałam od Misia do ćwiczeń.

– Kto to jest Miś? – zapytała nieufnie Eliza.

Nim przyszła kolejna pacjentka, matka Piotrusia była już dokładnie zorientowana w koligacjach rodzinnych ukochanej syna. Alicję Minatową знаła z biblioteki, więc doszła do wniosku, że Piotruła wybrał idealnie.

– Ty już masz jakieś pojęcie, jak ten Skunks działa? – zapytała ściszym głosem Lala.

Siedzieli oboje z Piotrusiem w ulubionej kawiarni i popijali aromatyczne espresso.

– Mam. – Magister Barnaba z pewnym trudem oderwał wzrok od bóstwa i wrócił do rzeczywistości. – W Oazie grają w środy i piątki, więc on już od rana kręci się w miejscach, gdzie może upolować gotówkę. Przeważnie pod bankiem, tym za małym szpitalikiem, albo przy tym bankomacie koło waszego salonu. Bank jest na uboczu, więc chyba tam woli. Zanim okradziony narobi krzyku, zdąży zwiać. Matulę tam obrobił.

– A mnie usiłował koło nas. – Lala zmarszczyła brwi. – Piątek by mi pasował. W soboty nie pracuję. Uzgodniłabym z Maminką alibi i mogłabym przylecieć do was.

– Swojej matuli nie powiesz? – Piotruś z napięciem czekał na odpowiedź.

– Powiem. Ale jak już będzie po wszystkim. Mama się okropnie przejmuje Misiem. Nie chcę jej dokładać od siebie. Denerwowałaby się całą noc.

Piotruś z ulgą przyjął wyjaśnienie, bo już zdążył sobie zakodować w umyśle, że bóstwo wad nie posiada, i byłoby mu przykro, gdyby się jakaś znienacka objawiła.

– A wiesz, jaką drogą on wraca z tej Oazy? – dociekała Lala.

– Wiem. Zaraz ci narysuję. – Sięgnął po serwetkę i wyjął z kieszeni długopis. Lala z ciekawością nachyliła się ku niemu. – Tu jest Oaza. Po drugiej stronie ulicy wasz salon i Myszka. Przy Myszcze bankomat. – Zaznaczył krzyżykiem. – Wyłazi z Oazy, przełazi na drugą stronę po pasach naprzeciwko sklepu i zaraz za tym klonem, co rośnie na rogu ulicy, znowu przechodzi, a potem pierwszą alejką wchodzi do parku, Dochodzi do fontanny, skręca w lewo i główną promenadą idzie do końca, mija lodziarnię i zachodzi od tyłu do tego bloku, co to nazywają go Smoluchem. Tam mieszka.

– To on głupi jest – stwierdziła Lala, z uwagą śledząc trasę złodziejaszka. – Gdyby poszedł wzdłuż parku, miałby bliżej do domu.

Piotruś pokręcił głową.

– Chyba wyczałem, dlaczego on tak głupio chodzi. Wszyscy go znają z tego, że przegrywa. W knajpie zachowuje się porządnie, bo więcej by go nie wpuścili. Tylko dlatego go tolerują, że kasę zostawia. Jak wychodzi, musi być strasznie zły. Widziałem, jak szedł i kopał po drodze, co popadnie. W parku może się wyżyć na donicach, latarniach i śmietnikach, a na ulicy mógłby najwyżej kopnąć żywopłot. To mało satysfakcjonujące i nie robi hałasu.

– Wandal – mruknęła z dezaprobatą Lala. – Wybrałeś już miejsce, gdzie go przydybiemy?

– Strasznie dużo klombów w tym parku narobili. Ładne są i wolałbym, żeby nic im się nie stało. Zobacz. – Pochylił się nad kartką i namazał kółko na planie. – Tu go można capnąć. Tu jest tylko trawnik, na nim parę krzaków, a wokół drzewa. Jakby co, to nie będziemy się rzucać w oczy. Od ulicy będzie zasłaniał żywopłot, a od strony parku krzaki. I tu jest prawie ciemno, bo latarnia stoi dalej.

– Bardzo dobre miejsce – pochwaliła Lala i rzuciła mu pełne uznania spojrzenie, które spowodowało, że jego serce wywinęło koziołka. – A ta przyjaciółka twojej mamy już się pogodziła z moim udziałem? 116

– Bez problemu – zapewnił ją Piotruś. – Od razu cię skojarzyła, bo ona też się leczy w waszym salonie. Poza tym... Ona uważa, że ogólnie kobiety bardziej się Panu Bogu udały niż faceci.

Lala zachichotała.

– Wojująca feministka?

– Nie. Mąż ją zostawił, jak była w ciąży i...

– Rozumiem. Też bym się zraziła.

– Ale, wiesz... Dziewczyny też bywają różne – powiedział Piotruś ostrożnie. – Ja osobiście nie miałem czasu, żeby sprawdzać, ale jeden mój kumpel nadział się na taką.

– Co mu zrobiła? – zainteresowała się Lala.

– Krzywdę – odparł z głębokim przekonaniem Piotruś. – On miał hopla na punkcie motorów. Godzinami mógł siedzieć w garażu i montować kolejnego składaka. A jak się ożenił, ona zaczęła się domagać, żeby siedział w domu. Do niczego jej nie był potrzebny, bo ona ciągle oglądała seriale w telewizji, ale lubiła, żeby był.

– Niedopieszczona. – Lala się skrzywiła. – Albo lubi kontrolować swoją własność... Głupia. Tak się nie da. Powinno się mieć jakieś zainteresowania, żeby nie wisieć na drugim człowieku.

– Ona miała. Te seriale.

– Ale nie można nikogo zmuszać, żeby lubił to samo. Małżeństwo to nie jest niewola. Najgorzej jest wtedy, gdy ktoś próbuje tak oplątać partnera, żeby samodzielnie nie mógł nawet zipnąć.

– Trujący bluszcz – mruknął Piotruś. – Ja uwielbiam siedzieć przy

komputerze. Nie tylko dlatego, że w ten sposób zarabiam, ale też dlatego, że to naprawdę lubię.

– A ja kocham czytać – uśmiechnęła się Lala. – Miś i tata mówią, że kiedy się zaczytam, głuchnę i ślepnę na resztę świata. I jeszcze lubię spacerować po lesie. Nasz złąziłam wzdłuż i wszerz, a i tak potrafi mnie zaskoczyć. Wiesz, że to samo miejsce wygląda? zupełnie inaczej o każdej porze roku?

– Sama tak chodzisz? – zaniepokoił się Piotruś.

– Czasem z Misiem, a czasem z Nela. To córka Maminki. Zbieramy rośliny. Nela układa z nich obrazy i ma z tego niezłą kasę. Teraz rzadko razem chodzimy, bo ona wyszła za męża, a ja pracuję. A Miś nawet na takim spacerze potrafi zrobić sobie krzywdę, więc nie chcę prowokować losu. Szkoda. Dawno nie byłam w lesie, a już prawie wiosna...

– Ja będę z tobą chodził – obiecał żarliwie Piotruś.

– Mam ci zrobić to samo, co żona twojemu kumpłowi? – Lala się skrzywiła.

– Nie to samo! Ja też lubię sobie pomyśleć w ciszy. A świeże powietrze na pewno mi nie zaszkodzi.

– Skoro tak mówisz... Słuchaj, a wy macie jakieś przebrania na tę nocną akcję? – przypomniała sobie nagle Lala. – Wiesz, ja się chyba trochę na tym znam. Oglądałam wszystkie CSI i sporo się dowiedziałam o tym, jak działają zawodowe bandziory. I wiem, że trzeba się jakoś przebrać, żeby...

– Ha! Przebrać! – Piotruś zachichotał szatańsko. – Nie wiem, czy matula i ciotka oglądały to samo, ale w filmie akcji mogłyby zagrać... Czekać, ja ci opowiem, co one mi zrobiły...

Nie zawiódł się. Bóstwo natychmiast zrozumiało, na jakie niebezpieczeństwo naraziłaby śmietnikowa odzież obie niewiasty i pokręciło z troską ciemnowłosą głową.

– Nie możemy im na to pozwolić, bo pierwszy nocny patrol nas zgarnie z ulicy. Spodnie mogą założyć, bo wygodniej, ale muszą być czarne. Do tego czarna góra, żeby jak najmniej było widać jasnego w ciemności. Może jakieś rękawiczki. I kominiarki. I wygodne buty, żeby w razie czego szybciej zwiać... Patrz, kurczę, nie wiedziałam, że taki ze mnie ekspert...

– Jak człowiek myśli racjonalnie, to zawsze wpadnie na dobry pomysł. Moja matula traktuje ten rabunek osobiście i rozum jej się wyłączył. Jedyne, co ją interesuje, to dopaść drania i zniszczyć... Wiesz, Karunia – Piotruś westchnął i pokręcił głową – boję się, że ja jej nie przekonam. Może byś wpadła do nas I zrobiła im wykład na ten temat?

– A jak pomyślą, że się mądrzę?

– Prędzej ciebie posłuchają niż mnie. Według ciotki to ja jestem gorsza płęć – zapewnił Piotruś. – Zapłacę i pójdziemy od razu, co? Możesz dziś?

– Tak znieńacka? – przestraszyła się Lala. – Nie chciałabym ich do siebie zniechęcić.

– To niemożliwe – zapewnił ją stanowczo Piotruś. – Do ciebie nie można się zniechęcić... Zapłacę I wychodzimy.

– Może powinieneś je uprzedzić, że przyjdiesz ze mną?

– Jest po siódmej. – Piotruś spojrział na zegarek. – Jak znam życie, ciotula ogląda *Fakty* i usiłuje zrozumieć, po co oni ją informują o głupotach, a matka siedzi w swoim pokoju z zatyczkami w uszach i przed nosem ma laptopa.

– Po co jej zatyczki? – chciała wiedzieć Lala.

– Bo wtedy ma alibi i ciotka jej nie wypytuje o politykę. Matula ma alergię na takie rzeczy. Mówi, że gdyby płacili za wodolejstwo, hipokryzję i głupotę, to niektórzy nasi politycy byliby najbogatszymi ludźmi świata...

Będzie OK. Obu dobrze zrobi przerwa.

Malwina stała w drzwiach pokoju przyjaciółki z bojową miną i najwyraźniej mówiła o czymś, co ją niespecjalnie zachwyciło. Można się było tego domyślić po ekspresyjnym ruchu warg i wymachiwaniu rękami. Eliza podziwiała widok z pobłażaniem i na przyjemnym luzie. Doszła ostatnio do wniosku, że jedyną możliwość zachowania jakiejś takiej inteligencji daje unikanie programów informacyjnych. Czego człowiek nie słyszy, to go nie denerwuje. Zatyczki działały świetnie i Eliza z całego serca była wdzięczna synowi za ten zakup.

Malwina skończyła monolog i patrzyła na przyjaciółkę wyczekująco. Kiedy ta posłała jej pogodny uśmiech, nie wytrzymała.

– Tobie ten twój Stasiulek papkę z mózgu zrobił! – oznajmiła ze zgrozą. – Ja ci tu opowiadam, że naród głupieje, a ty się cieszysz?!

– Ciotula – rozległ się za nią głos Piotrusia – matula się odcina od stresujących bodźców. Zakłada zatyczki do uszu. Może ty też powinnaś? – Popatrzył na nią z troską. – Podobno stresy skracają życie... Przeprowadziłem Karolinę na naradę wojenną.

Zza Piotrusia wyjrzała niepewnie wiotka dziewczyna z szopą kruczoczarnych włosów i uśmiechnęła się powitalnie. Malwinie przebiegło przez głowę, że skądś ją zna, ale była już w rozpędzie i nie miała zamiaru tracić czasu na dociekania. Gryzła ją nabyta wiedza i życzyła sobie, by ktoś pomógł zrobić jej z tym porządek.

– Chodźcie do kuchni – zażądała stanowczo. – Mogę twojej matki nie stresować, ale nie chcę żyć w niewiedzy. Obejrzałam coś, czego nie rozumiem. Macie mi wytłumaczyć.

Posłusznie poszli za nią, usiedli przy kuchennym stole i popatrzyli na nią wyczekująco. Malwina opadła na taboret i przez chwilę myślała

intensywnie, jak powinno brzmieć pytanie, by odpowiedź ją zadowolila.

– W telewizji – zaczęła z namysłem – mówili o podtopieniach...

– O tej porze roku to normalne, ciotula.

– Domyśliłam się tego. – Głos Malwiny był cierpki. – Pokazali kobietę w średnim wieku i dopytywali, czy już dostała jakąś pomoc z gminy. Powiedziała, że trzy tysiące, a kiedy ta reporterka zasugerowała, że to chyba niewiele... Ja najpierw myślałam, że się przesłyszałam... Wiecie, co ta baba powiedziała?

Lala i Piotruś potrząsnęli głowami i wbili w nią wzrok.

– Ona nie miała pretensji o kwotę. – W głosie Malwiny dźwięczało niedowierzenie. – Ona była wściekła, bo nie pokazali jej całej listy, na której było, kto ile dostał! Niech mi ktoś wytłumaczy, do czego babie ta wiedza! Przybędzie jej od tego?

– Niektórzy uważają, że wiedza to potęga – mruknął Piotruś i westchnął. – Ciotula, normalny człowiek tego nie zrozumie. Może to taka baba, która nie lubi, żeby inni mieli lepiej i woli trzymać rękę na pulsie. Nie chodzi jej o to, żeby mieć więcej, tylko żeby sąsiad za bardzo nie obrósł w piórka.

– Nic tak nie poprawia samopoczucia Polaka, jak świadomość, że sąsiada spotkało nieszczęście – powiedziała Lala i też westchnęła. – To podobno zasada numer jeden w naszym kodeksie narodowym.

– Ktoś ludzi zmutował, kiedy mnie nie było w kraju? – Malwina popatrzyła na nich z niesmakiem.

– My nie uważamy, że wszyscy tacy są – powiedział pocieszająco Piotruś. – Nasze pokolenie urodziło się już w demokracji i nie mamy żadnych obciążeń ustrojowych. Już się nauczyliśmy, że jak człowiek chce coś mieć, to musi się sam postarać, bo z nieba mu nie nakapie. Ale to

pokolenie, co się jeszcze załapało na PRL, ma problemy. Demokracja według nich polega na tym, że mają prawo zniszczyć każdego, kto nie spełnia ich norm.

Malwina popatrzyła na niego z obrzydzeniem i już otwierała usta, ale ubiegła ją Lala.

– Ta dyskusja nie ma sensu, pani Malwino – powiedziała pojednawczo. – Głupota przetrwała wieki i my jej też nie damy rady. Może wystarczy, jeśli sami będziemy się starali być w porządku.

Malwina przetrawiała przez chwilę jej słowa. Czuła w sobie odruchowy opór przed akceptacją obrzydliwego zjawiska. Jednak ze świstem przeleciały jej w pamięci dzieje ludzkości i uznała, że dziewczyna istotnie ma rację. Głupota jest wieczna i nie ma na to rady.

– Chamstwo też jest wieczne – oznajmiła gniewnie, podnosząc się z miejsca. – Nie wiem, co wolę... Zrobię wam coś do jedzenia, bo ta mimoza pewnie się nie ruszy.

– Dlaczego chamstwo? – zainteresował się Piotruś, przychylnie przyjmując ofertę nakarmienia. – Ciotula ma coś konkretnego na myśli?

– Owszem. – Malwina zgrzytnęła zębami. – Do sklepu od was niedaleko, więc postanowiłam zrobić zakupy dwunożnie, bez samochodu. No i los mnie pokarał za bezmyślność. Jakiś młody cham wjeżdżał specjalnie w największe kałuże na jezdni i bardzo go bawiło, jak ludzie odskakiwali. Mnie też ochlapał. Na szczęście zapamiętałam sobie tablice rejestracyjne i dopadnę drania. Po sądach chodzić nie będę, bo mam ciekawsze rzeczy do roboty, ale coś wymyślę. Mam czas. Jak już Eliza skończy z tym swoim parszywcem, zajmę się tym młodym chamem i nauczę go kindersztuby.

– Może mu pani napisać na samochodzie, że cham – podsunęła żywo

Lala.

– Napisać? Czym? Palcem? – Malwina zastygła z nożem w dłoni i rzuciła jej zaintrygowane spojrzenie.

– Sprayem. To znaczy farbą w sprayu – wyjaśniła Lala. – Podobno trudno się zmywa. Wprawdzie to chyba – zawahała się – podchodzi pod chuligaństwo...

– A ochlapywanie brudną wodą przechodniów to podchodzi pod grzeczność? – zainteresowała się zgryźliwie Malwina, której pomysł bardzo przypadł do gustu. – Gdzie to się kupuje? Ten spray?

– Chyba w sklepie budowlanym – powiedziała niepewnie Lala. – Takim, co sprzedaje farby. Mogę popytać.

– Sama popytam. – Malwina wróciła do produkcji kanapek. – Zaraz. Piotruś coś mówił o naradzie wojennej. Chodzi wam o tę ekologiczną zemstę? Macie jakiś nowy pomysł?

Piotruś, którego pomysłowość bóstwa wprawiła w podziw, nie rwał się do rozmowy, bo wołał ukradkiem patrzeć maślanym wzrokiem na dziewczynę, zatem Lala wzięła na siebie wyjaśnienie sprawy. Malwina bez problemu zgodziła się, aby zrezygnować ze swoich wymyślnych kostiumów, bo czuła coraz żywszą niechęć do przemiany w lumpa. Obiecała przekonać przyjaciółkę do zmiany upodobań odzieżowych.

– Wiecie, tak sobie myślę... – Lala urwała i popadła w zadumę.

– Co sobie myślisz, Karunia? – Głos Piotrusia był miękki jak masło, które zbyt długo leżało na słońcu, i Malwina z nagłym zainteresowaniem przyjrzała się młodemu Barnabie.

– Tak sobie myślę, że fajnie by było, gdyby nam się trafiła bezksiężycowa noc na tę zemstę. Albo żeby chociaż tego księżyca nie było za dużo. A jeszcze jakby było pochmurno... – rozmarzyła się Lala.

Wzrok Malwiny przeniósł się na dziewczynę.

– Masz niepokojąco dobre pomysły – stwierdziła podejrzliwie. – Skąd ci się to bierze?

Lala prychnęła śmiechem.

– Może to nie najlepiej o mnie świadczy, ale uwielbiam seriale kryminalne – wyznała bez oporów. – Moi rodzice nie lubią, więc idę do brata, który mieszka obok i razem oglądamy. Ostatnio głównie *CSI*, bo tam jest najwięcej o pracy śledczych. Można się wiele nauczyć.

– Karunia, sprawdzimy, w który piątek będzie mało tego księżycy – zaproponował Piotruś. – Chcesz?

– Sprawdźcie. – Malwina podsunęła im talerz z kanapkami. – Weźcie pożywienie i popracujcie, a ja spróbuję wyrwać Elizę z tego bezstresowego kokonu.

Kiedy wyszli, Malwina zaparzyła herbatę i ze szklanką w dłoni pomaszzerowała do sanktuarium pracowitej przyjaciółki. Z doświadczenia wiedziała, że jedynie ten napój jest w stanie oderwać Elizę od laptopa. Alkoholik nie mógł egzystować bez trunku, a księgowa Barnaba bez herbaty.

Postawiła szklankę na biurku i wymownym ruchem pokazała na uszy. Eliza westchnęła, ale posłusznie wyciągnęła zatyczki i z przyjemnością powąchała ulubioną herbatkę Lipton.

– Obejrzałam sobie twoją synową – oświadczyła Malwina i przysiadła obok na kanapie. – Bystra dziewczyna. Piotruś ma szczęście.

Eliza przez chwilę patrzyła na nią niezbyt przytomnie i w pośpiechu usiłowała przestawić swój umysł z liczb na sprawy doczesne. Wreszcie coś w niej zaskoczyło.

– Gdzie ją sobie obejrzałaś? – zainteresowała się ze zdziwieniem.

– Tutaj. Złożyła właśnie wizytę i mówiła całkiem niegłupie rzeczy...
Myślisz, że naprawdę będzie twoją synową? Piotruś aż tak odbiło?

– Nie odbiło, tylko walnęło w niego – poprawiła z naciskiem Eliza i upiła łyk herbaty. – Jak w Michaela Corleone w *Ojcu chrzestnym*. Piotruś jest długodystansowiec. Jeśli ona to doceni, to uznam, że na niego zasługuje i nie będę się wtrącać.

– A jeśli nie?

– No co się głupio pytasz? – zachnęła się Eliza. – Każda matka to wybitna specjalistka od obrzydzania dzieciom wszystkiego, co jej nie odpowiada. Myślisz, że nie dałabym rady?

Malwina przezornie nie oświeciła jej, iż uważa, że na Piotrusia nic już nie podziała. Pograżyła się w zadumie, a potem pokiwała głową.

– Ten *Ojciec chrzestny* nawet tu pasuje. Bardzo możliwe, że uda nam się zrobić z Piotrusia mafiosa. W każdym razie w sprawach wendety będzie już doświadczony.

– To nie żadna sycylijska wendeta, tylko bardzo zasłużona zemsta – oburzyła się Eliza. – Jeśli państwo olewa potrzeby obywateli, to sami muszą wymierzyć sprawiedliwość. Niech ten parszywiec się cieszy, że nie dysponuję splotem i miewam wyrzuty sumienia... Czekał, co ty tam wcześniej mówiłaś? Jakie niegłupie rzeczy?

Malwina wyczerpująco i ze starannie ukrywanym zadowoleniem przedstawiła przyjaciółce argumenty Lali na temat napadowej garderoby. Eliza trochę protestowała, bo wizja własnej osoby jako lumpa bardzo przypadła jej do gustu, ale w końcu pogodziła się z koniecznością zadbania o bezpieczeństwo akcji.

– Niepotrzebnie kupowałyśmy te łachy – powiedziała z niechęcią. – Niewykorzystana okazja. Przecież się w to nigdzie nie ubiorę.

– Dlaczego? – zdziwiła się uszczypliwie Malwina. – Możesz wystąpić w nich na balu przebierańców. Pierwsze miejsce gwarantowane. Zresztą... Skąd wiesz, że nie będziesz musiała sprzątać jakiegoś przeraźliwie brudnego miejsca? Potem możesz, od razu wyrzucić i oszczędzisz na praniu.

– Przewidujesz, że stracę klientów i przejdę na posadę sprzątaczkę? – obraziła się Eliza i już się nastawiła na kłótnię, ale coś jej się przypomniało i dała spokój. – Słuchaj, ona tu jeszcze jest? Ta Lala? Bo w zasadzie wszystko już mamy obmyślane i chyba nie ma na co czekać. Ilu jeszcze porządnych ludzi ma ten parszywiec obrobić, zanim mu damy nauczkę? Musimy ustalić dzień akcji i odwalić robotę.

– Raczej noc – mruknęła Malwina, ale uznała rację przyjaciółki i ryknęła ponagląco w stronę pokoju Piotrusia: – Dzieci! Chodźcie na naradę!

Dzieci, nieco przerażone tym rykiem, natychmiast karnie stawily się w pokoju i zasiadły obok niej na kanapie. Uwadze obu doświadczonych życiowo niewiast nie uszło, że oczy Lali błyszczały, a Piotrusia wręcz płonęły.

– Musimy ustalić dzień akcji – oznajmiła stanowczo Eliza. – Coś czarnego wykombinujemy bez problemu, narzędzie kary posiadamy, nie ma na co czekać.

Piotruś z wysiłkiem oderwał roziskrzony wzrok od bóstwa, zamrugał oczami i spróbował się skupić.

– Sprawdzaliśmy w Internecie. W ten piątek jest nów, a długoterminowa prognoza mówi o zachmurzeniu. Nawet jakby się nie sprawdziła, nów nam wystarczy.

– O której godzinie będziemy go dopadać? – chciała wiedzieć Malwina.

– Tu mam problem – zakłopotał się Piotruś. – Gra różnie się kończy, a on wychodzi, jak już nie ma za co grać. Też różnie: czasem zaraz po północy, czasem później, nawet o trzeciej. Trzeba by czekać. Inaczej nie da rady go upilnować.

– Cholera. Zamarzniemy w tym parku – zniechęciła się Eliza. – Może byśmy zabrały jakąś piersiówkę albo co?

– Trzeba podjechać samochodem – zdecydowała Malwina. – Będziemy się zmieniać na czatach, a reszta poczeka w środku.

– To na nic – wtrąciła grzecznie Lala. – Jak czata da znać, że on idzie, nie zdążymy dolecieć tak, żeby nas nie zauważył. Sprawdzaliśmy dzisiaj. Tam, poza tą jedną kępą krzaków, nie ma się gdzie schować. Musielibyśmy podpełznąć, a to za długo by trwało.

– Co za bałwan wymyślił taki park – mruknęła potępiająco Eliza.

– Poczekajcie, kobiety. – Piotruś uniósł dłoń. – Trzeba na niego czekać przy Oazie. Schowam się w cieniu przy schodach do Myszki. Tam nie ma latarni, nie zauważy mnie. Jak wyjdzie, puszcę wam sygnał przez komórkę i wtedy się zaczajcie w krzakach, a ja przelecę wzdłuż przystanku i dobieję do was, zanim on tam dotrze.

– Zmarzniesz. – W głosie Lali była troska i Eliza obrzuciła ją przychylnym wzrokiem.

– Ubiorę się ciepło. – Piotruś bohatercko zlekceważył nieprzyjazne dla organizmu nocne temperatury i dodał natchnionym głosem: – Samochód zaparkujemy w zatoczce przy starym kiosku Ruchu...

– Daleko – zaprotestowała Eliza. – Lepiej naprzeciwno przystanku.

– Naprzeciwno przystanku często jeżdżą patrole. – Piotruś pokręcił głową. – Może ich zainteresować taki pojedynczy samochód. A do zatoczki blisko, matula. Przelecimy alejką i już. Jutro pogadam z kumplem. Winien

mi jest przysługę. Pożyczę od niego furę. On ma taką przechodzoną toyotę, ale jeździ. Na wszelki wypadek poproszę drugiego kumpla, żeby jej się przyjrzał dokładnie. Wolałbym, żeby nie odmówiła współpracy w czasie odwrotu.

– Możemy pojechać mną – podsunęła wyniośle Malwina. – Moja mazda jest na chodzie i nic nie trzeba...

– Zależy pani na rozgłosie? – przerwała słodko Lala, uśmiechając się wdzięcznie. – Podobno pani zięć jest w policji. Musimy unikać niepotrzebnego ryzyka.

Piotruś obdarzył bóstwo pochwalnym spojrzeniem i przytaknął energicznie.

– W porządku. – Malwina niechętnie pogodziła się z koniecznością. W głębi duszy piastowała nadzieję, że w czasie akcji przydarzy się coś nieprzewidzianego, i będzie miała okazję popiratować sobie na kraśnickich ulicach. – Tylko ten samochód ma być w środku czysty – zażądała twardo. – Odmawiam jazdy w śmietniku.

– Czemu ciocia zakłada, że jak cudzy samochód, to od razu śmietnik? – zdziwił się Piotruś.

– Widywałam takie w Kanadzie. Nie zakładam, że każdy, ale te należące do młodzieży przeważnie...

Kiedy młodzież wyszła, bo Piotruś oznajmił stanowczo, że musi bezpiecznie odstawić Lalę do domu, obie przyjaciółki zasiadły godnie przed telewizorem.

– Zajrzyj do programu – poleciała Malwina. – Zobacz, czy dziś nie ma tych filmów kryminalnych, o których mówiła Lala. Ona się sporo z nich nauczyła.

Może nam też coś wpadnie do głowy, jak sobie pooglądamy. To młode

pokolenie denerwująco dużo wie o świecie. Nie życzę sobie być gorzej wykształcona.

– Może o świecie, ale o życiu to już nie bardzo – mruknęła Eliza, posłusznie sięgając po gazetę. – Przyglądałam się im. Oboje aż piszczą do siebie, ale mogę przysiąc, że żadne nie myśli o przyszłości.

– A ty w ich wieku myślałaś? – wytknęła złośliwie Malwina.

– Ja w ich wieku to już miałam męża, dziecko i mieszkanie do umeblowania. – Eliza westchnęła. – I trzeba było nieźle główkować, żeby wystarczyło na życie i spłatę kredytu. A jeszcze młoda byłam i ubrać też się jakoś chciałam.

– Ale zanim miałaś tego męża i dziecko, to też nie myślałaś o przyszłości, tylko liczyłaś na miłość aż po grób – nie odpuściła Malwina. – Wszystkie głupiejemy, jak się zakochamy. Najpierw nam się wydaje, że trafiliśmy na księcia z bajki, a potem się okazuje, że to była ropucha.

– Bo to już tak jest, że młodość idzie w parze z głupotą. – Eliza znowu westchnęła. – Gdybym ja wtedy taka mądra była jak teraz, to nie podstawiałabym wszystkiego Stasiulkowi pod nos, tylko wzięła go pod pantofel i chodziłby jak w zegarku. A teściową też bym od razu usadziła i przestałaby się wtrącać w nasze życie.

– A ja bym się nie dała głupiemu Pędziwiatrowi namówić na żaden „dowód miłości” – mruknęła Malwina. – Albo przynajmniej pomyślałabym o zabezpieczeniu.

– Z tym nie było kłopotu – przyznała Eliza. – Tabletki, spiralki... Może wybór był mniejszy niż dziś, ale to ginekolog był dla kobiet, a nie odwrotnie.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Po prostu odnoszę wrażenie, że kobiety w naszym kraju traktuje się

jak idiotki pozbawione praw i rozumu! – wściekła się Eliza. – Oni chyba myślą, że gdyby na przykład aborcja była legalna, to wszystkie poleciałybyśmy na skrobanki. A przecież wystarczy, żeby małolaty porządnie uświadomić i przestrzec. Szczególnie w dobie AIDS. Żeby oni tak dbali o życie tych już narodzonych, jak dbają o poczętych... Ty masz pojęcie, że podobno są apteki, które odmawiają sprzedaży pigułek antykoncepcyjnych?! Bo właścicielom to źle robi na światopogląd?! Nie do wiary! A ci praworządni ginekolodzy po godzinach skrobą bez żadnych wyrzutów sumienia! Wystarczy mieć pieniądze. I gdzie tu sens, ja się pytam.

Malwina przyodziała się w swoją ulubioną roboczą bluzę z wizerunkiem wyszczerzonej myszy i wyniosła na balkon kuchenny taboret. Na taborecie pieczołowicie ułożyła płytę paździerzową, do której pinezkami przypięty był arkusz brystolu. Na zewnątrz było dosyć chłodno, ale nie miała wyjścia. Od wczoraj z uporem ćwiczyła pisanie sprayem i było to trudniejsze, niż jej się wydawało. Ćwiczenia zaczęła na brystolu umieszczonym na kuchennym stole, ale za pierwszym razem wzięła za duży zamach i farba poleciała głównie na ścianę, ozdabiając ją fantazyjnym zygzakiem w kolorze strażackiej czerwieni. Ornament nie przypadł do gustu Elizie. Zmusiła Piotrusia do zmycia ozdoby, co okazało się pracochłonne i uciążliwe, a przyjaciółkę do zaprzestania działalności artystycznej w domowym zaciszu. Zacisze balkonowe nie zostało zakazane, więc Malwina tu znalazła azyl.

Teraz ujęła denerwujące narzędzie w dłoń i wyobraziła sobie, że ma przed sobą maskę renaulta należącego do sadystycznego chama. Zacisnęła usta i w skupieniu zaczęła pisać kolejne litery. „C” wyszło trochę kulfonowato, najlepiej wyglądało „M”. Malwina życzyła sobie, by napis był

czytelny nawet dla debila i wyglądał estetycznie. Zapała się w sobie i podjęła ćwiczenie.

Eliza doszła do wniosku, że musi się zająć czymś pożytecznym, bo jeśli dalej będzie się pałętać po domu jak dusza potępiona, to syn i przyjaciółka uznają, że nie nadaje się na żadną akcję. Z zajęciem miała jednakowoż kłopot. Prace zlecone już odwaliała. Rządy w kuchni objęła Malwina, która nie życzyła sobie pomocy. Pranie na bieżąco robiło się samo po włożeniu do pralki. Codzienne mycie okien byłoby pewną przesadą, jeśli nie początkiem nerwicy natręctw. Odkurzać mogła co dzień, ale mieszkanie nie przypominało milionerskiej posiadłości i zajęcie nie trwało długo. Ostatecznie mogła jeszcze zażywać relaksu z książką czy gazetą, do tego jednakowoż potrzebne było skupienie, a ta umiejętność widocznie ją opuściła, bo umysł miała zajęty rozpatrywaniem wszelkich niespodzianek, które mogły im się przydarzyć podczas wymierzania parszywcowi sprawiedliwości.

Siedziała w swoim pokoju, patrząc ponuro przed siebie i dostrzegła starannie ułożoną na fotelu kupkę czerni. W kupce znajdowały się przygotowane na nocny napad ubrania – czarne bluzki, swetry, spodnie, kominiarki i rękawiczki. Wzięła machinalnie do ręki leżącą na wierzchu kominiarkę, obróciła ją w palcach i stwierdziła, że na górze jest nadpruta. Natychmiast postanowiła defekt naprawić. Znalazła kłębek czarnej włóczki oraz grubą igłę i zabrała się do dzieła. Wreszcie mogła zająć się czymś, co nie przeszkadzało jej myśleć.

– Ala, masz chwilę? – Marta siedziała w dużym pokoju, obserwując czujnie Kropka, który przysiadł naprzeciwko niej i najwyraźniej miał zamiar potraktować jej nogę jak zdobycz. – Pogadałabym o Lali.

Ala Minatowa po drugiej stronie aparatu wydała z siebie

zaniepokojone pufnięcie i nerwowo zapytała:

– Stało się coś?

– Nic się nie stało... Kropek, zaraz, odczep się od moich odnóży! Tam masz piłeczkę!... Sorry, Alusia, to nie do ciebie. – Marta przezornie podwinęła cel kociego ataku na kanapę. – Obiło ci się o uszy imię: Piotruś?

– A, Piotruś. – Ala zaśmiała się srebrzyście. – Zdaje się, że ostatnio to imię stanowi centrum wszechświata mojej córki. Za każdym razem, kiedy wychodzi z domu, słyszę, że Piotruś na nią czeka i ona absolutnie nie może się spóźnić. Ale na razie nie zauważyłam niepokojących objawów. Poza tym któregoś wieczoru wypatrzyłam przez okno młodzieńca, który żegnał się z Lalą, i doszłam do wniosku, że chyba nie jest taki najgorszy, jeśli ją odprowadza pod dom. Wiesz może o nim coś więcej?

– Wiem. – Marta schyliła się, sięgnęła po kociaka, który lamentował, nie mogąc samodzielnie wspiąć się na kanapę i ulokowała go na podolku. – To syn mojej pacjentki. Aleks też go zna, bo obaj siedzą w informatyce, i mówi, że to porządny chłopak. Też tak uważam... Czeka, w zasadzie ja nie dzwonię, żeby plotkować o miłości twojej córki, tylko żeby... Rany, powiem wprost: Lala prosiła mnie o alibi. Wolę cię uprzedzić, żebyś potem nie miała pretensji...

– Po co jej to alibi? – przestraszyła się Ala. -

O Jezusie, myślisz, że chcą skonsumować...

– Ala, daj spokój. – Marta parsknęła śmiechem. – Jak będą chcieli, to i święty Piotr ich nie upilnuje... Nie o to chodzi. Lala mi opowiadała bardzo ogólnikowo, ale chyba planują ukaranie jakiegoś rzezimieszka...

– Dlaczego moja córka... Od tego jest policja!

– Nie bój się, Alusia. Ten Piotruś wygląda mi na rozsądnego chłopaka, a poza tym biorą w tym udział dwie dorosłe kobiety – powiedziała

pocieszająco Marta. – Sama bym się wkręciła, ale nikt mnie nie zapraszał. Daj dziecku przeżyć przygodę.

– A dlaczego Lala nie powiedziała mi wprost, tylko ciebie prosi o alibi? O co chodzi?

– Bo pewnie nie chce cię denerwować. Chyba uważa, że Miś i jego tarapaty kosztowały cię już zbyt wiele nerwów i woli się nie dokładać... Ala, twoja córka jest rozsądną dziewczyną i na pewno nie strzeli żadnej głupoty. Do tej pory grzecznie siedziała na tyłku, niech sobie raz zaszaleje. Jestem pewna, że wszystko ci wyklepie, kiedy już będzie po sprawie, i będzie ci przyjemnie.

– Dlaczego uważasz, że będzie mi przyjemnie? – spytała przygnębiona Ala.

– Marudzisz, Alusia – zganiała ją Marta. – Zawsze jest przyjemnie, kiedy dziecko się zwierza z sekretów. Z mojej Neli muszę wszystko wyrąbywać toporem albo sama się domyślać. Lala jest otwarta i powinnaś to docenić.

– Marta, ja to doceniam, ale boję się, żeby jej nie spotkało coś złego. – Ala westchnęła. – Przecież to dziewczyna...

– Prędzej sobie poradzi niż ty w jej wieku – prychnęła Marta. – Teraz młodzież szybciej dorasta, bo ma pod nosem dostęp do całego świata. Nasze pokolenie było chyba bardziej cielakowate. Sama chodziłam z nosem w chmurach. Oni przynajmniej wiedzą, czego chcą... Dobra, nie będziemy truć o głupocie młodości. Puścisz ją?

– A mam inne wyjście?

– Obawiam się, że nie.

– To puszczę. Jesteś pewna, że wszystko będzie okej?

– Jestem – zapewniła stanowczo Marta. – Nie martw się, Alusia. Ja

ich dokładnie przesłucham, bo Karolina ma czekać na tego Piotrka u mnie. Niech smarkacze wiedzą, że ORMÓ czuwa.

Piotruś bez protestu wyносił kolejne arkusze brystolu, które sumienna Malwina zapełniała coraz estetyczniej wyglądającym napisem CHAM. Przez chwilę co prawda zastanowił się, co pomyślą zbieracze makulatury, odkrywszy w jednym pojemniku taką ilość rulonów z obraźliwym hasłem, ale nie zwracał sobie tym głowy, bo coraz bardziej absorbowало go bóstwo. Codziennie przed siedemnastą meldował się przed salonem Marta i zabierał Lalę do ulubionej kawiarni na kawę i ciastka. Z tego właśnie powodu Lala przestała jadać obiady w gronie rodzinnym, co jej matkę doprowadzało do rozpacz y i wyciągania złowieszczy ch wniosków, iż córka wpadnie w anoreksję. Dopiero ostatnio Lala stwierdziła, że jej rodzicielka, która wprawdzie popatruje na nią z troską, zaniechała złowrogich przepowiedni i przygotowuje dla niej bardziej obfite śniadania.

Eliza pozostawiona sama sobie – bo przyjaciółka albo gotowała, albo doskonaliła się w sztuce wandalizmu – z rozpacz y dobrała się do rękawiczek przygotowanych na akcję. Wcześniej, na wszelki wypadek, wzmocniła szwy we wszystkich czapkach przerobionych domowym sposobem na kominiarki. Wyszło trochę dziwnie, ale nie zwracała sobie tym głowy. Ważne było, że prędzej czapki się rozlecą, niż te szwy puszczą.

Eliza bardzo lubiła haftować. W młodości ozdabiała własnoręcznie swoje ubrania i zadawała szyku na krańskich ulicach. Jej ciuchy były niepowtarzalne. Teraz przyjrzała się czterem parom czarnych wełnianych rękawiczek, pomyślała chwilę i wyjęła z komody kłębek krwistoczerwonej włóczki. Usiadła w fotelu i zabrała się do pracy, w duchu powtarzając sobie po raz setny przygotowany przez Piotrusia i Lalę plan działania. W głębi duszy piastowała nadzieję, że cała akcja zostanie przeprowadzona, nim

popadnie w obsesję z tego powodu.

Było nieco po dziewiątej, kiedy do mieszkania weszła młodzież. Piotruś natychmiast rażno zameldował, że akcja ma duże szanse powodzenia, bo po drodze na domki zajrzał do Oazy i obiekt zemsty zastał przy stoliku. Najwyraźniej Skunks twardo czekał na grę.

– To znaczy, że dziś też się parszywiec obłowił – mruknęła ze złością Eliza.

– Pomyśl, że to ostatni raz – pocieszyła ją Malwina. – Skazaniec też ma prawo do ostatniego życzenia... Może coś zjemy? Bo mówiliście, że wychodzimy dopiero przed północą. To jeszcze długo.

Piotruś spojrział na nią z wyraźną nadzieją. Pomyślał, że ciotka niedługo wróci do własnego domu i ta żywnościowa rozpusta się urwie. Matka gotowała dobrze, ale dość monotennie. Malwina w kuchni dysponowała nieograniczoną inwencją i nigdy nie wiadomo było, co jej wpadnie do głowy.

– Ja bym...

– Nie! – przerwała twardo Eliza. – W *Czterech pancernych* mówili, żeby nie jeść przed akcją, bo jak postrzelą w pełny brzuch, to człowiek nie ma szans na przeżycie.

Lala i Piotruś zdrętwieli, bo zabrzmiało to dziwnie złowieszczo. Lali dreszcz przeleciał po plecach. Ich plan nie przewidywał udziału broni palnej. Do tej pory parszywiec działał według schematu: wyrwać ofierze torebkę i zwiać. Czyżby się rozbestwił i zmienił metodę?

Piotrusiowi przemknęła przez głowę niepokojąca myśl, że jego matka zdobyła jakimś cudem spluwę i ma zamiar jej użyć. Kiedy pomyślał o konsekwencjach zjeżyła mu się bujna czupryna.

Malwina najszybciej doszła do siebie. Przyjrzała się przyjaciółce

dziwnym wzrokiem, po czym zgryźliwie zapytała:

– Rozum ci odjęło od oglądania nieprawomyślnych filmów? Z czego będziesz strzelała? Z palca? Piotruś ustalił, że ten parszywiec nie ma żadnej broni, to czym ci strzeli w ten brzuch? Siłą woli?

Eliza zreflektowała się nieco. No, rzeczywiście. Chyba się trochę rozpędziła. Jednakowoż poddać się bez walki nie leżało w jej naturze.

– No dobrze – przyznała niechętnie. – Postrzał odpada. Ale i tak nie powinniśmy się objadać, bo z pełnym brzuchem człowiek nie ma odpowiedniego refleksu.

– Ja was nie zamierzam napychać jak stado pytonów, tylko proponuję przekąskę – powiedziała z godnością Malwina. – Jak człowiek ma pusty brzuch, to może i ma refleks, ale przestaje myśleć logicznie. Co widać po tobie – dodała uszczypliwie. – Nie jadłaś kolacji i zaczynasz mówić głupoty.

– Przekąska dobra rzecz. – Piotruś pośpiesznie przytaknął w obawie, by nie zaczęły się kłócić. – Ja jestem za.

– Ja też. – Lala uśmiechnęła się anielsko, usiłując zneutralizować napięcie.

Pokonana Eliza wzruszyła ramionami i Malwina tryumfalnie udała się do kuchni.

Młodzież spożywała przekąskę w pokoju Piotrusia. Kanapki z wędliną ozdobione kolorowymi marynatami przypadły im do gustu.

– Strasznie się martwię, Karunia – oznajmił Piotruś, którego mina pozostawała w rażącej niezgodzie z komunikatem.

– Czym? – zdziwiła się Lala, sięgając po pożywienie. – Omówiliśmy już cały plan tyle razy, że na śpiąco mogę wymienić kolejne punkty. Maminka też mówiła, że ma dobre przeczucia, a jak ona tak mówi, to możesz być pewien, że wszystko się uda.

– Jak się uda, to będzie cud. – Piotruś westchnął. – Z matulą ostatnio nie idzie się dogadać, a ciotka głównie udoskonala pisanie sprayem. Okropnie się boję, żeby one zniecka nie wywinęły nam jakiegoś numeru... Wiesz, Karunia... Ja jestem pacyfista. Tolerancyjny. Mam swój kawałek świata i reszta mnie nie obchodzi. A one... To jest jakieś potwornie uparte pokolenie. Coś sobie wbijają do głowy i koniec. Komputer to ja mogę zaprogramować. Ich się nie da.

Lala zmarszczyła nos i przyjrzała mu się z nagłą niechęcią. Coś jej w tej wypowiedzi zazgrzytało.

– I co? – zainteresowała się podejrzliwie. – Jak ty jesteś pacyfista, to reszta świata może się wybić, a ty nic?

– To nie tak. Jak ktoś kopie staruszkę, to nie będę stał jak cep, tylko dam mu odpór. Ale ogólnie wolałbym, żeby raczej państwo zajęło się bezpieczeństwem obywatela, a nie obywatel osobiście. No i nie czuję w sobie powołania do naprawiania świata za wszelką cenę. A matula i ciotka chyba mają je w nadmiarze.

Lali ulżyło.

– Maminka powtarza, że każdy powinien zaczynać od siebie. Też tak uważam... Wiesz – zachichotała – jak twoja mama powiedziała o tym postrzale, to się przez chwilę pogubiłam. Wydało mi się, że ten Skunks naprawdę wyciągnie broń i zacznie do nas strzelać. Skąd jej się biorą takie pomysły? Przecież to nie Dziki Zachód.

– No właśnie. – Piotruś westchnął rozdzierająco. – Matula ostatnio nie ma właściwie nic konkretnego do roboty. Wczoraj widziałem, jak coś tam sobie dziergała dla wprawy. Bo lubi. I prawie widać było, jak się jej te układy scalone przegrzewają, bo minę miała taką, jakby chciała wymyślić lekarstwo na wszystkie choroby świata. Jak ona tak myśli i nic nie mówi, to

ja nie mam pojęcia, co z niej wystrzeli. I, psiakrew, żaden GPS tu nie poradzi, bo ona działa jak błyskawica, a wyłączyć jej się nie da.

– Będziemy na ciebie czekać w samochodzie – przypomniała pocieszająco Lala. – Łatwo je będzie mieć na oku.

– A jak zechcą rozprostować nogi i prysną spod kurateli?

– Piotruś, to nie rozpuszczone bachory, tylko dwie dorosłe kobiety!

One w końcu wymyśliły tę zemstę! Chyba im zależy, żeby się udała!

– Pewnie zależy. – Piotruś westchnął. – Ale moja matula w każdej chwili może wprowadzić własne poprawki bez uzgodnień, a wtedy to my będziemy mieć problem, a nie ten cholerny Skunks...

– Jedz, bo zostaniesz w domu. – Malwina podsunęła przyjaciółce talerz z kanapkami. – Nie będę ryzykować, że w nieodpowiednim momencie zaczniesz ci burczeć w brzuchu i spłoszysz parszywca. Drugiego podejścia raczej nie będziemy mieli.

Eliza uznała logikę argumentu i niechętnie sięgnęła po kanapkę.

– Masz ten aparat? – przypomniała sobie nagle. – Albo kamerę? Żebyś nie zapomniała zabrać.

– Nie biorę żadnego aparatu. – Malwina wzruszyła ramionami. – Piotruś ma swój i mówił, że zgra z niego film na coś tam, a potem pójdzie do kafejki internetowej i wrzuci do sieci.

– Na pendrive'a – odpowiedziała Eliza i zamyśliła się, żując kanapkę. – To dobrze, że z kafejki. Nie połapią się, od kogo to wyszło... Wiesz co? Jak zjemy, to może przymierzmy te żałobne ubranka? Żeby mieć pewność, że o niczym nie zapomnieliśmy?

– Możemy przymierzyć. – W głosie Malwiny nie było euforii, ale pogodziła się z nieuniknionym. – Tylko nie wiem, po co nam te rękawiczki. Zima się skończyła. Mamy kwiecień.

– Rękawiczki są niezbędne – oświadczyła stanowczo Eliza. – Gęby nam zakryją kominiarki, reszta też będzie na czarno, to co taki parszywiec zapamięta? Ręce! Każdy głupek połapie się, które męskie, a które damskie. Sama mówiłaś, że twój zięć myśleć umie. A jak mu każą prowadzić śledztwo i zacznie od przesłuchania poszkodowanych, którzy zgłosili złodziejstwo? Postawią mnie w kupie z takimi różnymi i bałwan rozpozna, że to moje ręce tam były?

Malwina zastanowiła się i pokiwała głową.

– A jak były ręce, to musiała być i reszta. Masz rację. Nie bardzo wierzę w bystrość bałwanów, ale lepiej nie ryzykować... A może i dobrze. Piotruła mówił, że on brudas. Przez rękawiczki mniej się będę brzydziła.

Eliza pod naciskiem wzroku przyjaciółki dojadła resztę swoich kanapek i wzięła z drugiego fotela plastikową torbę z garderobą. Zebrała w komplety poszczególne ciuchy i podała Malwinie ten, który był przeznaczony dla niej, po czym zsunęła spódnicę i zaczęła zakładać czarne spodnie. Malwina pośpiesznie przełknęła pożywienie i poszła w jej ślady. Obie zgodnie włożyły grube czarne golfy i sięgnęły po domowego wyrobu kominiarki. Eliza najpierw dokładnie sprawdziła, czy otwory na oczy są porządnie obrzucone. Zadowolona z inspekcji założyła czapkę na głowę, spojrzała w lustro i odwróciła się do przyjaciółki, która z kominiarką w ręce zastygła w pół gestu. Malwina w oczach miała zgrozę i Eliza poczuła dziką satysfakcję. Sam widok powinien skłonić parszywca, by wypił rycynę bez głupich protestów.

– Robi wrażenie, co? – powiedziała z dumą. – Profesjonalny wygląd to połowa sukcesu.

Malwina w dalszym ciągu stała jak posąg, a zgroza nie znikwała z jej oczu. Wyglądało nawet na to, że dołączył do niej dziwny popłoch.

– Co cię tak zmumifikowało? – zniecierpliwiała się Eliza.

Malwina otworzyła usta, ale nie była w stanie wykrztusić słowa. Z wysiłkiem wytknęła przed siebie palec i w jej oczach pojawiło się natarczywe pytanie.

– O co ci chodzi? – zdenerwowała się Eliza. – Nie uprawiam telepatii i z powietrza nie wyłapię! Tylko mi nie mów, że coś się pruje, bo wszystkie czapki porządnie wzmocniłam!

Malwina popatrzyła na nią dziwnie, po czym – wciąż w kamiennym milczeniu – przeszła do pokoju obok, złapała Lalę i Piotrusia za ramiona i popchnęła przed sobą. Bez słowa wskazała na stojącą przed lustrem Elizę, która usiłowała zrozumieć, co tak zbulwersowało przyjaciółkę.

Lala spojrzała i głośno wciągnęła powietrze. Piotruś zrobił duże oczy i jęknął cichutko. Malwina, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, opadła na kanapę, splotła ręce na piersiach i potoczyła po obecnych zrezygnowanym spojrzeniem.

– Wiedziałam, że ona z czymś wystrzeli – powiedziała z ponurą satysfakcją.

– O co wam chodzi? – warknęła ze złością Eliza. – Wszyscy się zgodzili na kominiarki!

– Ale nie było mowy o tym, że te kominiarki mają być rogate – odparła uszczypliwie Malwina.

– Może to tylko... Może ta jedna tak matuli wyszła. – W głosie Piotrusia dźwięczał cień nadziei.

Malwina bez słowa naciągnęła na oblicze czapkę. Lala i Piotruś sięgnęli po swoje, założyli je i popatrzyli na siebie badawczo. Nadzieja poszła precz. Pracowitość i dokładność Elizy sprawiły, że wszyscy mieli na głowach stożkowate wypustki, które wyglądały jak rogi diabłów pośledniej

kategorii.

– Ale za to szwy nie puszcza – wymamrotała Eliza, do której świadomości widok wreszcie dotarł.

Malwina popatrzyła na nią wzrokiem bez wyrazu i zwróciła się do młodzieży:

– Przebierzcie się w portki i swetry. Trzeba od razu zobaczyć, co ona jeszcze zdążyła wykombinować.

Lala zniknęła na chwilę w łazience, Piotruś poszedł do swego pokoju. Po chwili oboje pojawili się z powrotem i wyglądali jak czarne, rogate zjawy.

– Prędzej tego parszywca rozśmieszymy, niż przestraszymy – stwierdziła ponuro Malwina.

– Grunt, żebyśmy go nakarmili rycyną. Może sobie chichotać do upojenia. – Lala wzruszyła ramionami. – Nawet lepiej, żeby się śmiał. Włot będzie dostępny.

Eliza po raz kolejny pomyślała, że Piotruś trafił na wyjątkowo inteligentną dziewczynę, ale zaraz mina jej zrzęda, bo przypomniała sobie, że w ramach przysposobienia odzieży udało się jej ozdobić również rękawiczki.

– Słuchajcie – zaczęła ze sztucznym ożywieniem – a może zrezygnujemy z rękawiczek? One grube dosyć i mogą osłabić precyzję, a z tą rycyną to trzeba ostrożnie...

Malwina podskoczyła na kanapie jak dźgnięta ostrogą, chwyciła torbę i wytrząsnęła jej zawartość. Zabrakło jej głosu. Jak zaczarowana wpatrywała się w cztery pary czarnych rękawiczek ozdobione artystycznie wyhaftowanymi na każdym palcu krwistoczerwonymi paznokciami.

– Jak to?! Moje też?! – jęknął z wyrzutem Piotruś. – Ja jestem

normalny facet, matula!

Malwinę odblokowało. Obrzuciła przyjaciółkę wściekłym spojrzeniem, naciągnęła na dłonie modernistyczne rękawiczki i rozcapierzyła palce.

– Co to ma być?! – wysyczała jak żmija. – Tobie się ta ekologiczna zemsta na mózg rzuciła?! Uznałaś, że parszywiec nas weźmie za komunistów?! A może on akurat ich kocha nieprzytomnie...

– Komunistów nasze pokolenie zna tylko z podręczników, pani Malwino – przerwała grzecznie, acz stanowczo Lala. – Dla nas to mit i legenda... Trzeba pomyśleć. – Założyła dekadenczką ozdobę i przyjrzała się jej z namysłem. – Gdybyśmy we czwórkę wzięli się do roboty, bez problemu zdążylibyśmy wyprać to czerwone. Ale... Bo ja wiem? Może lepiej zostawić?

– Uważasz, że on się boi czerwonego? – zainteresowała się zgryźliwie Malwina. – Straszili go w dzieciństwie czerwonym i ma uraz?

– Może nie – powiedziała spokojnie Lala. – Ale że zgłupieje od takiego widoku, to pewne. A nad ogłupiałym łatwiej zapanować. Ja bym zostawiła jednak tak, jak jest.

Piotruś milczał, wpatrywał się tylko w bóstwo jak w święty obrazek. Milczała również jego matka, choć właśnie ugruntowała się w niej pewność, że udała jej się rzecz niemożliwa dla większości matek dorosłych synów – trafiła na idealną kandydatkę na synową.

– Nie wiem, czy to takie ekologiczne – mruknęła niechętnie Malwina. – Zafundujemy mu traumę na całe życie. Po nocach go będzie prześladować to czerwone... Ale niech wam będzie. Pilnujcie jej tylko, bo jak ona jeszcze coś wymyśli, to ja nie ręczę za siebie. Mogę robić za Robin Hooda, ale siedzieć nie chcę. Zamierzam prowadzić własny biznes, a z więzienia chyba

się nie da.

Piotruś podjął się sprawdzić, czy pozostałe rekwizyty potrzebne do akcji są przygotowane, a Lala przysiadła się do nadętej Elizy i zaczęła wypytywać o pacholece lata jej syna. Eliza z wdzięcznością i widoczną przyjemnością podjęła temat, ilustrując opowieść rodzinnymi fotografiami. Malwina uznała, że może zająć się własnymi sprawami i udała się na balkon, by poćwiczyć działalność chuligańską. Ponieważ było ciemno, wzięła ze sobą latarkę.

Było wpół do dwunastej, kiedy Piotruś dał sygnał do wyjścia. Malwina osobiście obejrzała zawartość torby z odzieżowymi dodatkami. Mało brakowało, żeby ją obwąchała, ale powstrzymała ją myśl, że wtedy Eliza mogłaby wykombinować kolejną głupotę. Choćby po to, by zrobić jej na złość.

Piotruś podał Lali cyfrowy aparat fotograficzny, którym można było również nakręcić film. Lala schowała go do wewnętrznej kieszeni czarnej kurtki.

Eliza do kieszeni swojego okrycia włożyła starannie odmierzoną porcję rycyny przelaną do setkowej buteleczki po rumie. Na wszelki wypadek do drugiej wetknęła oryginalną buteleczkę z nienaruszoną zawartością. Kupowała tę rycynę w kilku aptekach żeby nikt jej nie zapamiętał. Zdziwienia nie wywołała bo sporo kraśniczanek używało specyfiku zewnętrznie do pielęgnacji rzęs. Wcześniej przygotowana piersiówka, w której znajdowała się wódka z miodem mająca zapobiec efektem nocnego chłodu, od kilku dni spoczywała w wewnętrznej kieszeni odzienia.

Malwina w ostatniej chwili odruchowo zabrała ze sobą spray w kolorze strażackiej czerwieni.

– Kajdanki zostawiamy – przypomniała stanowczo Lala, spoglądając

na matkę ukochanego, która usiłowała wetknąć do jednej z kieszeni zakazany przedmiot.

– Ale...

– Żadne „ale”! – Malwina popatrzyła na nią groźnie. – Odłóż to! Za bezprawne użycie można siedzieć! Piotruła sprawdzał! Czwooro nas jest! Myślisz, że nie damy rady jednemu parszywcowi?

Piotruś doszedł do wniosku, że cała grupa może zwrócić uwagę sąsiadów. Zarządził zatem, by starsze pokolenie odczekało kilka minut, a sam z Lalą u boku zszedł na dół, by zagrzać samochód. Kiedy dobiły do nich Malwina i Eliza, w środku panowało już przyjemne ciepło. Zanim ruszyli, Piotruś wygłosił jeszcze pogadankę o zachowaniu ostrożności i przestrzeganiu przyjętego planu, co przez Malwinę i Lalę zostało przyjęte z pełnym zrozumieniem, przez Elizę zaś – naburmuszonym milczeniem.

W pełnej napięcia ciszy dojechali do wybranej przez Piotrusia zatoczki. Młody Barnaba spojrzął na zegarek, westchnął i obejrzał się na swoje pasażerki.

– Za piętnaście minut północ. Idę na czaty. Możecie trochę zmarznąć, ale nie zostawię włączonego silnika, bo nie chcę zwracać na nas uwagi. Komórkę mam ze sobą, pilota do samochodu zostawiam, jak ten pacan wyjdzie, puszcze sygnał do Karuni. Wtedy po cichutku wychodzicie, ona zamknie samochód i poprowadzi was do tych chaszczy, bo już zna drogę.

– Weź ze sobą kominiarkę i rękawiczki – przypomniała cicho Lala.

Malwina w milczeniu wygrzebała z siatki komplet przynależny do Piotrusia i podała mu. Wepchnął oprzyrządowanie pod kurtkę.

– Kobiety – powiedział błagalnym tonem. – Ja was tak strasznie, okropnie proszę... Matula... Nie rozłażcie się nigdzie i czekajcie na znak... I słuchajcie Karuni. Młodsze pokolenie nie musi od razu być głupsze.

– Wszystkie się będziemy pilnować – wtrąciła szybko Lala, bo w oczach Elizy błysnęła uraza. – Nie martw się. Damy radę. Idź.

Piotruś westchnął raz jeszcze, wysunął się z ciepłego samochodu, zapiał porządnie kurtkę, bo było zimno, i powoli ruszył parkową alejką.

– Mam nadzieję, że on tam dużo nie uszarpał na tę grę – powiedziała z troską Lala. – I szybko wyjdzie. Zimna noc, a Piotruś będzie musiał tam sterczeć jak posąg, żeby go nikt nie przyuważył. Kurczę, mogłam pomyśleć o gorącej herbacie...

– Ja pomyślałam – uspokoiła ją Malwina i poklepała swoją wielką torbę. – Mam ze sobą cały termos.

– Ja mam piersiówkę na rozgrzanie – dodała pocieszająco Eliza.

– Lala, masz prawo jazdy? – zainteresowała się Malwina.

– Mam. Brata wożę w nagłych wypadkach.

– Dzięki Bogu. W razie czego jest nas dwie, bo ja też mam.

– W razie czego? – chciała wiedzieć Eliza.

– W razie gdyby udało ci się upić własnego syna- wyjaśniła uprzejmie Malwina. – Chyba że poszedł po tatusiu i dużo może, zanim go zetnie.

– Piotruś nie pije! – obraziła się Eliza. – I nie mówię, że od razu bym w niego wlała tę rozgrzewkę, tylko po akcji! Żeby się nie rozchorował od tego czatowania!

– Dobrze, że chociaż wiatru nie ma – zagadał pośpiesznie Lala. – Może tak bardzo nie zmarznie. Tam, gdzie on będzie czatował, schody zasłaniają. Żeby tylko ten parszywiec sam wyszedł...

– Lala, nie zapeszej! – Malwina odstukała w szybę. – Do tej pory sam wychodził. No, przecież to już byłby straszny niefart, gdyby akurat dziś udało mu się wygrać.

– Dla kogo niefart, dla tego niefart – mruknęła Eliza. – Jemu by było

przyjemnie...

– A tobie tak zależy, żeby jemu było przyjemnie? To nam ma być przyjemnie, nie jemu!

– No i cóż ty się tak dziś wyklócasz o wszystko? – zniecierpliwiła się Eliza. – Ja tylko...

– Bo mi się włos jeży, co ty jeszcze wymyślisz! – warknęła Malwina. – Śliniaczka mu nie wyhaftowałaś? Żeby sobie tej brudnej mordy rycyną nie pociapał? Cholera, robót artystycznych ci się zachciało! Rogi i pazury! Aż dziw, że nam do portek ogonów nie przyszyłaś! Było wyprawkę dla dzidzi haftować!

– Nie mam dzidzi! – wrzasnęła urażona Eliza. – Odczep się! Nosilo mnie! Ty się wandalizowałaś na balkonie, Piotruła i Lala robili rekonesans, ja też chciałam się jakoś przysłużyć!

– No to się przysłużyłaś, że ho, ho – syknęła jadowicie Malwina. – Chyba mu bardziej dokopie widok niż ta rycyna. Sraczka mu kiedyś minie, ale te czerwone koszmary będzie miał do śmier...

– Cicho! Schylcie się! – syknęła nagle Lala, która bezradnie przysłuchiwała się sprzeczce. – Policja jedzie! Udawajmy, że nas nie ma!

Malwina, zdopingowana myślą, że w radiowozie są koledzy zięcia, zsunęła się błyskawicznie na siedzeniu i zamarła. Eliza pośpiesznie zrobiła to samo. Lala położyła się na przedniej kanapie i w napięciu obserwowała przesuające się światła policyjnego pojazdu. Kiedy przejechał, wszystkie trzy wydały pełne ulgi westchnienie.

– Która godzina? – zapytała zduszonym głosem Malwina.

– Minuta po dwunastej. – Lala usiadła normalnie i odetchnęła głęboko. – Kurczę, nie myślałam, że to takie nerwowe zajęcie. Chyba bym nie dała rady pracować jako bandzior.

– Bandzior nie pracuje – mruknęła Malwina, podnosząc się.

– A co robi? Jakaś forma pracy to jest. Musi napaść i musi zwiać. Męczące.

– Bandzior bandziorzy – oświadczyła Eliza i poprawiła się na siedzeniu. – Może i męczące, ale dochodowe. Ja tam bym chciała. Napadałabym na krętaczy i hochsztaplerów.

– Oni nie mają na czole napisane, że krętacze – zauważyła kłótliwie Malwina.

– Niektórzy mają. Wystarczy się przyjrzeć. Oczka im latają, jakby mieli rozbieżnego zeza, wodę leją jak Niagara i bije od nich mentalność ekonoma.

– Niagara jest piękna – zaprotestowała Malwina. – Widziałam. Nie życzę sobie takich porównań. Ci, co cierpią na wodolejstwo, piękni nie są. Ja przeważnie nie rozumiem, o co im chodzi...

– I tak ma być. Jak nie będziesz rozumiała, to nie będziesz się czepiać.

– Będę się czepiać, bo wychodzę z założenia, że mówi do mnie człowiek, a nie debil. A jeśli mówi w moim języku, to powinnam rozumieć – uparła się Malwina.

– Bezpieczniej jest niczego nie zakładać – oświeciła ją Eliza. – A jeśli już chcesz być sprawiedliwa, to powinnaś założyć, że masz braki w wykształceniu, jeśli nie rozumiesz.

– Sama masz braki! – obraziła się Malwina. – Ja przez lata pracowałam w normalnym kraju i nie oglądałam reżimowej telewizji. Debil nie jestem, język opanowałam i byłam w stanie zrozumieć wiadomości podawane w tym języku. A we własnej ojczyźnie nie! Wystarczy, że obejrzę jakieś gadające głowy i przestaję rozumieć, co oni mówią! To o kim to źle świadczy? O mnie, czy o nich? W dodatku gadają te głupoty śmiertelnie

poważnym tonem! Mnie się coś od tego robi!

– Wszystkim się robi – powiedziała łagodnie Lala. – Zdrowiej jest po prostu nie oglądać. Ja tam wolę poczytać dobrą książkę, niż oglądać telewizję.

– Ale kryminalne filmy oglądasz – wytknęła Eliza.

– Ale tylko kryminalne. Interesuje mnie, jak oni dochodzą do prawdy. Z drugiej strony... Wiem, że to utopia, bo żadna policja na świecie nie ma takich możliwości, żeby złapać bandziora tego samego dnia...

– Akurat dla nas to pocieszające – mruknęła Malwina.

– Nie czuję się bandziorem – odparła natychmiast Eliza. – Uważam się za uczciwą obywatelkę, która wymierza sprawiedliwość.

Malwina już otwierała usta, by skomentować złośliwie jej słowa, ale w tym momencie rozległ się dziwny dźwięk, jakby świergot oszalałego ptaka.

– To nie ja! – Eliza rozejrzała się z przestraszeniem. – Co to? Jakaś jaskółka uwięziona?

– To moja komórka. – Lala wyszarpnęła telefon z kieszeni. – Piotruś puścił sygnał. Parszywiec widocznie wylazł. Idziemy! Załóżcie kominiarki i rękawiczki! I cicho!

Ze wszystkich poleceń Lali najtrudniejsze do wykonania okazało się ostatnie. Malwina i Eliza trzęsącymi się z emocji rękami pośpiesznie założyły stroje służbowe i wysunęły się z samochodu, ale drzwiczki nie dały się cicho zamknąć. Ich podwójne uderzenie zabrzmiało w ciszy ulicy jak salwa armatnia. Lala spojrzała z wyrzutem. Prawie bezgłośnie docisnęła przednie drzwi i zamknęła auto pilotem. Skinęła czarno – czerwoną rękawiczką w stronę współniczek, przemknęła na chodnik i bezszelestnie ruszyła boczną alejką ku centrum parku. Poszły za nią, z wysiłkiem powstrzymując sapanie, bo i tempo marszu było szybkie i emocje je dławiły.

Lala nagle skreśliła na trawnik i ich oczom ukazała się prawie bezlistna kępa krzaków.

– Będzie nas widać! – wydyszała szeptem zdenerwowana Malwina. – To same patyki! Gdzie się schowamy?

– Nie będzie – uspokoiła ją cicho Lala głosem, w którym nie było śladu zadyszki. – Od fontanny zasłania żywopłot i taki rozrośnięty krzak zdziczałego bzu. Musimy go tylko tu przyciągnąć...

– Krzak? – zainteresowała się zgryźliwie i z powątpiewaniem Malwina.

– Głupia jesteś! – Eliza kuksnęła ją w bok – Parszywca! Nie marudź. Tu ciemno jest, nikt nas nie zobaczy...

– To choć przykucnijmy. Bo może się zdziwić, jak zobaczy zniecka takie trzy gidie – uparła się Malwina. – Wyższe jesteśmy niż te chabazie.

– Pomyśli, że jesteśmy źle wychowane. – Elizie pomysł nie przypadł do gustu. – W krzaki to się chodzi tylko z jednego powodu...

– Z dwóch – poprawiła Malwina.

– O tym drugim to ja już dawno zapomniałam...

– O rany, przestańcie! – zażądała Lala rozpaczliwym szeptem. – Nie możemy kucnąć, bo przegapimy parszywca i nam zwieje... Zaraz! Podejźmy pod ten bez. Wskoczmy zniecka, jak będzie nas mijał. Musimy go zdezorientować! Żeby Piotruś miał czas go zneutralizować na chwilę!

– Ty rozumiesz, co ona mówi? – zapytała nieufnie Malwina.

– Nie bardzo – wyznała Eliza. – Zobaczymy, co wyjdzie. Grunt, że oni wiedzą, co robić.

Przyjrzały się Lali, która w dziwnym półskłonie skradała się ku krzakowi bzu. Obie przybrały takie same pozy i ruszyły za nią.

– Dobrze, że to nie jesień – mruknęła Eliza. – Szeleściłybyśmy, a nocą każdy odgłos bardziej słyszeć.

– Szeleściłybyśmy? – Malwina spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Czym? Sobą?

– Liśćmi. Nasz burmistrz miasto ogląda z samochodu, to mu nie przeszkadza, że jesienią wszędzie pełno liści. Odpowiednie służby też mało pracowite. Sprzątają dopiero wtedy, kiedy muszą się wykazać.

U wylotu bocznej alejki od strony ulicy Sikorskiego pojawiła się zakapturzona postać i wszystkie trzy wstrzymały oddech. Postać miała ręce w kieszeniach i kopła przed sobą coś, co wydawało metaliczny dźwięk. Po chwili hałas się nasilił, bo za – kapturzony osobnik trafił kopanym przedmiotem w słup latarni.

– Puszka po piwie – szepnęła Eliza.

– Wandal – mruknęła Malwina.

– Nie widzę Piotrusia – zaniepokoiła się Lala. – Miał iść za nim.

Wszystkie trzy z napięciem wpatrzyły się w rozjaśniony mdłym światłem latarni mrok. Zobaczyły, jak wandal kopie puszkę w kierunku betonowej donicy. Nie trafił. Puszka poleciała wysokim łukiem i z pluskiem wylądowała w fontannie pełnej deszczówki.

Zakapturzony popatrzył za nią, zaklął, wzruszył ramionami, skulił się i ruszył przed siebie jak taran. Widać było, że bez namysłu rozniesie każdego, kto stanie mu na drodze.

– Jest Piotruś! – wyszeptała z ulgą Lala. – Tam! Przy ławce!

Od razu poczuły się pewniej.

– Jak minie fontannę, wyskakujemy zza tego krzaka! Trzeba go zdezorientować! Musi stanąć choć na chwilę! Piotruś musi zdążyć! Parszywca trzeba... – uściśliła Lala i, kiedy zakapturzona postać znalazła się

kilka kroków od żywoplotu, wysyczała szeptem: – Teraz!!!

Jednocześnie wychynęły zza krzaka, prezentując parszywcowi trzy czarne popiersia. Wytrzeszczyły oczy na nadchodzącego i zastygły w przerażonym bezruchu, bo kompletnie wyleciało im z głów, jaki powinien być następny punkt programu.

Skunks był wściekły na cały świat. Coraz trudniej przychodziło mu zdobywanie pieniędzy, bo te cwane starowiny, które sprawiały wrażenie, że ledwo tknąć je palcem, a padną, zaczęły nagle pojawiać się w banku z rodzinną obstawą. Przy bankomatach z kolei niepokojąco często pokazywały się policyjne patrole. Ostatnio najłatwiej mu było napadać w parku, jednak musiały do tego zaistnieć odpowiednie warunki – najlepiej szarówka, boczna alejka i pojedyncza baba w wieku dowolnym z torebką przerzuconą przez ramię. Wystarczyło jedno ciachnięcie porządnie naostrzonym nożem i łup był jego. Wypadek z Lalą nauczył go ostrożności i wymusił zmianę sposobu kradzieży.

Teraz przypomniał sobie, ile zachodu kosztowało go zdobycie forsy na grę, i poczuł rozgoryczenie, że tak szybko mu się rozeszła. Co za niefart, cholera. Jak to możliwe, że na komputerze wygrywał, a w naturze wciąż wypadał z gry po paru rozdaniach? Gdyby mu chociaż pozwolili zostać, mógłby podpatrzeć ich sztuczki. Niestety. Nie życzyli sobie widzów i po przegraniu ostatnich pieniędzy Skunks musiał opuszczać lokal. Zawsze wtedy miał ochotę komuś dołożyć. Zdawał sobie sprawę z własnych możliwości, toteż pasowałby mu przeciwnik słabszy fizycznie. Tacy jednak w godzinach nocnych woleli rozsądnie pozostawać w domach.

Skunks był w gruncie rzeczy tchórzem. Chował to swoje tchórzostwo bardzo głęboko, pokrywając je arogancją i sprytem w działaniu. Na osiedlu czuł się bezpiecznie. Spojrzenia spode łba, które posyłał zaczepiającym,

szybko ich zniechęcały. Poza tym sam rozpuszczał plotki, że w czasie kradzieży hamulce mu nie działają i już niejedna ofiara wylądowała w szpitalu. Nikt tego nie sprawdzał, jednak inni kraśniccy chuligani woleli obchodzić go z daleka.

Jednego tylko bał się śmiertelnie. Złożył kiedyś wizytę kumpłowi, który dysponował kablówką, i razem obejrzeni na kanale naukowym program o kosmitach. Ludzie opowiadali o porwaniach i różnych eksperymentach, których przybysze z kosmosu na nich dokonywali. Pokazywali obce implanty wykryte podczas badań lekarskich i opisywali swoje przeżycia. Wyliczali rasy kosmitów, mówili o ich okrucieństwie i kontroli, jaką rozciągają nad porwanymi. Na Skunksie zrobiło to piorunujące wrażenie i na samą myśl o jakimś zagubionym nad Kraśnikiem UFO doznawał paraliżu mięśni i umysłu.

Teraz myślał tylko o tym, skąd weźmie kolejne pieniądze na grę, i marzył, by na jego drodze stanęła jakaś cherlawa, acz bogata dziadyga typu Rockefeller. Bez problemu wydarłby mu szmal i miałby spokój choć przez parę tygodni. Bo właśnie doszedł do wniosku, że powinien wyznaczyć sobie limit. Wtedy nie musiałby tak ciężko pracować.

Wyprostował się, by spenetrować wzrokiem park w nadziei, że trafi mu się jakiś spóźniony przechodzień, i jego oczy trafiły na żywopłot, zza którego wystawały trzy czarne zmazy. Zmazy były wysokie, na głowach miały dziwne wypustki, otworów gębowych przynależnych rodzajowi ludzkiemu nie posiadały w ogóle, za to dysponowały wielkimi oczami. Te oczy gapiły się na niego w przerażającym wytrzeszczu. Nie miał pojęcia, że ich właścicielki skamieniały w panice, bo wszelki plan działania wyleciał im z głów.

Skojarzenie z oglądanym programem przyszło natychmiast. Struchlał i

nogi przyrosły mu do podłoża.

– Ko... ko... ko...

Więcej nie zdołał wykrztusić. Przeważenie tak go obezwładniło, że zemdłał. Nim osunął się na chodnik, z tyłu dopadł go czujny Piotruś i złapał pod ramiona, marszcząc nos, bo nieszczęsna ofiara wyobraźni nie woniała upojnie.

Na widok przywódcy stada trzy zmayı odzyskały zdolność ruchu i myślenia.

– Przez chwilę myślałam, że będzie znosił jajko – powiedziała z niesmakiem jedna głosem Malwiny.

– Śmialiście się ze mnie, a proszę, jak się przysłużyłam! – Eliza była zachwycona efektami przebrania. – Nic nie musieliśmy robić. Padł jak lelija!

– Jak śmierdząca lelija – mruknął Piotruś i rozejrzał się niespokojnie. – Pomóżcie mi! Musimy go zaciągnąć w te krzaki!

Lala natychmiast wybiegła na chodnik, złapała ofiarę za nogi i oboje zataszczyli delikwenta na trawnik, po czym ułożyli dekoracyjnie pod krzakami forsycji ozdobionymi złocistymi kwiatami. Eliza pomyślała mściwie, że w zasadzie parszywiec nie zasługuje na tak piękne otoczenie.

Piotruś wydobył z kieszeni sznurek i przystąpił do skomplikowanej operacji wiązania górnych kończyn. Na wszelki wypadek unieruchomił również dolne.

– No, teraz możemy odpocząć. – Odetchnął i usiadł wygodnie na trawniku. – Trochę potrwa, zanim oprzytomnieje. Ciekawe, czego on się tak przestraszył...

– Jak to czego? Nas! – oświadczyła z dumą Eliza.

– Twoja matka potrafi przerazić każdego normalnego człowieka – mruknęła Malwina.

– To nie jest normalny człowiek! – oburzyła się Eliza. – To bandzior!

– Cicho, kobiety – powiedział stanowczo Piotruś i Lala poczuła ulgę, że już nie musi panować nad sytuacją. – Matula, przygotuj miksturę – polecił. – Jak się ocknie, musimy mu wlać do dzioba. Kto go łapie za nos?

– Mogę ja – zgłosiła się Lala, bo Malwina odsunęła się ze wstrętem. – Nie czekajmy, aż się ocknie. Trzeba go ocucić i jak najszybciej mu to wlać. Nie wiemy, jak szybko na niego zadziała... Pani Malwino, pani będzie kręcić – podała wyjęty pośpiesznie aparat.

– Racja. Cucimy drania.

Piotruś przyklęknął przy bezwładnym ciele i zaczął delikatnie poklepywać ofiarę po niedomytej twarzy. Rezultatu nie osiągnął, więc pozwolił sobie na zniecierpliwienie i trzepnął mocniej. Nieszczęśnik zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Na widok zwiększonej ilości kosmicznych najeźdźców zeszywniał i wydał z siebie rozpaczliwy jęk.

Uczestnicy ekologicznej zemsty uzgodnili wcześniej, że w czasie akcji przy parszywcu obowiązuje całkowite milczenie. Rzezimieszek nie miał prawa usłyszeć ich głosów, bo wtedy nie będzie miał pewności co do płci agresorów. Eliza wprawdzie upierała się, że należy mu wyjaśnić powody, dla których zostaje ukarany, ale została przegłosowana i musiała podporządkować się woli większości.

Piotruś położył palec w miejscu, gdzie pod kominiarką znajdowały się usta i obrzucił ofiarę wiele mówiącym spojrzeniem. Podziało to na Skunksa niespodziewanie aktywizująco.

– Ludzie! Ratunku! Kosmici! – wyskrzecztał, usiłując się poderwać z trawnika, co przy solidnie związanych odnóżach nie miało szans powodzenia.

Piotruś bez namysłu zasłonił mu usta dłonią w rękawiczce. Przemknęło

mu przez głowę, że sytuacja się komplikuje. Takich dziwnych okrzyków nie przewidzieli. Do wiania mikstury potrzebny jest dostęp do otworu gębowego i nie da się inaczej. Jeśli parszywiec znowu zacznie wrzeszczeć, może ściągnąć nieproszonych gości. A tu trzeba działać, bo cenny czas ucieka...

Lala wyczuła dylemat Piotrusia i zaczęła szybko myśleć. Gestem pokazała młodemu Barnabie, by uniósł parszywca do pozycji siedzącej, gotowa stłumić każdą próbę krzyku. Jednak sam widok pochylającej się nad nim czarnej zmayı tak sparaliżował

Skunksa, że nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Tylko w oczach miał totalne przerażenie.

Lala skinęła na Elizę, która ochoczo wydobyła z kieszeni buteleczkę po rumie. Dziewczyna pochyliła się i ścisnęła ofiarę za nos. Odruch oddychania zmusił nieszczęśnika do rozwarcia paszczy. Eliza z wielką satysfakcją sprawnie wlała w nią zawartość buteleczki, a Lala przechyliła mu głowę i zamknęła usta, zmuszając do połknięcia mikstury po czym puściła nos, by mógł złapać oddech.

Żadne z nich nie zwracało uwagi na stojącą z boku Malwinę, która pracowicie uwieczniała dla potomności całą operację. Z pewną satysfakcją pomyślała, że – jak dotąd – nic się nie pokrywa z ułożonym starannie przez Piotrusia planem. Dobrze, że chociaż ona nie przestała logicznie myśleć.

Mikstura smaku ambrozji nie miała i Skunksowi nie skojarzyła się z niczym, bo o istnieniu rycyny nie miał bladego pojęcia. Ale to przymusowe karmienie do gustu mu nie przypadło. Wreszcie dotarło do niego, co musieli czuć ci, którzy padli ofiarami pozaziemskich eksperymentów. Ogarnął go rzetelny strach, bo nie miał pojęcia, co za specyfik mu podano i jak się jego działanie objawi. I co jeszcze tym cholernym kosmitom przyjdzie do tych czarnych łbów. Na wszelki wypadek postanowił udawać zemdlonego.

Zamknął oczy i znieruchomiał.

Dwa stwory wciągnęły go nieco głębiej w krzaki i przez długą chwilę obserwowały z niepokojącą uwagą. Wreszcie wszystkie cztery czarne zmazy utworzyły krąg pośrodku trawnika, objęły się górnymi kończynami i pochyliły przerażające kosmiczne głowy ku sobie. Skunks uznał, że jest to próba nawiązania łączności ze statkiem – bazą i ze zgrozy doznał nagłego przypływu inteligencji i nadludzkich sił. Przypomniał sobie, że w kieszeni kurtki ma najbardziej pożyteczne narzędzie świata, czyli nóż. Ręce mu związane z przodu, więc ostrożnie, powolutku zaczął je przesuwając w dół, trafił na kieszeń i zacisnął palce na drewnianej rękojeści scyzoryka, który znalazł kiedyś w jednej z ukradzionych torebek. Dziwił się co prawda, że baby noszą przy sobie takie rzeczy, ale w tej chwili zalała go prawie wdzięczność dla tej idiotki, która pozwoliła mu się wtedy okraść. Scyzoryk był porządnie naostrzony i w zręcznych rękach nowego właściciela powinien sobie poradzić z każdym sznurkiem.

Skunks ukrył narzędzie w dłoniach i ostrożnie otworzył jedno oko. Kosmiczni najeźdźcy trwali dalej w tajemniczym kręgu i nie zwracali na niego uwagi. Prawie nie oddychając, niezdarnie wyjął ostrze, nakierował je na więzy i udało mu się przeciąć sznurek, nie ponosząc przy tym uszczerbku na zdrowiu. Znowu zerknął na cztery czarne zmazy, na wszelki wypadek w ślimaczym tempie, by nie zwracać na siebie uwagi, wepchnął się dalej między krzewy, przekręcił bezszelestnie na bok i podciągnął kolana, by sięgnąć do skrępowanych nóg. Wymacał pęta i prawie na oślep zaczął je przerywać, aż z ulgą poczuł, że sznurek puścił. W zasadzie był wolny. W zasadzie, bo musiał jeszcze jakoś niepostrzeżenie zniknąć kosmitom z oczu, nim zorientują się, że ucieka, i puszcza ku niemu ten cholerny kosmiczny promień, który unieruchamia delikwenta na amen.

Skunks wsunął do kieszeni bezcenne narzędzie, przekreślił się na brzuch i powolutku, starając się nie robić hałasu, zaczął wpełzać między krzewy. Odkrył, że zostały posadzone nieco skośnie, ale równo – pomiędzy nimi, pośrodku było dość miejsca, by jedna ludzka istota mogła pod ich osłoną dotrzeć do żywopłotu i dać nura w główną aleję.

Dotarł już prawie do ostatnich krzaków, kiedy poczuł, że dzieje się z nim coś niepokojącego. Przez chwilę miał wrażenie, że we wnętrzu jego brzucha jakieś porąbane krasnoludki zorganizowały sobie darmową zjeżdżalnię. Wyraźnie czuł, jak coś w środku przesuwa się w dół z przerażającą szybkością. Nagle do niego dotarło, że przejażdżka zbliża się do końca, a tym końcem będzie z pewnością... Włosy zjeżyły mu się na głowie, kiedy dotarły do niego skutki kataklizmu. Zapomniał o kosmitach i zagrożeniu życia. Ważne było tylko jedno: dopaść łazienki, zanim... Nie zważając na nic, poderwał się na nogi i, trzymając się kurczowo za tylną część ciała, wyprysnął na główną aleję parku, po czym pognał przed siebie jak szaleniec, wykrzykując coś niezrozumiałego.

Cztery czarno odziane monstra oderwały się od narady, którą wiodły szeptem, by parszywiec nie usłyszał, i powiodły za nim osłupiałym wzrokiem.

– Zwiął – powiedziała z niejakim rozżaleniem Eliza.

– Mówiłam! – W głosie Malwiny dźwięczała satysfakcja. – Trzeba było lepiej się przygotować! A tak to już po kompocie. Drugi raz nie da się złapać.

Piotruś nic nie mówił, bo ogłuszyła go świadomość, że za słabo unieruchomił parszywca i bóstwo uzna go za gamonia. Już miał ruszyć w pogoń, by się zrehabilitować, gdy odezwała się Lala.

– No i bardzo dobrze – powiedziała spokojnie. – Trochę nam się

poplątało wykonanie planu, ale cel osiągnęliśmy. Pani Malwina wykazała się przytomnością umysłu i nakręciła film. Dopiszemy do niego odpowiedni komentarz i puścimy na kraśnickim forum. Niech sobie ludzie popatrzą i poczytają.

– Ale nie wiemy, czy rycyna zadziałała – powiedziała żałośnie Eliza.

– Zadziałała. Jak wiał, trzymał się za tyłek.

– Ale ja chciałam...

– Tak ci zależało, żeby oglądać i wąchać te efekty? – zapytała uszczypliwie Malwina. – Mnie wystarczy, że zemsta została dokonana. Też się powinnaś cieszyć. Dzięki twojej robótkowej działalności wziął nas za kosmitów.

Piotruś odetchnął z ulgą i z gorącą wdzięcznością popatrzył na bóstwo. Eliza czuła jednakowoż pewien niedosyt. Uważała, że powinna była otrzymać więcej wrażeń. Nie była pewna, czy jeszcze kiedyś uda jej się wziąć udział w równie pasjonującej przygodzie.

– Dobra, kobiety. – Piotruś powrócił do roli przywódcy stada. – Sprawdźmy, czy coś tu po nas nie zostało i zabierajmy się stąd.

Rozproszyli się po trawniku, pilnie lustrując podłoże. Rozżalona Eliza porzuciła na chwilę wykonywanie rozkazu, zakotwiczyła pod krzaczkiem i chlapnęła sobie szczodrze z piersiówki.

Nie znaleźli niczego poza uciętym sznurkiem, zatem Piotruś zarządził odwrót. Cała czwórka ruszyła wolno alejką i nie pomyślała nawet, że należałoby pozbyć się części kamuflażu.

W połowie drogi Piotruś raptownie przystanął.

– Tam coś leży! – oznajmił przenikliwym szeptem. – Na tamtej ławce!

– Trup? – zainteresowała się z nadzieją Eliza.

– Jaki trup! – prychnęła Malwina. – Najprędzej jakiś pijak znalazł

sobie azyl!

– Musimy zawrócić – szepnęła Lala. – Przez trawnik tutaj nie przejdziemy, bo na brzegu jest żywopłot. Musimy się dostać na ten chodnik przy Smoluchu, żeby dojść do samochodu. Wtedy nas nie zobaczy, bo kiosk zasłania.

– A ja się pijaków nie boję! – oznajmiła nagle bojowym tonem Eliza, której alkohol dodał animuszu. Zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, ruszyła przed siebie jak zbuntowany taran.

Pozostała trójka zamarła na chwilę, po czym pomknęła za nią, usiłując ją dopaść, zanim ściągnie im, na głowę kłopoty.

Eliza zatrzymała się przed ławką, zrobiła wojowniczą minę, której pod kominiarką i tak nie było widać, i nagle oczy zaokrągliły się jej ze zdumienia.

– Piotruła, czy ja mam omamy, czy to twój ojciec? – wyszeptała słabo, kiedy syn stanął obok z zamiarem przymusowego doprowadzenia matki do samochodu.

– Nie masz omamów, matula – odszepnął Piotruś, z niechęcią patrząc na rozpartego na ławce i pogrążonego w błogim śnie protoplastę.

Niedosyt Elizy dostał wreszcie karmy. Zacisnęła pod kominiarką usta, a w jej oczach mignęły mściwe błyski. Czekał, ty wierzbo skamląca, pomyślała z furją. Ja ci pokażę! Nie będziesz robił dziecku wstydu przed dziewczyną! Malwina cię umiała przestraszyć, ja też nie będę gorsza! Popamiętasz mnie do końca życia!

– Teraz ja dowodzę! – wyszeptała zdecydowanie i obejrzała się na współników. – Trzeba go przestraszyć! Żeby raz na zawsze zapamiętał, że park to nie jest noclegownia! Macie mi pomóc!

– Jak, matula? – zapytał szeptem Piotruś, który sam miał chęć zanieść

śpiącego słodko rodziciela do fontanny z deszczówką.

– Trzeba go przestraszyć! – powtórzyła z naciskiem w głosie Eliza. – No! Już!

Pod wpływem tej komendy Malwina i Lala zadziały odruchowo i jednocześnie zawyły ochryple, próbując za wszelką cenę zmienić głos. Piotruś i jego matka wzdrygnęli się nerwowo pod wpływem dźwięku, a postać na ławce poruszyła się niespokojnie i otworzyła zapijaczone oczęta.

– Cz... czarno... widzę... – wymamrotał nie do końca obudzony Stasiulek, mrugając bezradnie.

– Choodź – powiedziała grobowym głosem Malwina, kiwając przyzywająco czarną dłońią ozdobioną krwistoczerwonymi paznokciami, które półprzytomnemu Stasiulkowi wydały się diabelskimi szponami. – Choodź... Przyszła twoja pooora... Choodź...

Stasiulek potrząsnął głową, ale widok nie zniknął. Tkwiły przed nim cztery czarne rogate stwory, błyskając strasznymi oczami, a jeden wysuwał ku niemu zakrwawione diabelskie pazury.

Stasiulek gwałtownie oprzytomniał i struchlał ze zgrozy. Mateuszka nie słuchałem... Diabły po mnie wysłali, przeleciało mu przez głowę.

Malwina nagle przypomniała sobie jasełka z podstawówki, w których grała, i z zakamarków jej pamięci wypłynął dwuwiersz skierowany do króla Heroda. Postanowiła improwizować.

– Ty pijaku, za tve zbytki chodź do piekła, boś ty brzydki! – zahuczała ochryple, wyciągając w stronę skamieniałego delikwenta rozcapierzone palce.

Lala przyszła jej z pomocą i wydała z siebie iście diabelski chichot, przewracając jednocześnie oczami, co uczyniło na przerażonym Stasiulku wstrząsające wrażenie. Zerwał się niezgrabnie z ławki i runął w głąb parku,

wydając po drodze okrzyki, z których najbardziej zrozumiały brzmiał: „Mateuszku, przepraszam! ”.

– Dobra jesteś – pochwaliła Malwina, patrząc na Lalę z uznaniem.

– Pani lepsza... Mam nadzieję, że trochę przetrzeźwiał...

– Nic mu nie będzie – mruknęła Eliza i wzruszyła ramionami. – Do mamusi poleciał. Już tam ona go utuli po traumie... Możemy wracać. Już mi lepiej.

– A kiedy ci było źle? – zainteresowała się Malwina, idąc pośpiesznie za Piotrusiem, który gnał do samochodu, jakby go diabeł ścigał.

– Wcześniej. Jak ten parszywiec dał nogę. Pozbawił mnie satysfakcji. Ale już mi lepiej.

– Pozbawił cię najwyżej śmierdzącej satysfakcji – uściśliła Malwina.

– Szybciej! – Piotruś otworzył samochód i kiwał na nie niecierpliwie.

– I ściągnijcie te kominiarki! Nocne przejażdżki nie są karalne, ale napady tak!

– Cóż mu się tak śpieszy? – zdziwiła się Malwina, lokując się wygodnie na siedzeniu i posłusznie zdejmując elementy kamuflujące.

– Lalę musi odwieźć – wytłumaczyła Eliza, siadając obok i chowając kominiarkę do siatki.

– Może skreć koło szpitala, co? – zaproponowała Lala. – Lepiej niech nikt nas nie widzi w okolicach parku...

Piotruś zgodnie kiwnął głową i wyjechał na główną ulicę. Ruchu nie było, ale i tak jechał przesadnie przepisowo.

– A cóż ty tak jedziesz jak paralityk? – nie wytrzymała Malwina. – Boisz się, że to pudło się rozleci?

– Nie rozleci się. Jadę zgodnie z przepisami. Nie chcę, żeby ktoś zwrócił na nas uwagę.

– No to właśnie na takich zwraca się uwagę. Normalni ludzie nie jeżdżą zgodnie z przepisami...

– Ona ma rację, Piotruś – wtrąciła z ożywieniem Eliza. – Koło nas na Metalowcu po całych nocach jakiś domorosły Kubica *ćwicz*y. Ryczy samochodem okropnie, a nigdy nie widziałam, żeby go policja łapała.

– Daj mu rycyny – poradziła zgryźliwie Malwina. – Tylko najpierw sama musiałabyś go złapać... Stój! Zatrzymaj się, mówię!

– Tu nie wolno, ciotula! – jęknął Piotruś, zwalniając jeszcze bardziej.

– Więc tam, gdzie można, byle zaraz! – zażądała Malwina. – Mam go! Ha, nie myślałam, że tak szybko go dopadnę!

– Kogo? – zainteresowała się Lala, bo Piotrusiowi zabrakło głosu.

– Tego chama, co mnie ochlapał... Ja go zaraz...

– Nie masz przecież narzędzia zemsty! – Eliza usiłowała ją zniechęcić.

– Kto tak powiedział? Mam! – Malwina tryumfalnie wydobyla z kieszeni kurtki farbę w sprayu.

Piotruś wypatrzył wolne miejsce na parkingu i zjechał z ulicy. Kiedy samochód się zatrzymał, Malwina i Eliza natychmiast wyskoczyły z auta. Jedna nabuzowana chęcią odwetu, druga ciekawa tego, co się za chwilę wydarzy.

Młodzież popatrzyła na siebie z lekką zgrozą, westchnęli zgodnie i oboje pośpiesznie wysiedli. Lala rozejrzała się wokół. Miejsce nie było najlepsze do uprawiania wandalizmu. Tuż przy parkingu znajdowała się latarnia, która rzucała na chuligańską grupkę żółto – pomarańczowe światło. Wyglądali w nim jak uciekinierzy z zakaźnego oddziału pobliskiego szpitala.

Malwina ujęła w dłoń narzędzie, którego obsługę opanowała już do

perfekcji, i w skupieniu przystąpiła do dzieła. Eliza przyglądała się temu z wyraźną fascynacją.

Lala rozejrzała się wokół. Blok, przed którym się znajdowali, wydał się jej znajomy. Przypomniała sobie, że nieraz tu bywała, ponieważ mieszkał w nim jeden z członków Familii, niejaki Maciej Karwicz. Był bardzo lubiany i nazywano go wujem Maćkiem. Jego żona, Francuzka, czyli ciotka Nicole również była w porządku, podobnie jak córka Madzia, która wyszła za francuskiego kuzyna i wyjechała na stałe do kraju małżonka. Natomiast syn Patryk – w Familii nazywany Patykiem z powodu wzrostu i kształtów – budził pewne kontrowersje. Z dokumentów wynikało, że od jakiegoś czasu był osobnikiem dorosłym. Trudno jednak było wysnuć taki wniosek z jego zachowania. Patryk sprawiał wrażenie, że nie wyrósł jeszcze z krótkich spodenek.

Lala przeniosła wzrok na ozdabiany pracowicie przez Malwinę samochód i skonstatowała, że srebrzysty renault również jest jej znany. Należy albowiem do wuja Maćka, który z pewnością nie zasługuje na przydomek, którym właśnie obdarza go z mściwą satysfakcją jedna z jej współpracowniczek. Lala uznała, że powinna interweniować. W końcu ojciec nie musi cierpieć za winy syna.

– Pani Malwino – powiedziała niepewnie – mówiła pani, że ochlapał panią młody cham...

– Młody – przytaknęła Malwina, dopisując ostatnią kreskę przy „M”.

– Powinna to pani uwzględnić w informacji. Bo, widzi pani, ich jest dwóch.

– Chamów? – zainteresowała się Eliza. – Tylko? Ja bym powiedziała, że jest ich wielu, ale nie wszystkich znamy osobiście...

– Karunia, ty wiesz, czyj to samochód? – zaskoczył Piotruś.

– Wiem. – Lala westchnęła bezradnie. – I szarpiać mną wątpliwości, bo...

– Powiedz im, żeby przestały – poradziła stanowczo Eliza. – Malwina została znieważona i powinna mieć prawo do wymierzenia sprawiedliwości.

– Mogę dopisać na górze „młody”, jeśli to ci ulży – zgodziła się życzliwie nastawiona do świata Malwina, bo napis wyszedł bardzo estetycznie. – Miejsce jest.

– Ulży...

Do Lali dopiero po chwili dotarło, że chyba się wujowi nie przysłużyła, bo będzie miał więcej roboty przy likwidacji szkód, ale było już za późno na zmiany. Malwina przystąpiła do uzupełniania informacji. Lala westchnęła bezradnie i uznała, że przynajmniej wuj Maciek nie weźmie treści napisu do siebie. Najwyżej pomyśli, że jakiś wandal pomylił samochody.

– Pośpieszcie się, kobiety! – Piotruś niespokojnie rozglądał się wokół.

– Stoimy tu jak na widelcu!

– Już kończę – uspokoiła go Malwina, dopisując eleganckie „Y”. – Możemy jechać.

Piotruś z ulgą zapakował swoje stadko do pojazdu i odjechał z miejsca przestępstwa. Zatrzymał się przy domu, w którym mieszkali Artymowiczowie i elegancko odprowadził bóstwo do furtki.

– Trochę chyba... Sorry, nie przyszło mi do głowy, że trafimy na ojca...

– No to co? – Lala spojrzała na niego błyszczącymi oczami. – Było super! A ty byłeś wspaniały! Dziś sobota. Jak tylko Maminka mnie wypuści z rąk, przylecę do was. Napiżemy komentarz i pójdziemy z filmem do kafejki... Cześć. – Lala cmoknęła uszczęśliwionego Piotrusia w policzek i

pobiegła do domu, ściskając w dłoni klucz.

Miłosierna Marta uznała, że po pracowicie spędzonej nocy młody organizm powinien się zregenerować, i pozwoliła Lali spać do dziesiątej. Z samego rana, stwierdziwszy w domu jej obecność, zadzwoniła do Ali i uspokoiła ją wiadomością, iż dziecko wróciło z tajemniczej akcji całe i zdrowe.

Doprowadzona do przytomności Lala pośpiesznie spożyła przygotowane przez ciotkę śniadanie, opowiadając jednocześnie o przebiegu nocnych wydarzeń, ale zacięła się nagle, kiedy wspomniała o dewastacji samochodu.

– Martwisz się, że wasz ulubiony wuj Maciek został poszkodowany? – zgadła Marta i prychnęła śmiechem. – Cokolwiek by nie mówić, Maciek głupi nie jest. Informacja dzięki twojemu refleksowi jest dokładna. Domyśli się, że Patryk coś zmalował, i nie weźmie tego do siebie.

– Ale będzie musiał jakoś zlikwidować ten napis. – Lala westchnęła. – To chyba łatwo nie pójdzie. Pani Malwina kupiła bardzo porządną farbę. Widziałam.

– Nie martw się, Laleczko. – Marta pocieszająco poklepała ją po ramieniu i uśmiechnęła się szelmowsko. – Przewiduję, że Patryk będzie miał dziś bardzo pracowitą sobotę. Znam Maćka od wieków i wiem, że nie odpuści, dopóki samochód nie będzie wyglądał tak samo jak przedtem.

Lala spojrzała z wdzięcznością na ciotkę, podziękowała za nocleg i śniadanie i pośpiesznie udała się do Barnabów na spotkanie podsumowujące odwet.

Maciej Karwicz, doktor habilitowany, ulubiony przez lubelskich studentów romanistyki wykładowca i wzięty tłumacz szedł na parking w nastroju beztroskim. Miał przed sobą dwa wolne dni i przyjemną

świadomość, że za chwilę będzie Wielkanoc, którą spędzi z całą rodziną w małej francuskiej wiosce u boku ukochanej córki. Wesoło pogwizdując, dotarł na parking, sięgnął do kieszeni po kluczyki i zamarł, z osłupieniem patrząc na maskę swego srebrzystego bolidu. Przetarł z nadzieją zdumione oczy, ale widok się nie zmienił. Maciej podrapał się po kasztanowej czuprynie, przysiadł na krawężniku i całkowicie oddał się operacji, którą maluczcy tego świata określali mianem myślenia, a on sam – dedukcją.

Treść napisu go zdumiała. Zrozumiałby, gdyby ozdobiono mu samochód słowami typu „kat” czy „sadysta”, bo wiedział, że studenci, których oblewał na sesjach, obdarzali go po cichu tymi przydomkami. Zrozumiałby, choć niewątpliwie trudno byłoby mu się z tym pogodzić. Pamiętając swoje studenckie lata i nie zawsze czyste sumienie, wyrobił w sobie pokłady cierpliwości i na każdym egzaminie z uporem próbował odnaleźć jakieś szczątki wiedzy nawet w tych głowach, w których wiedza nie miała szans zamieszkać. Ale dlaczego cham?! Maciej do chamstwa nie poczuwał się absolutnie.

O ile w młodych latach kłął z przyjemnością w towarzystwie kumpli, o tyle w życiu dorosłym uznał to za smarkaterię i dał sobie spokój. Nie kopał na ulicach bezbronnych staruszek, choć czasem miał na to ochotę, szczególnie gdy przyszło mu stać w kolejce do kasy. Niektóre starsze panie z upodobaniem zawieszały się na stojących przed sobą i Maćka to denerwowało, bo na Zachodzie takie zachowanie było nie do przyjęcia. Tłumaczył sobie, że zachodnie staruszki od dziecka były lepiej wykarmione i mają więcej energii, zaś polskie babcie, przytłoczone wychowywaniem wnuków ledwie zipią, i miłosiernie odpuszczał. Choć z kolei rodzime staruszki bywały przesadnie pyskate.

Nie napastował studentek, bo jego żona dysponowała całym arsenałem

kobiecych sztuczek, które sprawiały, że nie czuł się znudzony w małżeństwie. Byłby głupcem, gdyby to porzucił dla głupiotkiej anorektyczki, która wgapia się w niego z ciełym zachwytem. Do tej pory, jak memento, stała mu przed oczami Beata, jego wielka miłość, która poleciała na starego wykładowcę z wielkimi pieniędzmi.

Maciej potarł czoło i skupił się na napisie. Zaraz... Nie „cham”, tylko „młody cham”. Czyżby ktoś się pomylił? Przeleciał wzrokiem stojące na parkingu samochody i pokręcił głową. Nie. Ktokolwiek mu popačkał pojazd, wiedział, co robi. Renault stał jako trzeci z kolei. To nie był przypadek...

Młody? No, nie ukrywajmy, że pierwszą młodość już dawno ma za sobą... A może... Czyżby Patryk? Ostatnio pożyczył mu samochód, bo syn miał coś do załatwienia w mieście, a lało jak z cebra...

Maciej przypomniał sobie, jak objechał Patryka za pochłapane szyby. Kazał mu umyć auto porządnie i zapowiedział, że od tej pory syn będzie się posługiwał własnymi nogami, dopóki sobie nie zarobi na samochód.

Wstał, wyciągnął komórkę i wklepał numer Patryka.

– Zejdź na dół – polecił krótko. – Jestem na parkingu.

– Tato! Dopiero wstałem! Muszę...

– Musisz zejść do mnie – przerwał stanowczo Maciek. – Bo jak ja wejść na górę, to będzie nieprzyjemnie. Czekam.

Rozejrzał się i ponownie przysiadł na krawężniku, mając za plecami żywopłot. Wziął głęboki oddech i próbował się uspokoić. Z natury był człowiekiem o pogodnym usposobieniu, a poczucie humoru, które dzięki Bogu posiadał, niejednokrotnie pozwalało mu z przymrużeniem oka traktować nieprzyjemne sytuacje życiowe. Bez wątplenia jego największą osobistą porażką był syn. Długo gryzł się tym, że Patryk uważa żywot człowieczy za najwspanialszą zabawę, jaka mu się przytrafiła, i nie ma

zamiaru zmieniać tego światopoglądu. Kiedy zawalił studia i usiłował wszystkich przekonać, że to przez Nelę Artymowiczównę, bo go odrzuciła, Maciek się wkurzył i załatwił mu pracę w winnicy we Francji. Miał nadzieję, że syn przejrzy na oczy i będzie wolał kontynuować edukację. Okazało się, że Patryk jest odporny na życiowe nauki i dysponuje niespożytą energią – w dzień ciężko pracował, wieczorami bawił się do upadłego i podrywał dziewczyny. Wdzięk odziedziczył po matce, więc cieszył się dużym powodzeniem. Wreszcie Nicole, widząc, jak mąż się dręczy, zwróciła się o pomoc do swojej polskiej przyjaciółki. Marta, kiedy dowiedziała się o beztrosce Patryka i Maćkowym załamaniu, zjawiała się natychmiast i od razu przywróciła rzeczom właściwe proporcje.

– Nie bądź głupi, Macieju – powiedziała stanowczo. – Patryk ma dwadzieścia cztery lata. Jest dorosły. Odpowiada za siebie. Tak sobie wybrał, niech tak żyje. Tylko niech sam na to zarobi. Wy już odchowaliście dzieci, teraz pomyślcie o sobie.

– A jak sobie to życie spieprzy? – zapytał ponuro Maciek. – I dostanie w tyłek?

– A co cię to obchodzi? To będzie jego tyłek, nie twój... Maciuś, my tylko na chwilę dostajemy dzieci. Rodzimy je, wychowujemy, a potem...

– No to ja go nieźle wychowałem...

– Przestań się nad sobą użalać! – rozzłościła się Marta. – Sama byłam świadkiem, ile razy z nim rozmawiałeś. Nicole też. Oboje zrobiliście, co mogliście, ale życia za niego nie przeżyjecie. Ja wiem. Serce boli, bo to wasze dziecko i chcielibyście, żeby coś osiągnęło. Ale nie każdy musi być Einsteinem. Patryk nie jest zły. Dzięki Bogu, prochów nie tyka, pije w normie, do bitki się nie rwie, nie kradnie i potomka jeszcze nie zmajstrował. Kręgosłup mą mocny, tylko ta reszta gnatów mu się majta na wszystkie

strony. Zawsze wszystko mu łatwo przychodziło. Najszybciej go naprawi jakaś mądra dziewczyna, która mu zawróci w głowie i potrzyzyma na dystans.

– Nela...

– Nelę to on miał w nosie – przerwała Marta. – Potrzebna mu była jako alibi, i to wszystko... Wasza robota już skończona. On ma tylko wiedzieć, że zawsze może na was liczyć, a wy macie sobie wbić w głowy, że wasze dziecko wylazło już z pieluszek.

Maciej długo myślał nad słowami Marty i w końcu uznał, że ich mała przyjaciółka ma rację. Nie da się przeżyć życia za kogoś. I on i Nicole poświęcili synowi masę czasu i przekazali wszystko, co mogli. Więcej bagażu w niego nie wmuszą. Ta konkluzja sprawiła, że Karwicz przestał wreszcie oceniać Patryka i zaczął go traktować jak dorosłego. Poczucie humoru bardzo mu w tym pomagało.

– Co jest, tato? – Patryk stanął przy samochodzie, przeczesał palcami rozwichrzone włosy i rzucił ojcu pytające spojrzenie.

Maciej bez słowa wskazał na maskę auta.

– Ktoś się napracował – skomentował syn, wzruszając ramionami.

– Prawda? A jak myślisz, czemu on się tak napracował akurat przy moim samochodzie?

– Nie lubi francuskich samochodów? Albo go oblałeś na egzaminie i się zemścił... Tato, co ja mam do tego?

– O tej porze dnia myślenie ci jeszcze nie działa? – Karwicz popatrzył na niego z zastanowieniem. – Większość mieszkańców wjeżdża na parking tyłem, żeby potem nie cofać. Ja przeciwnie. Mój samochód jest trzeci z kolei i maskę ma przy żywopłocie. Ktoś miał bardzo osobisty powód, żeby się uprzeć akurat na niego.

– No to przecież...

– Patryk, miło, że masz o mnie tak dobre zdanie, ale ja już się chyba nie kwalifikuję do młodych chamów. – Maciej pokręcił głową. – Gdyby ktoś napisał tylko „cham”, mógłbym ostatecznie przyjąć, że ma do mnie osobiście urazę. Jednak mam wrażenie, że to jest wiadomość dla ciebie.

– A co ja mam do twojego wozu? – zaprotestował Patryk.

– Jeździłeś nim ostatnio.

– Umyłem go!

– To dziś umyjesz jeszcze raz. Rób, co chcesz, ale za – Karwicz spojrzął na zegarek – trzy godziny tego napisu ma nie być. Wybieramy się z matką do znajomych i nie mam ochoty, żeby po drodze wszyscy się na nas gapili...

Lala nie zdążyła nacisnąć dzwonka, bo drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich rozpromieniony Piotruś.

– Zapraszam na pokoje. Widziałem cię z okna, Karunia. Wszystko w porządku? Rodzina nie miała pretensji do ciebie?

– Nie byłam jeszcze w domu. – Lala szła za nim do pokoju, który zajmowała Eliza. – Maminka wszystko załatwiła. Teraz pewnie składa mamie dokładny raport... Dzień dobry.

– Siadaj. Robimy naradę podsumowującą – oświadczyła Malwina, wskazując zastawioną ławę. -

Obowiązuje samoobsługa. Dobrze, że przyszłaś. Potrzebuję poparcia. Ona – machnęła ręką w stronę nabzdyczonej Elizy – uważa, że wszystko poszło zgodnie z planem. Ja jestem innego zdania.

Lala usiadła na wersalce, a obok niej natychmiast umościł się Piotruś.

– Poszło! – uparła się Eliza. – Założenie było takie, że ten parszywiec ma ponieść karę! Poniósł? Poniósł! I wiem, o czym mówię, bo osobiście sprawdziłam działanie rycyny. To JEST kara!

– Kiedy sobie przypomnę, jak wyglądałaś po zażyciu, jestem skłonny zgodzić się z tym stwierdzeniem – przyznał Piotruś. – I cieszę się, że przyszedłem na świat w czasach, kiedy już nie prześladowano dzieci rycyną i tranem. I nie zmuszałaś mnie do jedzenia szpinaku.

– Nie lubisz szpinaku? – zdziwiła się Lala. – No co ty? Jak się go odpowiednio przyrządzi, niebo w gębie.

– Możliwe, tylko... Wiesz, on tak jakoś wygląda... nieestetycznie...

– Naprawdę?

– Zniechęcił się w przedszkolu – wytłumaczyła syna Eliza. – Ja mu się nie dziwię. Kucharki gotowały jako tako, ale już eleganckie podanie potrawy przerastało ich możliwości. A tran dziś też podają, tylko lżejszy do przełknięcia. Ja musiałam pić okropne świństwo. Śmierdziało rybami...

– A czym miało śmierdzieć? – wtrąciła zgryźliwie Malwina. – Chanel numer pięć?

– To dlaczego teraz nie śmierdzi? – W głosie Elizy dźwięczała wyraźna uraza.

– A cóż ci tak zależy, żeby śmierdziało? Świat idzie do przodu, technologia też, to przestało... Odczep się od głupot! Uważam, że mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu – powiedziała z dziwną satysfakcją Malwina. – Wszystko było inaczej niż w planie. Piotruś miał do nas dolecieć, zanim ten parszywiec dojdzie do naszej kryjówki. Nie doleciał – zagięła jeden palec.

– Musiałem przeczekać, bo jacyś spragnieni klienci turlali się do Żabki – wyjaśnił zakłopotany Piotruś. – Prawie wlałem w ten żywopłot przy przystanku, żeby mnie nikt nie zobaczył. A potem jeszcze podjechała nocna dwójka i też musiałem swoje odczekać. A w ogóle to ten Skunks leciał do parku, jakby miał motorek w tyłku...

– Po drugie – Malwina skinieniem głowy przyjęła wyjaśnienie i

zagięła kolejny palec – plan był taki, że osaczymy parszywca i pomożemy go Piotrusiowi obezwładnić. I co? Sterczałyśmy w tym żywopłocie jak świece w lichtarzu. Cud boski, że nas wziął za kosmitów.

– Dzięki mnie – podkreśliła z dumą Eliza.

– Bo jak Piotruś się tak długo nie pokazywał, to ja się przestraszyłam, że coś mu się stało i wszystko inne mi wyleciało z głowy. Nie miałam pojęcia, co powinniśmy dalej robić i czy sobie bez niego poradzimy – wyznała smętnie Lala.

– Nie wiem, czy akurat kosmici wyglądają tak, jak my w tym parku – zastanowił się Piotruś. – Zawsze mi się wydawało, że trochę inaczej. Oni chyba mają jakieś antenki, czy czułki...

– Co cię obchodzą antenki – zniecierpliwiała się jego matka. – Grunt, że się przestraszył. Swoją drogą to głupi ten Skunks. Ja bym się nie bała, tylko od razu próbowała nawiązać kontakt...

– Dużo by ci z tego przyszło – prychnęła pogardliwie Malwina. – Uważasz, że oni tam na ichnich uniwersytetach studiują filologię polską?

– Telepatycznie się porozumiewają!

– I co byś im telepatycznie powiedziała? – nie odpuściła Malwina.

– Żeby zabrali ze sobą wszystkich oszołomów i zrobili im porządne pranie mózgow. Od razu zrobiliby się normalniej.

– Iii tam – skrzywiła się przyjaciółka. – Musieliby tych mózgow szukać przez mikroskop. Syzyfowa praca. Jeszcze by pomyśleli, że wszyscy Ziemianie tak mają.

Piotruś rzucił na bóstwo rozpaczliwe spojrzenie i Lala poczuła się w obowiązku zareagować.

– Możemy wrócić do tematu? – zapytała grzecznie. – Co tam jeszcze nam nie wyszło?

– Ty miałaś dokumentować całą akcję, a w końcu padło na mnie! – oznajmiła tryumfalnie Malwina.

– Ale przecież wszystko pani nakręciła – zdziwiła się Lala. – Ja musiałam pomóc pani Elizie. Skąd mogliśmy wiedzieć, że ten parszywiec ma takiego hopla na punkcie kosmitów i ze strachu zacznie wrzeszczeć? Najważniejsze, że mamy to nagrane i w każdej chwili możemy puścić dalej. Tylko... Wiecie, ja bym jeszcze poczekała.

– Na co? Aż mu trauma minie? – zainteresowała się uszczypliwie Malwina.

– Ja chcę, żeby wszyscy to zobaczyli! – zażądała twardo Eliza.

– A ja nie jestem pewna, czy to się nam opłaci. – Lala pokręciła głową. – Na razie ten parszywiec jest święcie przekonany, że spotkał kosmitów. I że czymś go napaśli. Pewnie siedzi w domu i trzęsie się ze strachu. Może mu tak zostanie na stałe?

– A jak się dowie prawdy, to nie tylko przestanie wierzyć w kosmitów, ale może jeszcze z zemsty coś głupszego wymyśli – dopowiedział Piotruś. – I jakoś nie wierzę, żeby chciał się mścić tak ekologicznie jak my. Prędzej komu zrobi krzywdę fizyczną.

Eliza popatrzyła z niechęcią na młode pokolenie. Przywiązała się już do idei ośmieszenia parszywca przed całym miasteczkiem.

– Coś w tym jest, co oni mówią – zastanowiła się Malwina.

– Nie musimy całkiem rezygnować, tylko trochę poczekać – powiedziała łagodnie Lala. – Jeśli on znowu zacznie napadać, to wtedy możemy ten film upublicznić.

– Ile mamy czekać? – zapytała cierpko Eliza.

– Dziś jest sobota. – Piotruś zadumał się na chwilę. – Do środy. W środy oni grają. Jeśli Skunks się nie pojawi w Oazie, to znaczy, że nasza

akcja się powiodła.

– No dobrze. – Eliza z wysiłkiem pogodziła się z propozycją, piastując w duszy cichą nadzieję, że parszywiec jednak nie wytrzyma i nagranie zostanie wyemitowane.

– Jak ci tak żal, możesz sobie oglądać na swoim laptopie – pocieszyła ją Malwina. – Piotruś ci przegra z aparatu.

Młodzi odetchnęli z ulgą, a Lala zapytała:

– Jeszcze coś nam nie wyszło, pani Malwino?

– Pewnie! Końcówka miała być inna – odezwała się Eliza, nim przyjaciółka zdążyła otworzyć usta. – Ten parszywiec miał narobić w gacie i dopiero wtedy mieliśmy go puścić.

– Co się tak przyczepiłaś do tych efektów specjalnych? – zniecierpliwiła się Malwina. – On śmierdział sam z siebie. Musiałabyś mieć maskę przeciwgazową, żeby jeszcze wytrzymać dodatkowy smród! Lepiej, że zwiął!

– Bo zapomnieliśmy o jednej rzeczy. – Lala westchnęła z ubolewaniem. – Trzeba go było przeszukać, jak zemdłał. Piotruś go dobrze związał. Widziałam.

– Nóż musiał mieć – przytaknął Piotruś. – Zabrałem te sznurki, żeby nie zostawiać śladów, i dziś im się przyjrzałem. Przecięte były.

Malwina i Eliza jednym głosem zgłosiły chęć natychmiastowego obejrzenia rzeczonych sznurków. Piotruś bez protestu przyniósł je ze swojego pokoju i położył na ławie. Z uwagą przestudiowały wyraźne ślady przecięcia i pokiwały głowami.

– Następnym razem trzeba pamiętać, żeby takiego parszywca przeszukać przed właściwą zemstą – orzekła autorytatywnie Eliza.

Piotruś zdrętwiał.

– Jakim następnym razem, matula?! Już się z nim porachowałaś! Przewidujesz, że znowu cię napadnie?!

– Uważajcie na nią, bo jak ona zacznie tę swoją rycynową kruczatę, to pół miasta zapadnie na dolegliwości żołądkowe – mruknęła ostrzegawczo Malwina.

– A ty nie mów, że ci się nie spodobało mazanie po cudzych samochodach w ramach odwetu! – obraziła się Eliza. – Widziałam, jaką miałaś minę!

Lala miała ogromną ochotę zaproponować założenie tajnego stowarzyszenia, które zajmowałoby się wymierzaniem sprawiedliwości w wypadkach, kiedy zawodzi policja, ale spojrzała na przerażoną minę Piotrusia i zrezygnowała z pomysłu.

– Nie jestem pewna, czy my się nadajemy do akcji odwetowych – zauważyła z troską. – Do tego jednak trzeba mieć odpowiedni charakter.

– Wystarczy zapomnieć, że się ma sumienie. – Malwina wzruszyła ramionami. – Ja bym czasem chętnie zapomniała.

– To tak jak bandziory. – Eliza ostrzegawczo uniosła palec. – No, dobrze. Więcej błędów chyba nie udało nam się popełnić?

– Za to do końca świata nie zapomnę o jednym. – Malwina popatrzyła na nią z naganą. – Przed akcją trzeba cię pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę i trzymać z dala od strojów operacyjnych.

– No co? Przecież w końcu się przydałam!

Kiedy obie zaczęły się kłócić, Piotruś i Lala spojrzeli na siebie, westchnęli bezradnie i po cichutku wycofali się na z góry upatrzone pozycje, czyli do jego pokoju.

– Możemy pójść do kawiarni, tylko ja bym najpierw zajrzała do brata, co? – Lala rzuciła Piotrusiowi niepewne spojrzenie. – Mama miała od razu

po pracy wstąpić na ploty do cioci Kasi, a tata ma fuchę u klienta. Misiek sam został, no i... Ja bym zajrzała...

– Mogę z tobą? – Piotruś nie zgłaszał sprzeciwu; opiekuńczość bóstwa wobec brata bardzo mu imponowała.

– Pewnie. – Lala pojaśniała. – Gdyby Miś coś... Możesz się przydać w razie czego.

Piotruś sceptycznie uniósł brwi.

– Przecież to dorosły facet. Naprawdę myślisz...

– Ja już nie myślę – oznajmiła z westchnieniem Lala. – Cokolwiek bym nie myślała, to Miś i tak wpadnie na pomysł, który mnie nie przyszedłby do głowy... Chodźmy.

– Ale ostatnio nie podawałaś żadnych dramatycznych komunikatów – zauważył pocieszająco Piotruś. – Może już mu przeszło.

Lala pokręciła głową i znowu westchnęła.

– To idzie falami – wyjaśniła. – Ostatnio właśnie długo był spokój... Obawiam się, że to spokój przed burzą...

Piotruś poczuł, że musi oderwać bóstwo od tematu, który najwyraźniej je przygnębiał i rzucił od niechcienia:

– Miałabyś coś przeciwko temu, żebyś poznał całą twoją rodzinę, nie tylko brata?

Lala przystanęła i przyjrzała mu się z uwagą. Uprzytomniła sobie, że to pierwszy chłopak, który w ogóle wpadł na ten pomysł, i poczuła, jak rozlewa się w niej błogie zadowolenie. Szybko jednak wróciła na ziemię.

– Jeśli Miś cię nie zniechęci, to nie widzę przeciwwskazań. Bo musisz wiedzieć, że czuję się za niego odpowiedzialna. Zawsze będzie moim młodszym bratem.

– Ale mnie się to podoba – zapewnił gorąco Piotruś. – Jeśli czujesz się

odpowiedzialna za brata, to mogę przypuszczać, że ta odpowiedzialność się rozciągnie na każdą bliską ci osobę. Chciałbym myśleć, że na mnie też.

Lala splonęła rumieńcem, ale uznała, że jeszcze za wcześnie, by miała się w jakikolwiek sposób de – konspirować ze swoimi uczuciami.

– A u ciebie to też tak działa? – zapytała ze sztuczną obojętnością.

– Przykro mi, że pytasz – odparł Piotruś i westchnął. – Moją rodzinę poznałaś. Nawet ojca, choć tego akurat nie planowałem. Ideałem nie jestem, ale uważam, że matula nieźle mnie wychowała.

– Bardzo dobrze cię wychowała – powiedziała pośpiesznie Lala, bo wyglądał, jakby naprawdę było mu przykro. – Ja tylko... Chodź, to już tutaj.

Weszli na pierwsze piętro i dziewczyna wcisnęła dzwonek przy drzwiach naprzeciwko schodów. Po dłuższej chwili usłyszeli stłumiony głos:

– Lala? Otwórz sobie. Ja nie mogę...

Lala dostała nagłego przyśpieszenia. Błyskawicznie wydobyła z przepastnej torebki klucz i wetknęła go w zamek. Wpadła jak meteor do środka i zastygła w bezruchu na widok brata, który sterczał na taborecie z młotkiem w garści i patrzył na skarpetki na swoich stopach.

– Coś ty zro... – zaczęła Lala i zbladła, bo nagle do jej świadomości dotarł kolejny element widoku: w stopie brata tkwił potwornej wielkości gwóźdź. – Misiek, coś ty... O, Jezu, trzeba do szpitala...

– Zaraz, powoli. – Piotruś pogładził ją uspokajająco po ramieniu i zdecydował się przejąć inicjatywę. – Nie denerwuj się, Karunia... Dasz radę zejść z tego stołka? – Przeniósł wzrok na brata Lali.

Miś rzucił mu spojrzenie zranionej łani i westchnął.

– Nie. Przybiłem się na stałe – oznajmił żałobnym tonem. – Obawiam się, że będziecie musieli zabrać mnie do szpitala razem ze stołkiem. I będę

żądał narkozy, bo nie ma mowy, żeby mnie od tego odgwaźdzali na żywca.

Lala zbladła jeszcze bardziej i w jej oczach błysnęły łzy. Piotruś od razu się zdenerwował. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek, nawet rodzony brat, stresował mu ukochaną.

– Zaraz – powiedział stanowczo. – Na razie nie wygląda na to, żebyś od razu umierał. Boli cię?

– Nie – stwierdził po namyśle Miś. – Ale to pewnie dlatego, że jestem w szoku. Podobno wtedy nie czuje się bólu... Lala, może zadzwonisz po wuja Kamila? On jest przecież lekarzem.

– Nie mogę – chlipnęła Lala. – Maminka powiedziała, że nie wolno go denerwować, bo ostatnio ma kłopoty z sercem... Może Maminkę ściągnąć?

– Ona na mnie krzyczy – wyznał żałośnie Miś. – Znowu będzie wypominała, że myślenie mi szwankuje. To już wolę do szpitala. I wolałbym, zanim mama wróci. Ona też się denerwuje, a potem Maminka mnie objeżdża, że o nią nie dbam.

Piotruś nie słuchał konwersacji rodzeństwa, tylko podszedł bliżej i z uwagą przyjrzał się unieruchomionej kończynie. Tknęło go pewne podejrzenie.

– Ej, kolego, nie widzę tu krwi. Nie wydaje wam się to dziwne?

Miś spojrzał na niego z urazą, po czym przeniósł wzrok na sufit, jakby tam szukał wytłumaczenia. Lala podeszła do Piotrusia i w skupieniu obejrzała nogę brata.

– Rzeczywiście – przyznała z pewną ulgą. – To dziwne... Misiek, ty wbiłeś sobie ten gwóźdź osobiście?

– A po co miałbym to robić? – zdziwił się brat. – Chciałem powiesić zdjęcie, bo akurat dziś odebrałem z warsztatu wuja Tomka. Oprawiał mi.

Ten gwóźdź wymuskał mi się z ręki i sam trafił w nogę.

– Po co ci taki wielki gwóźdź do jednego zdjęcia? – mruknął Piotruś.

– Ta oprawa jest z żelaza? – Przykucnął i stwierdził, że blat taboretu jest zrobiony z małych deseczek przybitych do drewnianej ramy. Pomiedzy nimi były rowki, a gwóźdź, który tkwił w stopie Misia, znajdował się dokładnie w jednym z nich. – Próbowaleś podnieść tę nogę?

– Nie, z drewna – odparł z roztargnieniem Misiek i dopiero po chwili dotarła do niego treść kolejnego pytania. – Nie próbowałem, bo nie chciałem ryzykować krwotoku – wyjaśnił zbolalym głosem.

– Wiesz, co ja myślę, Karunia? – Piotruś podrapał się po gęstej czuprynie.

– Chyba wiem, co myślisz – odparła Lala dziwnym tonem i popatrzyła na brata wzrokiem pozbawionym wyrazu. – Złaż z tego stołka, Misiek! Natychmiast!

– Nie mogę, siostró. – Miś rzucił jej rozżalone spojrzenie. – Nie mogę, albowiem jestem przybity. Sama widzisz.

– Nie jesteś przybity – wycedziła Lala, którą ręka aż świerzbiła. Przesunęła palcami po Misiowej stopie, po czym jednym ruchem wyciągnęła nieszczęsny gwóźdź, zanim brat zdążył zaprotestować. – A Maminka ma rację. Myślenie faktycznie ci szwankuje. Sam mówiłeś, że ten gwóźdź wyleciał ci z ręki. On nie leciał z jakiejś przeraźliwej wysokości i nie zdążył nabrać rozpędu, żeby wbić ci się w stopę. Trafił pomiędzy dwa palce, przebił skarpetkę i stanął na baczność, bo pod spodem był rowek w taborecie... Misiek, na litość boską, sam mogłeś to sprawdzić, zamiast mnie straszyć! A gdyby tu zamiast mnie weszła mama?!

Malwina siedziała w domu i nudziła się okropnie. Lukrecja i Łukasz udali się na spotkanie towarzyskie do Wrońskich. Monika dowiedziała się,

że jest w ciąży i uznała, że musi uczcić ten fakt.

Malwina przeleciała wszystkie kanały w telewizji, ale nie znalazła niczego interesującego. No, może niezupełnie. Niektóre programy informacyjne były nawet intrygujące, ale co z tego, jeśli w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej na bieżąco tłumaczyć te zawile niekiedy wypowiedzi wygłaszane przez rozmówców. Mogłaby ewentualnie zadzwonić do przyjaciółki, ale opinie Elizy nie były miarodajne w kwestiach polityki.

Westchnęła i wyjrzała przez okno. Na ulicy było pusto, ale po chwili pod dom stojący naprzeciwko podjechał elegancki samochód. Malwina przyjrzała mu się z zainteresowaniem, po czym prychnęła pogardliwie. Pojazd wyglądał tak, jakby jego właściciel wszystkim chciał udowodnić swoją ważność. Wysiadł z niego dziwnie baryłkowatej budowy facet i pośpiesznie wszedł na podwórze. Malwina przez chwilę patrzyła za nim bezmyślnie i nagle coś jej zaskoczyło w umyśle. Przypomniała się jej niedawna rozmowa z zięciem.

– Mało brakowało, żeby nam się udało wreszcie przyskrzynieć tego nadętego bałwana – powiedział z irytacją któregoś dnia. – Ktoś zadzwonił, że wywozi śmieci do lasu, ale nasz komendant wie, przy którym korycie należy trzymać wartę i opóźnił, ile mógł, wyjazd patrolu. Kiedy chłopaki przyjechali, po tym śmieciarzu nie było już śladu.

– O jakim bałwanie mówisz? – zainteresowała się Lukrecja, a Malwina od razu nastawiła uszu, bo zaśmiecaniu lasów była zdecydowanie przeciwna.

– A, taki jeden – mruknął z niechęcią Łukasz. – Mieszka tu, naprzeciwko nas. Krzyś Jerczyk mówi, że z przyjemnością by go skasował na duże pieniądze, gdyby tylko miał dowody.

Malwinę temat żywo zainteresował, ale na wszelki wypadek nie

chciała się z tym zdradzać. Na szczęście przysłała jej z pomocą córka.

– A, to chyba wiem, o kim mówisz. – Luka wykrzywiła pogardliwie usta. – On się nazywa Irysek, ale cukierkowaty to jest tylko dla tych, co najwyżej na drabinie. Podobno burak straszny. Kama mi mówiła – usprawiedliwiła się. – Ostatnio ponoć pcha się jak tajfun, żeby jeszcze przed wyborami uszarpać jak najwięcej. Boi się, że jego znajomy poseł nie załapie się na kolejną kadencję i mu się urwie. Podobno jest bardzo niesympatyczny.

– Ten poseł? – wtrąciła niewinnie słuchająca uważnie Malwina.

– Nie, ten Irysek. Uważa się za najważniejszego z całej wsi i wszystkim daje to do zrozumienia.

– Zgadza się – mruknął ponuro Łukasz. – Raz go chłopaki zatrzymali za przekroczenie prędkości w terenie zabudowanym, to poleciał na skargę do burmistrza, ten zadzwonił do komendanta i już było po sprawie. Jeszcze chłopcy opieprz dostali... Żeby się trafił ktoś przytomny i zdjęcie zrobił temu bucowi, jak on te śmiecie wyrzuca...

Malwina do tej pory nie miała nawet pojęcia o istnieniu sąsiada. Przywykła, że przy ulicy, którą zamieszkuje, stoi kiczowata budowla. Budowla nie zyskała jej uznania, nie widziała zatem powodu, by interesować się jej lokatorami. Obejrzany dziś przez nią sąsiad i jego wypasiona fura też nie wzbudziły w niej zachwyty. Informacje przekazane przez dzieci utrwaliły w niej niechęć do nadętego buca i zmobilizowały do działania. Złapała komórkę i nie zważając na porę, wcisnęła numer przyjaciółki.

– Liza? Słuchaj, mamy kolejne zadanie! Musimy załatwić Iryska! – zapodała komunikat zdławionym z emocji głosem.

Eliza, która była właśnie w trakcie szkoleniowego oglądania jednego z

odcinków *CSI*, zdębiała, usłyszawszy tę dziwną wiadomość.

– Malwina, to ty? – zapytała niepewnie.

– A kto? No pewnie, że ja!

– Dzieci są w pobliżu? – domyśliła się inteligentnie Eliza. – Mówisz szyfrem? – W popłochu zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć. – Najlepsze iryski są na placu Pigalle – oznajmiła stanowczo. – Ale – ściszyła głos – ja nie mam pojęcia, co to jest iryszek. Nie uzgadniałyśmy tego.

– Czy cię Pan Bóg tępotą pokarał? – zdenerwowała się Malwina. – Jakim szyfrem? Zadanie mamy! Musimy ukarać jeszcze jednego parszywca!

Parszywiec Elizę zainteresował. Czowała się nieco oszukana efektami poprzedniej zemsty, bo przerażony Skunks po zmroku nie wytykał nosa z domu.

Z uwagą wysłuchiwała relacji przyjaciółki o antyekologicznych poczynaniach nadętego bałwana i zaaprobowała ukaranie drania.

– Co mu zrobimy? Napasimy rycyną? Czy napiszemy na samochodzie, że cham?

– Szkoda rycyny na takiego buca – stwierdziła z niesmakiem Malwina. – A z tym chamem... Nawet gdybyś mu na czole wyryła, że cham, to do niego i tak nie dotrze. To trzeba inaczej. Musimy go dopaść, jak będzie wywalał te śmieci i zrobić zdjęcie. Albo film nakręcić. I żeby mu było dobrze widać mordę.

– Puścimy w Internecie? – domyśliła się Eliza.

– Nie! – W głosie Malwiny była mściwa satysfakcja. – Wyślemy prokuratorowi.

– Iii tam – zlekceważyła niezawisłą władzę Eliza. – Dużo on mu robi. Nie potrafią wsadzić mordercy, a ty myślisz, że skażą małomiasteczkowego wandala?

– Ten skaże – uparła się Malwina. – Tylko musi mieć dowody. On też nie lubi parszywców. Mój zięć go zna.

– Nazywa się jakoś? Ten prokurator?

– Czekaj... Krzyś... To znaczy: Krzysztof Jerczyk.

– Jerczyk... Jerczyk... Skądś znam to nazwisko – zadumała się Eliza. – Ach, to chyba zięć Rozbickich! No, to on podobno dobry jest. I nieprzekupny. I tutejszych notabli olewa... Dobra, jestem za. To się może udać... Myślisz, że temu parszywcowi będzie choć trochę przykro? On chyba biedny nie jest.

– No pewnie, że będzie. Masz pojęcie, jak takiego bogatego parszywca boli, kiedy musi płacić? Przecież on tych śmieci do lasu nie wywozi dlatego, że taki pracowity, tylko mu szkoda zapłacić firmie wywozowej!

– Będziemy miały dużo pracy – zatroskała się Eliza. – Trzeba by go poobserwować. Dzieci by się przydały do pomocy.

– Jakie dzieci? Moje? Moje nie mogą nic wiedzieć!

– Po co nam twoje? O swoich mówię. Muszę pogadać z Lalą, bo Piotruła od razu zacznie lamentować, a ona go przekona bez problemu... Wiesz, gdzie ten parszywiec mieszka?

– Naprzeciwko mojego domu. Po drugiej stronie ulicy.

– O, to przewiduję duże utrudnienia – westchnęła Eliza.

– Dlaczego? Mogę go po kryjomu obserwować z okna i w razie czego dać wam...

– A, zanim dotrzemy do ciebie, parszywiec i jego śmieci będą już daleko – przerwała Eliza. – Ja nie wiem, czy ty w ogóle będziesz mogła osobiście wziąć udział w tej akcji. Przecież twoje dzieci nie mają prawa się dowie...

– Żadne takie! – zaprotestowała ogniście Malwina. – Też chcę! Jutro do ciebie przyjdę i coś wymyślimy!

Eliza wyszła z gabinetu Marty Artymowiczowej pełna wdzięczności i nadziei, bo jej ręka, którą znajomy lekarz wysyłał z uporem maniaka na operację, miała się coraz lepiej. Rozejrzała się po poczekalni, odczekała, aż kolejna pacjentka zniknie z pola widzenia i podeszła do biurka Lali.

– Musimy pogadać – powiedziała półgłosem bardzo kategorycznym tonem.

Dziewczyna w pierwszym momencie struchlała, bo przyszło jej na myśl, że matka Piotrusia ma do niej jakieś potworne pretensje, ale przyjrzała się uważnie swojej rozmówczyni i na jej twarzy dostrzegła wyraźne podekscytowanie. Ulżyło jej.

– Słucham, pani Elizo. – Wyszła zza biurka i obie przysiadły na fotelach.

– Malwina wy... Psiakrew, jak to się teraz mówi..., Wyczaiła! Malwina wyczaiła nowego parszywca do ukarania. – Oczy Elizy błyszczały. – Wiesz, co on robi? Śmieci do lasu wyrzuca!

Lala nie zawiodła jej oczekiwań. Pomyślała o swoich spacerach po coraz bardziej zapaskudżonym kraśnickim lesie i od razu ją podrzuciło z oburzenia.

– Bandyta! – sapnęła rozeźlona. – Och, chętnie bym mu osobiście ukręciła ten głupi łeb!

– Rozumiem, że w to wchodzisz?

– No pewnie! – Lala popatrzyła na nią jak na istotę niespełna rozumu. – Wie pani, ja bym chciała, żeby jeszcze za mojego życia ktoś wymyślił taki przyrząd, który mierzyłby kulturę osobistą i nie wpuszczał do lasu nikogo poniżej normy. Albo wszczepił drzewom taki gen, żeby mogły ukatrupić

każdego bałwana, który robi im krzywdę. Jak komuś nie pasuje przyroda w postaci zieleni, to niech spada na pustynię!

– Tylko, wiesz – Eliza zniżyła głos – Piotruś będzie chyba trudno przekonać. On się ciągle martwi, że ja sobie biedy napytam. W zasadzie nie rozumiem, dlaczego. – Wzruszyła ramionami. – Starsza jestem od niego i na demencję jeszcze nie zapadłam.

Lala pomyślała, że nie dziwi się Piotrusiowi. Jego matka wykazywała przerażającą nadaktywność, kiedy coś jej się nie podobało. Musiał jej wciąż pilnować, jak ona Misia.

– Pogadam z nim – powiedziała uspokajająco. – Wspominał, że lubi spacerować po lesie. Wytlumaczę mu, że trzeba coś zrobić, żeby miał gdzie spacerować... Co mu zrobimy? Temu parszywcowi od śmieci?

Eliza w skrócie powtórzyła Lali, czego domaga się Malwina. Dziewczyna uznała, że sprawa jest do załatwienia i obiecała jeszcze tego samego dnia porozmawiać z Piotrusiem o realizacji planu.

– Co myślisz o wandalach, którzy zaśmiecają lasy? – zapytała od niechcienia Lala, z taką uwagą mieszając swoją kawę, jakby od tego zależało jej życie.

– Bardzo źle myślę – zapewnił Piotruś i nagle coś go tknęło. – Karunia, ty masz na oku jakiegoś konkretnego wandala?

Lala obdarzyła go anielskim uśmiechem i przymilnie spytała:

– A jakbym miała, to co? Nie pomożesz mi?

W oczach Piotrusia pojawiła się zgroza.

– Po co ja cię do domu przyprowadzałem? One chyba prątkują zaraźliwie i przeszło na ciebie... Karunia, co my mu możemy zrobić?! Pogadankę wygłosić?! Co one znowu wymyśliły?!

– Skąd wiesz, że one? – W głosie Lali dźwięczała uraza. – Mnie się

też nie podoba, że jakiś parszywiec zaśmieca nasz las.

– W tym mieście mieszka prawie czterdzieści tysięcy ludzi – powiedział Piotruś bezradnie. – Dlaczego tylko wam to się nie podoba? Czyn społeczny odszedł do lamusa razem z PRL – em. Teraz od takich rzeczy są ludzie, którzy biorą za to pieniądze...

– Tak? – Lala spojrzała na niego płonąącym wzrokiem. – I co? Może mi powiesz, że ich to obchodzi? Odwalają swoje osiem godzin, biorą co miesiąc kasę i olewają problem! Pani Malwina mówiła, że tego parszywca chroni cała klika!

– Nie wierzę, żeby całe miasto należało do tej kliki. – Piotruś próbował bronić swojego punktu widzenia. – Gdyby każdy porządny człowiek reagował...

– Ale ktoś musi zacząć! Żeby pokazać, że można!

I żeby wszyscy ci parszywcy zaczęli się wreszcie bać! Albo chociaż myśleć! – wybuchnęła Lala.

Do Piotrusia dotarło, że nie ma wyjścia. Albo mężnie przyjmie problem na własną klatę i dołączy do mścicielek, albo bóstwo uzna go za jednostkę aspołeczną i odkopie od siebie z pogardą.

– Dobra – powiedział z rezygnacją. – Dla ciebie wszystko, Karunia. To co mamy zrobić?

Malwina w ciągu następnego tygodnia podstępными sposobami dowiedziała się o parszywcu mnóstwa pożytecznych rzeczy. Rekonesans zaczęła od zięcia.

– Mówiła mi dziewczyna Piotrusia – oznajmiła z westchnieniem podczas rodzinnego obiadu – że w tym lesie przy Klonowej strasznie jest brudno, Dziwię się ludziom, że chcą mieszkać w takim otoczeniu. I wam – spojrzała z naganą na córkę – też się dziwię. Powinniście jako czwarta

władza piętnować wszystko, co odbiega od normy.

– Piętnujemy – zapewniła Luka, przelękając pośpiesznie zupę. – Piszemy o tym i zamieszczamy zdjęcia w gazecie. Myślisz, że ktoś się tym przejmuje? Każdy uważa, że on sam jest w porządku i obwinia innych. Nie wiem, może gdyby w takich miejscach był monitoring, a zdjęcia tych śmieciarzy przyklejali na słupach...

– Monitoring kosztuje – mruknął Łukasz. – Tam przy Klonowej paskudzą głównie pijaczki, a oni są odporni na wstyd. Ci, co wyrzucają śmieci do lasu, zamiast do śmietnika, też nie latają w dzień, tylko raczej wieczorami.

Malwina wyczuła okazję.

– No tak – westchnęła z ubolewaniem. – Ten buc z naprzeciwka też pewnie po nocy swoje brudy do lasu wywozi.

– Wcale nie. – Łukasz bez oporu podjął temat. -

Nie wiem, może się boi, że po ciemku portki sobie podrze, a drogie nosi, sam widziałem. Rano wywozi. W każdym razie ten anonim dał cynk rano...

To Malwinie wystarczyło. Postanowiła ranki poświęcić na obserwację poczynań nietykalnego parszywca. W tym celu nabyła porządną lornetkę i przygotowała sobie stanowisko wartownicze na strychu, skąd miała idealny widok na posesję po drugiej stronie ulicy. Dzieciom oświadczyła, że musi uporządkować poddasze, bo przez lata nagromadziło się na nim przeraźliwie dużo niepotrzebnych kłopotów.

Po dwóch dniach nabrała żywej niechęci do całej rodziny parszywca, za to zaczęła się niezłe orientować w sąsiedzkim rozkładzie dnia. Od Elizy, która przeprowadziła sondę wśród znajomych, dowiedziała się, że małżonka bogatego buca uważa się za ważną osobistość i domaga się specjalnego

traktowania we wszystkich krańskich sklepach. Urzędowi odpuszczała, bo nie miała powodów, by w nich bywać – interesy prowadził mąż, który był właścicielem hurtowni z materiałami budowlanymi. Do pracy udawał się swoim wypasionym wozem nie wcześniej niż o dziesiątej. Przed nim progi domostwa opuszczał pryszczaty nastolatek, jedyny potomek i następca tronu. Malwinę denerwował okropnie, bo miał idiotyczny zwyczaj odrywania każdej pojedynczej gałązki czy liścia, który miał pecha wystawać zza mijanych ogrodzeń. Przez chwilę szedł chodnikiem, miętoląc zdobycz w dłoni, po czym na widok kolejnej rośliny, beztrósko rzucał, gdzie popadnie coś, co już w żaden sposób nie przypominało gałązki ani liścia i sięgał po następny łup.

Gospodyni domostwa oczekiwiała jakieś pół godziny po odjeździe pana i władcy (Malwina była zdania, że na wszelki wypadek, gdyby małżonek o czymś zapomniał), po czym wychodziła i wracała koło pierwszej, przeważnie obładowana wypchanymi siatkami. Malwina doszła do wniosku, że parszywy buc jest w dodatku liczykrupą, któremu żał wydać na samochód dla żony. Nawet nie przemknęło jej przez myśl, że niewiasta może nie mieć prawa jazdy.

Trzeciego dnia Malwina, która wstała bladym świtem, wypija kawe i pośpiesznie wdrapała się na strych, by rzucić okiem na dom sąsiadów, zobaczyła ruch na posesji. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest piąta. Jej dzieci jeszcze chrapały w najlepsze i ani im w głowach powstało, że tuż pod ich nosem ma miejsce przestępczy proceder.

Nadęty buc wytoczył się z domu, trzymając dwa pękate worki. Wepchnął je do bagażnika, otworzył bramę, rozejrzał się na boki, po czym wsiadł do samochodu, wyjechał na ulicę i, nim rozgorączkowana Malwina miała możliwość zareagować, zniknął jej z oczu. O mało nie wyskoczyła ze

skóry, bo zdała sobie sprawę, że w tej chwili nic nie może zrobić. Wprawdzie przemknęło jej przez głowę, żeby samodzielnie złapać przestępcę na gorącym uczynku, ale nim oprzytomniała, parszywca już nie było, a gdyby obudziła dzieci warkotem własnego samochodu, wszystko by się wydało. Malwina nie miała ochoty opowiadać zięciowi o prawej i sprawiedliwej działalności ekologicznych mścicieli. Zła jak osa porzuciła stanowisko wartownicze i zeszła na dół, by zająć się śniadaniem oraz przemyśleć jeszcze raz strategię ukarania parszywca.

– Zróbcie coś! – zażądała Malwina, spoglądając z potępieniem na resztę członków ekologicznej szajki, która zgromadziła się w pokoju Elizy.

– Dziś rano już mogliśmy go dopaść!

– Mogłaś mu choć zdjęcie zrobić – wycedziła z niezadowoleniem Eliza. – Jak te śmiecie do bagażnika...

– Matula, do bagażnika to on może sobie wtykać, co mu się żywnie podoba – mruknął Piotruś i podrapał się po głowie z frasobliwą miną. – Jak dziś wywiózł, to nie mamy co panikować. Teraz będzie czekał, aż znów mu się uzbiera.

– Trupa nie może, nawet jak mu się podoba... – zaczęła Eliza, ale przerwała jej przyjaciółka.

– Nie wiem, czy akurat trup mu się podoba – powiedziała z niesmakiem. – On mi na esteta nie wygląda, ale samochodu pewnie by nie chciał uświnić...

– Trupa też może, ale to niezgodne z prawem – podsumowała Lala. – Odczepmy się od trupów i przejdźmy do konkretów. Piotruś ma rację. Teraz parszywiec sobie odpuści na parę dni. Mówiła pani – popatrzyła na Malwinę – że on rano działa, tak? Na dziesiątą muszę być w pracy, ale mogę wcześniej poczatować...

– Ja z tobą – wtrącił Piotruś natychmiast.

– Ja też – zgłosiła swój akces Eliza. – Ale nie na ulicy, tylko w samochodzie.

– Znowu muszę od kumpla...

– Nie! Pożyczę od Miśka – przerwała Lala. – Coś mi jest winien za ostatni wybryk, a rano i tak nie jeździ, tylko biega. Miś ma GPS w samochodzie. Może nam się przydać... Kurczę. – Zamyśliła się na chwilę. – Chyba pogadam z jednym z ochroniarzy wuja Andrzeja. Oni mają różne dziwne znajomości, a przydałby się nam taki pipcik, żebyśmy wiedzieli, gdzie ten parszywiec jedzie. I żeby on nas nie zobaczył.

– Co to jest pipcik? – zapytała nieufnie Malwina.

– Pipcik to jest takie coś, co się przyczepia do samochodu wroga albo podejrzanego i pokazuje, gdzie ten samochód się znajduje w danej chwili – wyjaśniła Lala. – Nie wiem, jak on działa, ale...

– Ja wiem – przerwał żywo Piotruś. – On się chyba nazywa inaczej, ale niech mu będzie pipcik. Załatw.

– A kto to temu bucowi podrzuci? – chciała wiedzieć Eliza.

– To się przyczepia, nie podrzuca – skorygował Piotruś. – Najlepiej pod zderzakiem.

– Ja mogę – zgłosiła się ochotczo Malwina. – Coś wymyślę. Bo ten bałwan przeważnie wjeżdża do garażu i trzeba go przyłapać, jak zaparkuje na ulicy. Czasem mu się zdarza, bo wpada po coś do domu i zaraz znowu jedzie.

– I wiecie co? – Lala popatrzyła niepewnie na starsze pokolenie. – Ja bym jednak wrzuciła nagranie do Internetu. Na wszelki wypadek. Bo może się nagle okazać, że ten prokurator dostanie rozkaz z samej góry albo powiedzą, że anonimowe zdjęcia to żaden dowód... Jak będzie w Internecie,

to już tak łatwo im nie pójdzie.

– Bystre z ciebie dziecko – pochwaliła Malwina. – Mój zięć mówił wprawdzie, że ten prokurator bardzo rozkazów nie słucha, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zabezpieczymy się na wszystkich frontach.

– Dobrze mówisz – zgodziła się Eliza. – Jerczyk będzie miał wymówkę, że nie da się sprawy zamieść pod dywan.

– Zobacz, to jest ten pipcik, co go będziesz musiała przyczepić do samochodu tego twojego buca. – Eliza podała przyjaciółce mały metalowy prostopadłościan. – Piotruła mówi, że to się nazywa lokalizator, ale mnie się pipcik bardziej podoba.

– I to się przyczepia? – Malwina z uwagą przyjrzała się urządzeniu, obracając je w dłoni. – Jak?

– Normalnie. W nim jest magnes. Tylko uważaj, bo jakiś przeraźliwie silny. Chciałam zobaczyć, czy nie odpadnie w czasie jazdy – przyznała się uczciwie Eliza. – I przyczepiłam do lodówki. Gdyby nie Piotruła, pewnie Lala musiałaby się postarać o drugi pipcik, bo ten się przyczepił na amen. Ja trzymałam drzwiczki, a Piotruła ciągnął... Lala mówiła, że najlepiej wsunąć pod zderzak, bo wtedy go nie widać. Tylko zrób to tak, żeby się ten buc nie połapał.

– Tyle to sama wiem – obrazila się Malwina. – Odkryłam nowy kanał w telewizji. AXN. Tam są głównie filmy kryminalne. Bardzo pożyteczny kanał. Gdybym koniecznie chciała zostać zawodowym bandytą, to on jest lepszy niż podręczniki na ten temat. Pod warunkiem że dysponuje się odrobiną inteligencji i wyciąga wnioski z cudzych błędów.

– Nazwy ci się chyba pomyliły. – Eliza się skrzywiła. – Bandyta to jest pospolity mięśniak i sadysta. Inteligencją może dysponować najwyżej kryminalista.

– Kryminalista to taki, co siedzi w kryminale – sprostowała natychmiast Malwina. – A jak siedzi, to znaczy, że jest głupi, bo wpadł... Przestępca! To jest najlepsze określenie. Po obejrzeniu tych wszystkich filmowych poradników mogłabym zostać zawodowym przestępcą. Nie dziwię się teraz, że Lala taka mądra na ten temat...

W domu Malwina postanowiła osobiście sprawdzić, czy istotnie tajemniczy przyrząd posiada odpowiednią przyczepność. Dzieci jeszcze tkwiły w pracy, obiad wystarczyło podgrzać, mogła sobie pozwalać na eksperymenty. W kuchni jednakże wolała nie ryzykować, bo zięć rozumem dysponował w ilościach ponadnormatywnych i mógł zwrócić uwagę na ślady. Malwina nie miała pojęcia, co może zostawić po sobie siłą odrywany od podłoża magnes, więc na swoje laboratorium wybrała pralnię. W tym celu zeszła do piwnicy. W jednym z pomieszczeń została zainstalowana pralka, drugie zaś przerobiono na zimową suszarnię.

W celach badawczych Malwina postanowiła zużytkować pralkę. Raz jeszcze z uwagą przyjrzała się temu, co Lala określała mianem pipcika, i załęgła się w niej nieufność. Eliza chyba przesadziła. No, owszem, magnes się przyczepia do metalu. Ale żeby w celu jego oderwania trzeba było używać Piotrusia?

Miała zamiar wykorzystać do eksperymentu przód pralki, bo była ciekawa, czy siła grawitacji nie spowoduje, że urządzenie się zsunie. Jednak w momencie, kiedy przymierzała się do działania, w kieszeni bluzy najpierw zawibrowało, a zaraz potem rozległ się dzwonek komórki. Pipcik wysunął się Malwinie z ręki i z metalicznym plaśnięciem przywarł do górnej obudowy pralki.

– Słucham – warknęła do aparatu zirytowana, że ktoś jej przeszkadza.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza, a potem damski głos,

wskazujący na zaawansowany raczej wiek, zapytał z wyraźnym niezadowoleniem:

– Kto mówi?

Malwina pociągnęła lokalizator ku sobie, ale efektów nie osiągnęła. Trzymał się pralki jak diabeł soltyśa. Poczula lekki niepokój.

– A kto dzwoni? – spytała nieuważnie, zastanawiając się w duchu, w jaki sposób pozbawić pralkę akcesoriów szpiegowskich.

– Ale kto mówi? – chciał wiedzieć głos.

Malwina pociągnęła mocniej. Cholerne urządzenie nawet nie drgnęło. Psiakrew, jak je teraz odzyskać do celów podstawowych? Piotrula mówił, że tam w środku jest jakaś elektronika. Mogłaby ostatecznie spróbować je podważyć nożem albo czymś podobnym, ale co będzie, jeśli się zepsuje? Zapłacić za uszkodzony sprzęt zdołałaby bez trudu, nie była jednak pewna, czy Lala będzie w stanie skombinować drugi egzemplarz.

Patrzyła w milczeniu na cholerny pipcik i powoli rósł w niej niepokój. No, Eliza będzie teraz miała używanie. Zwłaszcza że uprzedzała ją o idiotycznych właściwościach szpiegowskiego ustrojstwa.

– Z kim rozmawiam? – Głos dobiegający z komórki przybrał natarczywo – agresywny ton i obawy Malwiny zamieniły się w furję.

Co za idiotka zawraca jej głowę akurat teraz? Nie dość, że przez nią narobiła sobie kłopotu, to jeszcze babsko jakieś napompowane pretensjami.

– A z kim by pani chciała? – zapytała zimno. – Do kogo pani w ogóle dzwoni?

– Co panią obchodzi, do kogo ja dzwonię? – warknął głos. – Pytam grzecznie, kto mówi! Wystarczy odpowiedzieć!

– Nie wystarczy! – odwarknęła Malwina. – Nie ma nakazu, że muszę się przedstawiać każdemu oszołomowi, który pomyli numery! Zasady są

proste! To pani dzwoni do mnie, więc to pani powinna się przedstawić! Albo przynajmniej powiedzieć, do kogo pani dzwoni!

– Tak się pani boi, żeby ktoś nie poznał pani nazwiska? – W głosie tym razem dźwięczał wyraźny jad.

Malwina miała wrażenie, że uczestniczy w idiotycznym programie telewizyjnym. Konkurs na najgłupszą rozmowę roku albo coś równie debilnego.

Usiłowała zrozumieć, jak to możliwe, że inteligencja jej własnego narodu uległa przez czas jej nieobecności w kraju aż takiej degeneracji, ale problem ją przerósł.

– Czy pani jest naprawdę taka głupia, że jeszcze się pani nie zorientowała, że pomyliła pani numer? – zapytała, nieco przygnębiona swoją konkluzją. – Albo niech pani idzie do psychiatry, albo uważniej wykręca. I proszę więcej do mnie nie dzwonić, bo zgłoszę na policję nękanie!

Przerwała połączenie i spojrzała na zegarek. Za godzinę dzieci miały wrócić do domu. Miała niewiele czasu, by oderwać to cholerne urządzenie i ukryć je w miejscu niedostępnym bystrym oczom zięcia. Przez chwilę z żalem pomyślała, że inne teściowe mają mniej problemów rodzinnych. Że też akurat jej musiał się trafić bystry policjant.

Na wszelki wypadek wyciszyła w komórce dzwonek i wyłączyła wibracje. Wyrzuciła z umysłu głupią babę razem z jej kretyńskimi problemami i z uwagą przyjrzała się przyczepionemu do pralki ustrojstwu. Nastawiła się na wysiłek, po czym pociągnęła z całych sił.

Cholerstwo zlekceważyło jej starania.

Malwina westchnęła. Zaczęła się zastanawiać, co powinna teraz zrobić. Coś z pewnością musiała. Nie miała wątpliwości, że zięć – gdyby

przypadkiem zajrzał do piwnicy i rzucił okiem na pralkę – domyśliłby się od razu, do czego służy dziwna ozdoba. Pralki samodzielnie nie dałaby rady przemieścić, by ją ukryć przed rodziną.

Po namyśle przyszło jej do głowy, że może inny metalowy przedmiot zniechęciłby cholernego pipcika do symbiozy z pralką. Coś, co mogłaby zabrać ze sobą do Barnabów i w tajemnicy przed Elizą poprosić

Piotrusia o oddzielenie szpiegowskiego oprzyrządowania. Z nadzieją zajrzała do pomieszczenia, w którym Łukasz przechowywał rozmaite przydatne przy domowych naprawach narzędzia. Przez chwilę miała ochotę wziąć piłę, ale zniechęciła ją myśl, że porysuje pralkę lub zrani się w rękę. Poza tym piła była za duża i nie zmieściłaby się do damskiej torby.

Oko jej błysnęło na widok młotka. Trzonek nie był przesadnie wielki, za to obuch składał się z porządnego kawałka żelaza. Powinien zadziałać.

Z młotkiem w dłoni wróciła do pralni, obrzuciła pipcik nieprzychylnym wzrokiem i z desperacją podsunęła ku niemu młotek. Zadziałało. Malwina poczuła, że narzędzie wyrywa się z jej rąk z siłą huraganu. Przywarło do boku lokalizatora, więc pociągnęła za wystający trzonek z nadzieją, że teraz bez problemu usunie z pralki dowód przestępczej działalności. Nic z tego.

Pralka zyskała już dwa nowe elementy.

Malwina poczuła, że nienawidzi wszystkich pipcików świata z całej duszy. Jeszcze raz szarpnęła wściekle ku sobie wystający trzonek młotka, ale pożądaných efektów nie osiągnęła. W rozpaczyc zaczęła ciągnąć młotek do góry. Dokonała tyle, że obuch się przekręcił i teraz trzonek sterczał nad pralką jak maszt telefonii komórkowej nad polem lodowym.

Malwina dostała amoku. Świat wokół przestał istnieć. Miała zamiar pozbyć się szpiegowskiego świństwa za wszelką cenę.

– Czekaaj, cholero – warknęła, zaciskając zęby. – Ja ci pokażę, co to znaczy zadzierać ze zdesperowaną kobietą!

Rozejrzała się po pralni i jej wzrok padł na plastikową, dość dużą miednicę. Przysunęła ją pod pralkę, odwróciła do góry dnem, weszła na nią ostrożnie i szybko usiadła na pralce. Zastanowiła się chwilę, przełożyła prawą nogę na drugą stronę sterczącego trzonka, wzięła głęboki oddech i zaczęła ciągnąć z całych sił. Poczzerwieniała z wysiłku, ale pożądaných efektów nie osiągnęła.

Spojrzenie na zegarek spowodowało, że Malwina w ogóle przestała myśleć. W głowie miała tylko jedno – niedługo wrócą dzieci, zaczną jej szukać, jedno z nich zejdzie na dół, zobaczy szpiegowski element i wszystko się wyda.

Zlazła z pralki, stanęła przed nią, wściekłym kopem usunęła przeszkadzającą jej miednicę, chwyciła za trzonek młotka i zaczęła ciągnąć z nadludzką siłą wzmocnioną przez furję. W momencie, gdy postanowiła, że poszuka piły elektrycznej i odetnie to podstępne paskudztwo w jakikolwiek sposób, nawet razem z pokrywą, młotek nagle oderwał się od opoki razem z przytwierdzonym do niego pipcikiem i nie – spodziewająca się sukcesu Malwina poleciała z impetem do tyłu. Z rozmachem klapnęła na cementową posadzkę, ale zignorowała ból, bo w uszach jej grzmiały pienia anielskie. Udało się! Wetknie ten cholerny młotek z pasożytem do torby, a dalej niech się Piotruła męczy.

Pośpiesznie poderwała się z posadzki, pomasowała czule obolały tył i dzierząc w dłoni młotek niczym berło królewskie, pognała na górę. Nie przyszło jej do głowy, że może należałoby trochę uporządkować miejsce eksperymentu.

Kiedy Luka i Łukasz wrócili z pracy, Malwina jak gdyby nigdy nic

kręciła się po kuchni, nakrywając do stołu i starając się przy tym nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów oraz powstrzymując posykiwanie.

Malwina od kilku godzin tkwiła na swoim posterunku na strychu i nudziła się okropnie. Po drugiej stronie ulicy nic ciekawego się nie działo. Wypasiony dom sąsiadów nudził się pewnie tak jak ona, bo jego mieszkańcy znajdowali się poza nim. Potomek był w szkole, buc w pracy, a jego małżonka w mieście.

Pomyślała, że – jeśli dzisiaj nie uda się jej podzucić sąsiadowi tego cholernego pipcika – będzie musiała znaleźć sposób, by wedrzeć się do jego garażu. Nie miała zamiaru piastować tej szpiegowskiej zarazy w nieskończoność. Już ją dość nerwów kosztowała. Dobrze choć, że Piotrula poradził sobie ze zwróceniem młotkowi autonomii i obiecał trzymać gębę na kłódkę. Eliza wypominałaby jej wpadkę do końca życia.

Malwina już od chwili, kiedy przyjaciółka przekazała jej męczące urządzenie, zastanawiała się, jak podzucić lokalizator sąsiadowi. Uznała, że najlepiej byłoby, gdyby zaparkował samochód na ulicy. Na posesję wstępu nie miała. Ostatecznie mogłaby złożyć znieńska sąsiedzka wizytę, ale jakoś nie miała ochoty zawierać takiej znajomości. Irysek może nosił słodkie nazwisko, jednakże w Malwinie wzbudzał żywą niechęć.

Psa sąsiedzi nie mieli, zatem nocne włamanie miałoby szansę powodzenia, pod warunkiem że buc pożałował pieniędzy na założenie alarmu. Tego Malwina pewna nie była, więc w duchu piastowała nadzieję, iż skleroza, na którą zapada coraz większa część zaganianego społeczeństwa, prędzej czy później da o sobie znać i Irysek będzie zmuszony wpaść do domu w ciągu dnia. W związku z tym nosiła przy sobie obrzydliwy pipcik jak najcenniejszy skarb.

Coraz bardziej zniecierpliwiona, bo uznała, że rozpracowywanie

przeciwnika jest strasznie nużącym zajęciem, wyjrzała znowu przez okienko na strychu i prawie przetarła oczy ze zdziwienia. Jakby w odpowiedzi na jej wyczekiwanie pod sąsiedni dom podjechała wypasiona fura i zahamowała z piskiem opon.

Pirat drogowy, pomyślała z oburzeniem Malwina i nagle sama dostała przyśpieszenia, bo z samochodu wyskoczył buc i pognął do domu, jakby go harpie ścigały.

Malwina błyskawicznie znalazła się na dole. Wypadła z domu jak rakietka, ale od razu przyszło jej do głowy, że ten jej pośpiech może wyglądać podejrzanie dla postronnego obserwatora, i zwolniła. Miała wrażenie, że do furty szła pół wieku. Przez ulicę lała jak najbardziej leniwy wół świata, zezując spod oka, czy sąsiad zniecka nie pojawi się przy pojeździe i czy nikt jej nie obserwuje. Pomyślała, że jeśli ten buc odjedzie, zanim ona wykona zadanie, szlag ją trafi od razu. Dotarła wreszcie do samochodu, udała, że coś podnosi z jezdni i jednym szybkim ruchem przyczepiła pipcik pod zderzakiem. Nawet nie musiała bardzo się starać. Przyssał się do metalu jak mucha do miodu. Malwina wyprostowała się, zrobiła zaskoczoną minę i na użytek otoczenia oznajmiła głośno:

– Przecież zapomniałam torebki!

Zawróciła pędem, nie dbając już o świadków, wpadła do domu i z ulgą oparła się o drzwi wejściowe. Ze zdziwieniem zauważyła, że ręce jej się trzęsą. Jednak Lala miała rację – zawód bandziora jest męczący. Nawet tego szlachetnego, który poświęca się dla ogółu.

Na wszelki wypadek popędziła do kuchni i ostrożnie wyjrzała przez okno. Irysek właśnie biegł do samochodu z segregatorem pod pachą. Ulżyło jej, kiedy odjechał, najwyraźniej nie mając pojęcia, że zyskał dodatkowe wyposażenie.

– Tak sobie ostatnio myślałem, Karunia, że w życiu nie ma lekko – stwierdził z melancholią Piotruś i westchnął.

– A ty byś chciał, żeby było? – zainteresowała się podejrzliwie Lala.

Siedzieli oboje w toyocie Misia zaparkowanej kilkanaście metrów od domu Iryska i ziewali przeraźliwie, bo było ledwie parę minut po czwartej. Za nimi na tylnym siedzeniu spała martwym bykiem Eliza. Wokół było cicho i pusto.

– Nie upieram się, żeby całkiem, bo wtedy raj byłby tutaj – powiedział z żalem Piotruś. – Ale tak trochę. Żeby oddech złapać.

Lala pomyślała chwilę i wyciągnęła prawidłowe wnioski z jego zniechęconej miny.

– Coś znowu zrobiły? – zapytała ściszym głosem, oglądając się na śpiącą Elizę.

– Mało brakowało, żebyśmy nie mieli podstawowego narzędzia pracy – oznajmił Piotruś, również zniżając głos. – Najpierw matula chciała sprawdzić, czy ten pipcik nie odpadnie po drodze...

– O rany, tam jest specjalny magnes! – przejęła się Lala i obdarzyła chłopaka współczującym spojrzeniem. – Arni mi tłumaczył. Znaczy, ochroniarz wujka Andrzeja... I co? Do czego go przykleiła?

– Do lodówki – wyznał Piotruś ponuro. – Cudem mi się udało go oderwać. A na drugi dzień ciotula przyniosła młotek. Bo też chciała sprawdzić. Wiesz, ile się męczyłem? To jest magnes neodymowy. Trzymał się jak rak tyłka... Mówię ci, Karunia, to jest jakieś potwornie u... uparte pokolenie. Wszystko chcą sprawdzać osobiście. Nie uwierzą na słowo... Wiesz, zaczynam rozumieć, jak im się udało rozwalić tę komunę. – Piotruś westchnął.

– A może to właśnie pozostałości po komunie? – zastanowiła się Lala.

– Przez tyle lat ich okłamywali, że teraz w nic już nie wierzą?

– Teraz też kłamią – mruknął Piotruś. – Może one mają rację. Gdyby tak człowiek wierzył we wszystko, co mówią w telewizji, toby mu groził paraliż umysłowy. Chyba najlepiej posługiwać się własnym rozumem.

– Nie wszyscy go mają – prychnęła Lala. – Nie oglądam telewizji. Czasem tylko te filmy kryminalne... Teatr porządny bym obejrzała – rozmarzyła się nagle. – Kurczę, tyle tego mają w archiwach, a nie pokazują. Ja bym chciała przypomnieć sobie, jak grają prawdziwi aktorzy. Raz się nacięłam na *Hamleta*. Myślałam, że obejrzę normalną sztukę, a tam Ofelia latała goła po kopalni w Wieliczce.

– Widocznie reżyser uznał, że dzisiejszego widza normalna sztuka nie zainteresuje...

– Albo miał koncepcję! – warknęła Lala. – Kiedy czytasz książkę, to coś sobie wyobrażasz. Kiedy oglądasz sztukę, patrzysz i słuchasz. Kiedy w dodatku liznąłeś trochę historii, jesteś w stanie osadzić wyobrażenia w konkretnej epoce. Dlaczego reżyser uważa, że jak nie zobaczę gołej Ofelii, to nie będę wiedziała, o co Szekspirowi chodziło? Bo jestem młode pokolenie i już z założenia jestem głupsza od niego? Kurczę, Szekspir napisał w swoim życiu parę arcydzieł. Ludzie się wcale nie zmienili tak bardzo od jego czasów. Wystarczyłoby paru dobrych aktorów. Nikt jeszcze nie załapał, że najlepsze rzeczy to te najprostsze? A może ja jestem cep i nie dociera do mnie, co pan reżyser chciał przez to powiedzieć?

– Nie jesteś cep, Karunia – oświadczył z głębokim przekonaniem Piotruś.

– I tak samo robią z książkami. – Lala mówiła coraz bardziej wzburzona. – Nie znoszę ekranizacji moich ulubionych powieści. Reżyser albo scenarzysta zmienia, co chce, bo wie lepiej, co się dobrze sprzedaje. Ty

widziałeś, co zrobili ze *Ślubami panięskimi*? Aż mnie otrząsało! Przecież tam poza młodym Stuhrem żaden aktor nie czuł fredrowskiego wiersza! Gdyby ich postawić na scenie i kazać mówić tekst, to byłaby klapa! Kompletna! To nie były *Śluby panięskie*, tylko komedia dla półgłówek! Jedyny film, który podobał mi się bardziej niż książka, to były *Noce i dnie*. Najbardziej malowniczy, jaki zdarzyło mi się oglądać.

– Ekranizacja *Chłopów* też mi się podobała – wtrącił Piotruś. – I *Wesele* Wajdy. Dopiero po obejrzeniu załapałem, o co Wyspiańskiemu chodziło.

– *Królewskie sny* Hena były fajne. – Lala się uspokoiła. – Ferency tak zagrał Oleśnickiego, że już do końca życia nie uwierzę, że biskup mógł wyglądać inaczej.

– Filmy kostiumowe nam wychodzą – przyznał Piotruś.

– Nie wszystkie. – Lala się skrzywiła. – *Ogniem i mieczem* nie bardzo. Sienkiewicz nie wspominał, że cnotliwa i piękna kniaziówna odwaliała gołe kąpiółki na świeżym powietrzu... Która godzina? Ciekawe, czy dziś nam się uda...

Piotruś zerknął na zegarek.

– Za dwadzieścia piąta. Ciotula mówiła, że on się uaktywnia około piątej. Mamy czas.

– No, nie wiem – rozległ się za nimi rozziewany głos Elizy. – Malwina domagała się udziału w akcji. Powinna tu z nami być. Bo jak on już pojedzie, to przecież nie będziemy na nią czekać.

– Pipcik nam pokaże, dokąd jedzie – uspokoiła ją Lala.

– Owszem, ale powinniśmy mu siedzieć na ogonie, jeśli mamy uwiecznić jego poczynania – stwierdziła Eliza tonem doświadczonego gangstera.

Nim młodzież zebrała się na odpowiedź, rozległ się dźwięk komórki i wszyscy troje odruchowo sięgnęli do kieszeni. Odebrała Eliza.

– Liza? – W aparacie dźwięczał dziwnie zduszony głos Malwiny. – Jesteście na posterunku? Niech mi ktoś pomoże! Zaklinałam się! Jest Piotruś? To niech mnie stąd wyszarpie, na litość boską, bo tak zostanę do końca świata i wszystko się wyda!

– Gdzie się zaklinałaś? – zapytała osłupiała Eliza, doszedłszy do siebie po zaskakującym komunikacie. – W drzwiach?! To co ty masz na sobie?! Bombę?!

Piotruś i Lala poruszyli się niespokojnie i wbili w nią pełne przerażonego napięcia spojrzenia.

– Nie gadaj głupot, tylko wysyłaj Piotruś – sapnęła z irytacją Malwina. – W okienku od pralni się zaklinałam. Pierwsze piwniczne okienko przed schodami do domu. Wyślij Piotruś. Szybko!

Eliza schowała komórkę i przez chwilę usiłowała sobie wyobrazić uwięzioną przyjaciółkę, ale nagle dotarło do niej, że czas ucieka.

– Piotruś, leć na podwórko – poleciła synowi. – Malwina sterczy w piwnicznym okienku i nie może wyleźć. Nie wiem, co ona tam robi, ale trzeba ją szybko wydostać, bo ten ekologiczny wandal lada moment może zacząć działać.

Piotruś rzucił Lali żalosne spojrzenie i posłusznie opuścił przytulny samochód. Bezszerowo przemknął przez furtkę, piastując nadzieję, że pozostali członkowie rodziny ciotki nie cierpią na bezsenność.

– Tuu! – usłyszał zniecka u swoich stóp i o mało nie wyskoczył ze skóry, bo coś go chwyciło za nogę.

W piwnicznym okienku tkwił kawałek Malwiny. Dokładnie: górny. Jeszcze dokładniej: głowa, ramiona i biust. Reszta znajdowała się w

piwnicznych czeluściach. Wyglądało to jak w horrorach, w których pojedyncze elementy człowieka egzystują niezależnie od siebie, i Piotrusiowi dreszcz przeleciał po plecach. Otrząsnął się szybko, przykucnął na chodniczku i wsunął ręce pod pachy Malwiny.

– Nie tak! – wysyczała przenikliwym szeptem. – Za ręce mnie trzymaj! Górę udało mi się przecisnąć, ale biodra trzymają! Jak mnie przytrzymasz, spróbuję się przekręcić!

Piotruś poderwał się do pionu, pochylił i bez słowa złapał ją za przedramiona. Malwina, ustabilizowana od góry, zaczęła ostrożnie wykonywać biodrami wężowe ruchy, usiłując wpasować się w piwniczne okienko. Poczwała, że metoda przynosi efekty. Piotruś powoli odsuwał się od ściany domu, w miarę jak coraz więcej Malwiny wyłaniało się na zewnątrz.

– Dzięki Bogu – sapnęła, kiedy w końcu stanęła na chodniku. – Dobrze, że komórkę i kamerę zawiesiłam na szyi, bo inaczej cały nasz plan diabli by wzięli. Jeszcze musiałabym coś zełgać dzieciom... Szybko! Idziemy!

Pośpiesznie opuścili posesję i wskoczyli do stojącego na ulicy samochodu. W środku Piotrusia odblokowało.

– Rany! Ciotula! Po co ty tam wlazłaś?

– Żeby dzieci nie budzić. – Malwina umościła się wygodnie na tylnym siedzeniu i wzruszyła ramionami. – Dopiero w nocy przypomniałam sobie, że drzwi wejściowe skrzypią, ale już było za późno, żeby coś z tym zrobić. Bałam się, że zięć może mnie rano usłyszeć, więc zeszłam do pralni i podstawiłam sobie miednicę, żeby dosięgnąć do okienka, tylko nie przyszło mi do głowy, że ono takie małe. Tyłek mi utknął.

– Tobie się wydaje, że ciągle masz dwadzieścia lat? – zapytała z nutką złośliwości w głosie Eliza. – Przez takie okienko to najwyżej Lala by się

precyzyjną, bo zwinna. Albo te szkieletory, co straszą na wybiegach. My już potrzebujemy większej przestrzeni życiowej.

– Nie uważam się za szczególnie grubą – syknęła urażona Malwina. – Sama bym wylazła, ale bałam się, że narobię hałasu i dzieci się obudzą. Górę miałam na zewnątrz, ale nogi mi dyndały i...

– Cicho! – zażądała Lala, która nie odrywała wzroku od posesji Iryska. – Tam chyba coś się zaczyna dziać! Udawajmy, że nas nie ma!

Cała czwórka błyskawicznie zsunęła się z siedzeń i zamarła w bezruchu. Piotruś w duchu zaklinał wandalą na wszystkie świętości, by jak najszybciej dokonał przestępstwa. Na samą myśl, że przez kolejne dni miałby być narażony na inwencję matki i ciotki, bujna czupryna stawała mu dęba. Marzył o chwili spokoju i powrocie do normalnego życia. Z nagłym rozżaleniem pomyślał, że ta nadaktywność matki zaczęła się od spotkania z przyjaciółką. Może kiedy Malwina zajmie się biznesem, przestanie mieć czas na nadprogramową działalność, a wtedy jego rodzicielka, pozbawiona wsparcia, porzuci te męczące rozrywki.

– Co on tam robi? Nic nie widzę! – wyszeptała z pretensją Eliza.

Lala ostrożnie wyjrzała. Na dworze była jeszcze szarówka. Ekologiczny wandal stał na werandzie i ziewał tak szeroko, jakby miał zamiar połknąć pół Kraśnika. Przeciągnął się, rozejrzał i sięgnął po coś za siebie. Po chwili z dwoma pękatymi workami zszedł z werandy i zniknął za domem.

– No, bądźmy zwarci i gotowi! – oświadczyła podekscytowana. – Wandal zabrał dwa wory i poszedł za dom. Po samochód chyba, nie?

– Za dom? – zdenerwowała się Malwina. – To Świnia! Garaż ma z tej strony! Co on kombinuje?

– Może mu szkoda na paliwo i teraz będzie śmieci utykał we własnym

ogródka – podsunęła z niechęcią Eliza. – Kto tam dojdzie, co takiemu bucowi po głowie lata...

– W jakim ogródku? – rozzłościła się Malwina. – W lesie chcę go złapać! Na gorącym uczynku!

– No i cóż ci tak zależy, żeby las zaśmiecał? – zdziwiła się Eliza. – Może doznał ekologicznego oświecenia i więcej...

– Niczego nie doznał – przerwał Piotruś, który obserwował podwórko wandalą przez lornetkę noktowizyjną. – Już wyjeżdża. Samochód postawił obok garażu i chyba na wszelki wypadek obleciał dom dookoła... Schowajcie się!

Cała czwórka rozplaszczona na siedzeniach, usłyszała warkot silnika. Kiedy ucichł, cztery szyje wyciągnęły się jak peryskopy, a cztery pary oczu z napiętym wytrzeszczem wbiły się w przednią szybę samochodu. Lala, która pełniła obowiązki kierowcy, uruchomiła silnik. Piotruś wyjął swoją komórkę, wpisał hasło i po chwili na ekranie pojawiła się mapa, a na niej czerwony punkt, który się przesuwał.

– Malwina! Patrz, jakie to fajne! – Eliza wetknęła głowę między Lalę i syna i z fascynacją przyglądała się ruchomej kropce. – Szybciej! Jedźmy, bo nam zwieje!

– Nie zwieje – mruknęła Lala i ruszyła.

– To do tego nie potrzeba komputera? – zdziwiła się Malwina, która wisiała ponad ramieniem Piotrusia z drugiej strony.

– Wystarczy komórka z dostępem do Internetu – wyjaśnił Piotruś i poinformował Lalę: – Jedzie przez domki w stronę skrzyżowania. Ciekawe, w którą stronę skręci. Ja bym na jego miejscu pojechał w kierunku Marzenia. Tam przy działkach jest tyle śmieci, że dwa worki więcej nikogo nie zdziwią. I blisko.

– On chyba woli dalej. – Lala rzuciła okiem na ekran jego komórki. – Bo właśnie skręca na Urzędów. Tam też są działki przy lesie. Zjedzie na polną drogę i może wyrzucić gdziekolwiek. Nikt go nie zobaczy.

– To mu się tylko tak wydaje – powiedziała złowieszczo Malwina. – My go zobaczymy.

– A ja tak sobie myślę... Dzieci, jesteście pewne, że go zobaczymy? – W głosie Elizy dźwięczał sceptycyzm. – Co z tego, że go widzimy na komórce? Zanim dojedziemy, żeby go nagrać, to już będzie po herbacie. Nawet nie musi wysiadać, żeby te śmieci wyrzucić. Smyrgnie przez okno i odjedzie.

– Nie smyrgnie – oznajmiła stanowczo Malwina. – Nie sądzę, żeby te wory wetknął na siedzenie. To jest nadęty snob i nie będzie sobie paskudził limuzyny, nie mówiąc już o aromatach. Poprzednim razem wetknął do bagażnika. Sama widziałam. Myślisz, że on ma z tyłu wyrzutnię do śmieci, czy może one już chodzą i same się wyrzucają?

– Lalu, może ty szybciej jedź na wszelki wypadek? – Eliza postanowiła trwać przy swoim. – Może one same nie chodzą, ale ja na jego miejscu bym się śpieszyła.

– Mogę jechać szybciej – zgodziła się Lala, wyjeżdżając na Urzędowską. – Tylko najpierw chciałabym mieć pewność, że stać nas na mandat w razie czego.

– Zrobimy zrzutkę – zaproponowała pocieszająco Eliza.

– Pewnie – mruknęła zgryźliwie Malwina. – My się będziemy rzucać, a on sobie spokojnie odjedzie...

– Karunia – w głosie Piotrusia dźwięczało napięcie – on zwalnia. Zobacz. – Podsunął Lali pod nos komórkę. – Przyciśnij, ile możesz. Tu już teren niezabudowany.

Lala przyśpieszyła, ale po chwili znowu zwolniła, bo zobaczyła światła Iryskowego pojazdu. Z początku nie miała pojęcia, czemu wlecze się jak ślimak.

– Zobaczy nas! – zdenerwowała się Malwina.

– Akurat go obchodzimy – prychnął Piotruś i machnął komórką. – Radiowóz tam stoi. Dlatego zwolnił.

– Jak to? – zmartwiła się Eliza. – Sami go będą łapać? A my? Specjalnie rano wstałam. Tyle się...

– Przestań biadolić. Tam w rowie jest samochód. Wypadek jakiś był. Dlatego tu stoją... No, rzeczywiście. Raczej go nie obchodzimy. Chyba kombinuje, czy go puszcza.

Lala z uwagą przyglądała się okolicy. Po lewej stronie szosy był łagodny zjazd w las, po prawej – polna droga pomiędzy zaczynającymi się tu działkami a ścianą lasu.

– Wiecie co? – powiedziała wolno. – To idealne miejsce do pozbycia się śmieci. Znam je. Kiedy byliśmy mali, rodzice urządzali nam tu Dzień Dziecka. Jeden z ochroniarzy przywoził nas mikrobusem, a ciocia Kasia organizowała różne konkursy sprawnościowe. Maminka przeważnie dbała o wyzerkę. Tu było bezpiecznie. Za tymi sosnami jest polanka. Tam się rozkładaliśmy. Drzewa odgradzały nas od szosy... Tędy – pokazała zjazd – wjeżdżaliśmy i samochód był niewidoczny z drogi.

– Wypadek mu przeszkodził! – uświadomiła sobie z satysfakcją Eliza.
– Masz rację. Pewnie tu by wyrzucił i zawrócił... Och, dobrze mu tak!

– Nie masz się z czego cieszyć – warknęła Mal – wina. – Cholera wie, co ten parszywiec teraz wymyśli. Las się zaraz kończy. A jak zawróci z tymi śmieciami do domu? Jak długo jeszcze będziemy go tak pilnować?

– Puszczają. – Piotruś bacznie obserwował, co robi policja. – Trudno.

Jedziemy za nim. Tu zaraz jest górka. Jak z niej zjedziemy, to się zatrzymasz, Karunia. Puścimy go, żeby się nie połapał. Tak z pół kilometra. Zobaczymy, co robi.

Wyminęli kręcących się po szosie policjantów i karetkę stojącą za radiowozem. Parszywiec jechał przed nimi jak paralytyk i dopiero, gdy zasłoniła go górka, przyśpieszył. Lala stanęła. Cała czwórka wbiła oczy w Piotrusiową komórkę.

– Jak myślicie? – zapytała z napięciem Malwina. – W którą stronę pojedzie?

– Na Otylię – odparła bez namysłu Lala. – Minie cmentarz i kapliczkę i ma do dyspozycji cały las. W dodatku tam raczej pusto... Dobra, już dojeżdża do rynku. Możemy ruszać.

– Wyprzedźmy go – zaproponował Piotruś. – Miałaś rację, Karunia. Skręca na Otylię. Tak sobie myślę, że chyba go wystraszyła policja i będzie chciał pozbyć się śmieci jak najszybciej. Zaraz za kapliczką zaczyna się las. Wywali worki pewnie przy pierwszych drzewach. Musimy go wyprzedzić, ukryć samochód i czatować, bo inaczej nici z nagrania.

– A jak my będziemy czatować gdzie indziej, a on... – zaczęła Malwina, ale Lala jej przerwała.

– Rozstawimy się – powiedziała pocieszająco. – Wszyscy mamy komórki, w razie czego będziemy się powiadamiać.

– Usłyszysz – zauważyła ostrzegawczo Eliza. – I nie uwierzy, że to ptaszek tak dziwnie świergoli.

– Bo jakiś głupi ten plan – zdenerwowała się Malwina. – Dlaczego nikt wcześniej nie pomyślał, że będziemy mieli tyle trudności? Powinniśmy byli to przewidzieć!

– A ktoś ci bronił? – zdziwiła się Eliza. – Trzeba było przewidywać.

Na razie nie panikuj. Zobaczymy, jak nam wyjdzie. Ten Irysek intelektem nie tryska...

– No właśnie! Masz pojęcie, jak trudno wyczuć, co takiemu bucowi strzeli do głowy?

Wyprzedzili Iryska, który z uporem maniaka jechał ślimaczą prędkością. Widocznie widok policji zniechęcił go do ekstrawagancji.

– Jak my będziemy z przodu, a on z tyłu, to też ten pipcik nam go pokaże? – zainteresowała się Eliza.

– Też. – Piotruś kiwnął głową, nie odrywając wzroku od ekranu komórki.

Lala, zaniepokojona katastroficznymi prognozami Malwiny, wcisnęła gaz, nie bacząc na teren zabudowany. Toyota Misia dopieszczona ostatnio przez wuja Januszka, który był właścicielem warsztatu samochodowego, płynęła po szosie, pomrukując cichutko. Kapliczka świętej Otylii tylko mignęła za oknami i Lala zobaczyła ciemną ścianę lasu przed sobą. Zwolniła, szukając wzrokiem miejsca, w którym mogliby ukryć samochód.

– Tu. – Piotruś, którego umysł zaprzętał ten sam problem, wskazał zjazd w leśną drogę.

Lala bez słowa skinęła głową, zjechała z szosy i zaparkowała toyotę pod wysoką sosną. Malwina i Eliza natychmiast wysiadły. Piotruś westchnął i poszedł w ich ślady. Kiedy do grupki dobiła Lala, obie panie dyskutowały zawzięcie o sposobie uwiecznienia nagannej działalności parszywca.

– Nie będę stała jak słup! – oświadczyła Malwina stanowczo. – Życzę sobie, żeby było sprawiedliwie. Chcę, żeby drania ukarano! Wzięłam ze sobą kamerę i będę kręcić! – Majtnęła przewieszoną przez szyję kamerą. – Jak wszyscy spróbujemy, to może komuś wyjdzie!

– Uważaj, żeby ci się nie pomyliło. – Eliza rzuciła jej pełne

sceptycyzmu spojrzenie. – Bo masz jeszcze komórkę. Może ją zdejmij.

– Komórką też można nakręcić film – powiedziała spokojnie Lala i wyjrzała na szosę. – Nie widać go. Powinniśmy na chwilę wejść w jego skórę...

– No, nie wiem. – Eliza zmarszczyła nos z dezaprobatą. – Mnie on się nie podoba.

– Matula, nieważne, czy on ci się podoba – jęknął Piotruś. – Nie musi. Ty go nie masz wielbić, tylko myśleć jak on.

– Zatrzyma się po tej stronie szosy. – Lala machnęła ręką, nie zwracając uwagi na ich konwersację. – Raczej nie będzie latał po jezdni, tylko szurnie śmieci gdzieś tutaj – myślała głośno. – Wzdłuż drogi jest rów. Irysek na czempiona nie wygląda. Z pewnością poszuka łatwiejszego dostępu.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się Malwina, która słuchała uważnie. – Może stanie, nie wyłączy silnika, rzuci te wory byle gdzie i odjedzie jak najszybciej?

Lala pokręciła głową.

– Już raz go przyuważyli – przypomniała. – Nie może za bardzo się naprzykrzać tym ze świecznika, bo go w końcu pogonią. Słyszałam, że na razie żrą się sami ze sobą... Kurczę, głupio zrobiłam... Piotruś, weź samochód i przestaw go dalej. Żeby nie był widoczny. Podejrzewam, że Irysek zjedzie w tę samą drogę co my. – Podała ukochanemu kluczyki i bystro rozejrzała się wokół. – Musimy się rozstawić.

Będziemy mieli większą szansę, że komuś się uda go przy dybać i nagrać...

– Ja mam tylko telefon – zgłosiła pretensję Eliza. – Telefonem nie umiem.

– A aparatem?

– Takim do zdjęć? Takim umiem.

– To dam pani mój aparat, a ja będę kręciła komórką – uspokoiła ją Lala. – Musimy się rozstawić po obu stronach leśnej drogi. Bo nie mam pojęcia, która mu bardziej przypadnie do gustu. Dobrze, że tu gęsto. Będziemy mieli gdzie się schować.

– Karunia! – Piotruś wrócił po wykonaniu polecenia. – Kawałek dalej jest boczna droga. Tam zaparkowałem. – Oddał kluczyki dziewczynie i zapytał: – Co teraz?

– Teraz to my idziemy tu. – Malwina machnęła dłonią na prawo. – A wy w drugą stronę. Musimy sobie znaleźć dobre kryjówki.

Irysek włókł się jak ofierma kompanijna, bo widok policji zniechęcił go do przedsięwzięcia. Zanim zrozumiał, iż stoją tam z powodu wypadku, przeleciało mu przez głowę, że czają się specjalnie na niego. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Miał chody na samej górze, ale ostatnio ta góra oznajmiła, że ma dość własnych problemów i żadnych powodów, by zajmować się cudzymi. Góra była świeżo usadzona na stanowisku. Jeszcze nie okrzepła i szukała odpowiednich stronników. Wcześniejsze znajomości przestawały jej powoli odpowiadać. Już dwa razy Irysek musiał korzystać z jej wsparcia i został chłodno powiadomiony, że limit się wyczerpał.

Powściągnął złość i rozżalenie i zaczął intensywnie kombinować, co zrobić w razie, gdyby kogoś zainteresowała jego poranna przejażdżka. Z niepokojem spojrzął w lusterko. Za nim jechał tylko jeden samochód. Jego kierowca śpieszył się gdzieś wyraźnie, bo szybko go wyprzedził. Ulżyło mu.

Po lewej stronie dojrzał szeroką aleję obrośniętą drzewami i przypomniał sobie, że w głębi znajduje się kapliczka świętej Otylii z cudownym źródłem. Starsi mieszkańcy Kraśnika do dziś zaopatrywali się

tu w wodę. Olśniło go. Załatwi sobie alibi. Gdyby ktoś mu coś zarzucił, będzie się upierał, że przyjechał po wodę ze źródelka.

Zatrzymał samochód i sięgnął do kieszeni na drzwiach. Tkwiła w niej litrowa butelka z resztką jakiegoś napoju. Wysiadł, wylał zawartość opakowania na pobocze i rażnym krokiem ruszył alejką ku kapliczce.

Malwina ostrożnie szła za przyjaciółką, starając się omijać pozbawione jeszcze liści rozłożyste gałązki krzewów, które złośliwie czepiały się jej spodni. Odzienie nie było specjalnie wytworne, ale wyciągnięte nitki uroku mu nie dodawały, a Malwinę denerwowały. Nie życzyła sobie wyglądać jak flejtuch.

Eliza parła jak czołg ku dużej kępie jałowca. Wypatrzyła ją z drogi i od razu uznała, że świetnie się nada na kryjówkę. Zasłoni je przed wzrokiem parszywca, a igły nie będą stanowiły przeszkody dla aparatu.

– No. Zobacz, jaką fajną mamy zasłonę dymną – powiedziała z satysfakcją, przykucając za najbliższą gałęzią.

Malwina przykucnęła z drugiej strony. Na próbę wetknęła w gąszcz kamerę i od razu poczuła ukłucia na dłoniach. Cofnęła je szybko i z uwagą obejrzała.

– Dymną? – warknęła ze złością. – Chyba kłujną! Jak ja mam film kręcić w takich warunkach?

– Kłującą, jeśli już – poprawiła Eliza. – W telewizji mówią jakimś dziwnym językiem, to chociaż my używajmy polskiego... Już nie bądź taka księżniczka na grochu. On tych śmieci nie będzie wyrzucał przez godzinę, tylko szurnie i po sprawie. Wytrzymasz. Dubli nie będzie.

Malwina spojrzała na nią spode łba i westchnęła.

– No i dlaczego ty zawsze namówisz mnie na jakieś głupoty? Nie mogłabyś raz wymyślić czegoś sensownego?

– Ja? – obraziła się Eliza. – Na co cię namówiłam? To ty wymyśliłaś, żeby samemu wymierzać sprawiedliwość!

– Ale niekoniecznie w jałowcach... A pamiętasz kolonie w Lipie? Kto się uparł, żeby się moczyć akurat w tym miejscu, gdzie były raki? Pół naszej grupy przez tydzień nie mogło siedzieć! Spałyśmy tyłkami do góry!

– Skąd mogłam wiedzieć, że one tam mają dziurę – mruknęła niechętnie Eliza. – Rzeczka była przezroczysta, żadnych raków nie widziałam. A akurat tam było płytko i dało się siedzieć...

– Na rakach!

– Oj tam, oj tam, co taki rak może? Poszczypały nas tylko. Na pewno miały większą traumę niż my.

– Pewnie – syknęła rozeźlona Malwina, bo potrącona nieopatrznie gałązka jałowca ukłuła ją w policzek. – Do dziś stare raki opowiadają raczej młodzieży o swoich przeżyciach.

– Odczep się od tych raków – powiedziała niecierpliwie Eliza i spojrzała na zegarek. – Gdzie ten parszywiec się podział? Już tu powinien być. Przecież go mijaliśmy... Cholera! Malwina, a jak on to wyrzucił byle gdzie?

– Nie zapeszaj! Nie miał prawa! Ma wyrzucić tutaj i koniec! Muszę odpukać. – Malwina rozejrzała się wokół i zmarszczyła brwi. – Gdzie tu jest jakieś niemalowane drewno? W domu zawsze odpukuję w taboret...

– Tobie inteligencja nie działa? – zdziwiła się Eliza i machnęła ręką. – Wszędzie masz niemalowane. Pukaj, gdzie chcesz...

Po drugiej stronie leśnej drogi za drewnem ułożonym w sągi znaleźli schronienie Lala i Piotruś. On lustrował otoczenie przez lornetkę, ona stała obok zadumana, marszcząc brwi.

– Gdzie on mógł się podziać? Już dawno powinien tu być... A jak się

rozmyślił i zawrócił z tymi śmieciami?

– To byliby głupi do samego dna i poniżej – powiedział z niesmakiem Piotruś. – Jak już raz zaryzykował, nadział się po drodze na policję i przeżył, to mu wsio ryba. Ja bym wywalił w tym lesie, najlepiej na samym początku, żeby mieć problem z głowy, i wróciłbym przez Dzierzkowice. Wywaliłbym, gdybym był nim – dodał pośpiesznie, bo miał wrażenie, że dziewczyna łypnęła na niego podejrzliwie. – Sam z siebie bym nie wywalił.

– Może gumę złapał albo co... – dumiała Lala, rozglądając się niespokojnie.

– Sprawdź. – Piotruś wpisał kod i zerknął na ekran swojej komórki. – Karunia, on stoi. Zobacz. Jak myślisz, co tu jest? Uczucia mu się skropiły i polazł w krzaki? Bo lasu przecież tam nie ma...

– Piotruś, kurczę. – Lala aż sapnęła z oburzenia.

– Nie chcę rzucać kalumni, ale coś mi się wydaje, że on stoi koło Otylii. Świni przy kapliczce?!

– Może chce sobie chody u Pana Boga wyrobić – mruknął Piotruś i wyłączył komórkę. – Po wodę pewnie poszedł. Wszyscy biznesmeni z Kościołem żyją w symbiozie. Nie będzie sobie pod tyłek granatu podkładał...

– Nie wszyscy – zaoponowała Lala. – Wujek Andrzej mówi, że nie obchodzi go, co tutejsi księża robią, byle mu nie zaglądali do kieszeni i pod kołdrę.

– Ma rację. Jak chcą nauczyć owieczki życia w cnocie, to niech się najpierw sami wykażą.

– Mnie zawsze przeszkadzało, że mam swoje najbardziej wstydlive tajemnice wyjawiać obcej osobie – wyznała Lala. – Raz uciekłam od konfesjonału, bo ksiądz mi takie wredne pytanie za...

Przerwał jej cichutki dzwonek komórki. Nie patrząc, kto dzwoni, chwyciła telefon. Przeraziła się, że nagle Misiek coś sobie przypomniał i zacznie się domagać natychmiastowego zwrotu samochodu.

– Tu Jałowiec, tu Jałowiec – usłyszała w aparacie podekscytowany głos Elizy. – Przygotujcie się! Malwina mówi, że jedzie! Wlecze się jak ślimak! Widziała przez krzaki, jak poszła na stronę...

– Będziesz im z detalami opowiadała, co tam robiłam? – włączyła się zgryźliwie Malwina. – Powoli jechał. Mam nadzieję, że tu skręci...

– Ja Grab jeden, ja Grab jeden – zareagowała błyskawicznie Lala, której ojciec maniakalnie oglądał kolejne powtórki *Czterech pancernych*. – Obserwujcie go! Ostrożnie, żeby was nie zobaczył! Musimy go na...

– Rany boskie! – Piotruś ocknął się z osłupienia i wydarł jej z rąk komórkę. – Matula! Tu nie poligon! Nie składaj meldunków, tylko się chowaj!

– Bez odbioru – powiedziała z urazą Eliza i rozłączyła się. – Malwina – obejrzała się na przyjaciółkę, która z napięciem obserwowowała prześwitującą pomiędzy bezlistnymi jeszcze drzewami szosę – coś mi przyszło do głowy...

– Powiedz temu czemuś, że natychmiast ma się wynosić! – zażądała ze zgrozą Malwina. – Znowu wymyś...

– Poczekaj. Pomyślałam tylko, że mogłybyśmy go przestraszyć. Patrz, jak fajnie nam się wcześniej udało: ten parszywiec od napadów wziął nas za kosmitów, mój osobisty za diabły...

– A ten za kogo ma nas wziąć? Za leśne ludki? – zainteresowała się zgryźliwie Malwina. – Gabaryty nie pasują.

– A jakby za złodziei samochodów? Słyszałam gdzieś, że podobno grzybiarzom kradną auta – podsunęła z nadzieją Eliza. – Może się

przestraszy i więcej się w żadnym lesie nie pokaże. Mówiłaś, że ma wypasioną brykę.

Malwina zastanowiła się przez chwilę i pomysł trafił jej do przekonania. Gdyby Irysek uznał ich za złodziei samochodów, pewnie do końca życia nie zatrzymałby się w żadnym odludnym miejscu, a na środku miasta świniał nie będzie, bo ktoś go przyuważy.

– Cholera, szkoda, że nie mamy kominiarek – powiedziała z żalem. – Nie ujawnię się, bo mnie rozpozna z twarzy i jeszcze doniesie na zięcia.

– Mamy! – sapnęła uszczęśliwiona Eliza. – Wetknęłam do kieszeni, jak wychodziłam z domu! Tylko dwie, ale dla nas wystarczy!

– Dawaj. – Malwina wzięła od przyjaciółki czapkę i wsunęła do kieszeni kurtki. – Słuchaj – zatroskała się nagle – a jak to zrobimy, żeby on myślał, że mu chcemy ukraść samochód? Jak nas zobaczy, może pomyśleć cokolwiek. Że jesteśmy kłusownikami albo że chcemy go obrabować z pieniędzy. Trzeba mu jakoś podprogowo wprowadzić do głowy, że las i samochód równa się kradzież. Przecież nie będziemy lecieć do tej jego bryki i szarpać za drzwiczki. Ślady zostaną, a jak zgłosi policji, pójdziemy siedzieć.

Eliza zapatrzyła się przed siebie i ponuro zamyśliła. Jednakowoż ciężki jest żywot mściciela. Ileż to problemów trzeba pokonać, żeby zrealizować plan.

– Wiem! – rozjaśniła się wreszcie. – Uświadomimy go werbalnie! Wyskoczmy zza krzaków i będziemy charczeć: dawaj samochód!

– Dlaczego charczeć?

– Bo musimy zmienić głos. Skąd wiesz, że on ci kiedyś nie powie „dzień dobry”? Odpowiesz mu i cię rozpozna. Będziemy charczały tak bardziej po męsku.

– To znaczy jak? Nie mam pojęcia, jak charczą faceci! –

zdenerwowała się Malwina.

– Wystarczy, jak spróbujesz charczeć basem – pocieszyła ją Eliza i znieruchomiała. – Skręca! Padnij!

Obie schowały się za obfitą kępę jałowca i wykonały klasyczny pad. Malwina pomyślała z satysfakcją, że przewidująco przystroiła się w robocze ciuchy i nie będzie jej żal, jeśli się podra. Leżąc, sięgnęła do kieszeni i pośpiesznie ozdobiła oblicze rogatą kominiarką. Przeczółgała się kawałek, by mieć lepszy widok na leśną drogę i włączyła małą kamerę, której pasek miała przerzucony przez szyję.

Eliza wsparła o podłoże łokieć, dzierżąc w dłoni aparat Lali i utrwałała dla potomności poczynania parszywca, który właśnie zjeżdżał powoli w las, starając się omijać koleiny.

Irysek dostojnym krokiem wracał alejką prowadzącą od kapliczki. Wody nabierał powoli, potem jeszcze demonstracyjnie wrzucił jakiś bilon do puszek na datki. Teraz wszyscy wszystkich podglądają. Cholera wie, czy urzędowski proboszcz nie zainstalował monitoringu przy kapliczce. Będzie miał murowane alibi na wszelki wypadek.

Wetknął butelkę do schowka na drzwiczkach, spojrzął w lusterko i stwierdził, że o tej porze szosa jest puściuteńka. Uznał, że przysłużył mu się ten wypadek na Urzędowskiej. Od tej pory będzie upiększał las za kapliczką. Wprawdzie trochę dalej, ale pusto i bezpiecznie. A do domu wróci przez Dzierzkowice i nikomu nie przyjdzie do głowy, co naprawdę robił. Na Urzędowskiej za często kręcą się gliny i ruch zbyt duży jak na jego potrzeby.

Jechał powoli, rozglądając się na boki, bo nie znał okolicy, a bał się, że przegapi pierwszy zjazd do lasu. Nie chciał zostawiać samochodu na szosie. Jeszcze, nie daj Boże, jakiś bałwan akurat zapragnąłby porannej przejażdżki

i zapamiętałby numery. Uczciwi ludzie wpadają przeważnie przez głupie drobiazgi.

Włókł się jak żółw, omiatając wzrokiem prawą stronę. Wreszcie wypatrzył odpowiednie miejsce. Pomiedzy drzewami ukazała się luka szerokości dużej ciężarówki. Między koleinami sterczały korzenie, a pośrodku rozlewała się kałuża. Irysek pomyślał o swoim eleganckim samochodzie i zawahał się. Jednak worki w bagażniku napełniały go coraz większym zniechęceniem. Nie daj Boże, któryś mógł pęknąć i zanieczyścić jeden z najdroższych środków transportu w Kraśniku. Z dwojga złego wołał uświnić auto na zewnątrz. W zasadzie o tej porze roku na kraśnickich ulicach bardziej dziwią czyste samochody. Przed niedzielą odda do myjni i wszystko będzie w porządku.

Zacisnął zęby i zjechał z szosy. Ostrożnie ominął potężny narzutowy głaz wciśnięty między kępę zarośli i pełznął drogą, starając się unikać wystających korzeni. Zjechał pod same drzewa z nadzieją, że nie będzie widoczny z szosy, i wysiadł, rozglądając się na boki. Wokół trwała cisza, którą zniecka przerwał uporczywy stukot dzięcioła. Irysek prawie podskoczył. Obrzucił spłoszonym wzrokiem przestrzeń przed sobą i nerwowo szarpnął pokrywę bagażnika. Podejrzliwie patrząc na boki, wyciągnął dwa pękate wory. Wcisnął je pomiędzy młode graby, zamknął bagażnik i nasłuchiwał przez chwilę. Dzięcioł zajadle walczył o śniadanie, ale poza tym nic się nie działo. Irysek odetchnął i już zamierzał wsiąść do samochodu, kiedy spoza kępy jałowców wyłoniły się dwa dziwne indywidua, których twarze zasłaniały kominiarki. Sparaliżowało go, bo skojarzyły mu się z agentami CBS, których akcje widywał w telewizji.

– Dawaj samochód! Dawaj samochód! – domagały się stwory przerażającym charkotem. – Dawaj samochód!

Do Iryska nie dotarło, że stwory jakoś dziwnie niemrawo zbliżają się do niego. Najpierw poczuł ulgę, albowiem myśl o zainteresowaniu CBS jego osobą napępiała go głębokim niesmakiem. Jednakowoż po chwili ulga zamieniła się w święte oburzenie, albowiem pojął, że indywidua chcą go pozbawić ukochanego środka lokomocji. Protestować werbalnie nie zamierzał, ponieważ worki ze śmieciami biły w oczy i kontakt z policją wydawał mu się niewskazany. Jedyne ratunek widział w natychmiastowej ucieczce.

Wpadł do samochodu i cudem udało mu się wykręcić na wyboistej drodze, choć zahaczył zderzakiem o jeden z worków, który się rozdarł. Przestały go obchodzić koleiny i kałuże. Gdyby się obejrzał, może by go zastanowiło, dlaczego potencjalni złodzieje przebiegają nogami w miejscu, zamiast gonić łup. Ale interesowało go tylko jedno – wydostać się z tego piekielnego lasu na szosę i jak najszybciej dojechać bezpiecznie do domu. Dlatego zapomniał zupełnie o głazie, który znajdował się przy zjeździe, wjechał w koleinę, zarzuciło go i zawadził o kamień zderzakiem z tej strony, gdzie Malwina przymocowała lokalizator. Uderzenie swoje zrobiło i pipcik zmienił miejsce pobytu. Z samochodu przeniósł się na kamień, a trafiwszy na jakieś cząsteczki żelaza, przylgnął do nich, choć bez specjalnego zapachu.

Irysek jęknął rzewnie, pomyślawszy o stanie zderzaka, ale przyśpieszył, wypadł na szosę – na szczęście pustą – i popędził w stronę Dzierzkowic.

Malwina i Eliza spojrzały na siebie z tryumfem, wyłączyły aparaturę nagrywającą, przybiły żółwika i odtańczyły z przytupem dziki taniec zwycięstwa.

Zza sterty drewna wychynęła roześmiana Lala i milczący Piotruś, który miał na obliczu wyraz niedowierzania i zgrozy.

– Do końca życia nie zbliży się do żadnego lasu – stwierdziła z chichotem Lala. – Dałyście mu bobu!

– Czy wy całkiem oszalałyście? – zapytał z jękiem Piotruś. – Co to miało być? Chciałyście mu rąbnąć tę wypasioną furę?

– Chciałyśmy go przestraszyć – odparła z godnością Eliza. – Nie kradniemy samochodów. Uznałyśmy tylko...

– Wiecie, co ja teraz mam na filmie? – Piotruś popatrzył na nią ponuro. – Niewinnego jak lelija parszywca, któremu złodzieje próbują zwinąć brykę! Mam to puścić w Internecie? Z naszej strony nie było widać, że on tu śmieci podrzuca! Jak prokurator to zobaczy, to was uziemi, a nie jego!

Lali i Elizie zrzędyły miny, ale Malwina spokojnie włączyła swoją kamerę i z uwagą zaczęła oglądać nagranie.

– No i cóż się tak żołądkujesz, Piotrula – powiedziała pobłaźliwie. – Z naszej było widać i ja to wszystko mam na filmie. Nas na nim nie ma, za to bardzo dokładnie widać zaskoczoną mordę parszywca. I rejestrację samochodu, gdyby prokurator miał jakieś wątpliwości.

– No. Ja też go nagrałam. Aparatem Lali. Mamy dowody. – Elizie ulżyło. – I satysfakcję osobistą. Szkolenie parszywca na temat ekologii nic by nie dało, a tak to już ma zakodowane do końca życia, że w lesie się nie śmieci.

– Nigdy więcej nie namówicie mnie na żadną zemstę, czy jakąkolwiek inną akcję odwetową! – oznajmił twardo Piotruś, z wysiłkiem godząc się z całkowitą porażką w kwestii wychowania starszego pokolenia. – Koniec z tym! Od tej pory zarabiam na życie i przestają mnie obchodzić wasze szatańskie pomysły!

Lala stała z boku, przysłuchując się rozmowie. Oświadczenie Piotrusia

przyjęła z lekkim żalem. Jej bardzo przypadła do gustu działalność ekologicznego gangu. Nie miałyby nic przeciwko kontynuacji.

– Na razie niczego nie planujemy – powiedziała pojednawczo Malwina. – W najbliższej przyszłości muszę się zająć swoimi sprawami. Zamierzam otworzyć sklep dla samotnych emerytów. Z domową wyzerką, jak: zupa, drugie danie i dodatki do niego. A twoja matka ma mi prowadzić księgowość. Też nie będzie miała czasu.

– Chyba żeby coś się trafiło – uściśliła Eliza.

– Piotruś, przyprowadź samochód – poleciła szybko Lala, widząc, że ukochany dojrzewa do eksplozji. – Wyjedź na szosę, a my podejdziemy.

Kiedy Piotruś zniknął w lesie, trzy niewiasty spojrzały na siebie w siostrzanym porozumieniu.

– Gdyby coś się działo, to się same dogadamy – mruknęła z lisim uśmieszkiem Eliza. – Piotruś jest za nerwowy do tej roboty. Chodźmy.

– Ty nie masz wrażeń – zapytała Malwina, kiedy szły w kierunku szosy – że coś zazgrzytało, jak ten parszywiec wiał? Ciekawe, czy coś sobie po drodze rozwalił.

– Przecież tu nic nie ma – zdziwiła się Eliza. – O drzewa się otarł? To najwyżej lakier zdarł. Stać go na nowy.

– Nie o drzewa. – Lala zmarszczyła brwi. – On w coś przygruchał. Ja też słyszałam... Usuńmy się. Piotruś wyjeżdża.

Przeczekwały, aż młody Barnaba wyjedzie na szosę, i z potulnymi minami wsiadły do samochodu. Lala nie rwała się za kierownicę, bo uznała, że ukochanemu należy się po stresie chwila rozrywki.

– Może byśmy sprawdzili, gdzie ten parszywiec jest, co? – zaproponowała niepewnie Eliza. – Co, jeśli gdzieś stoi i ogląda szkody? Jeszcze pozna Malwinę i zacznie się domyślać...

Piotruś bez słowa włączył swoją komórkę i spojrzął na ekran. Oczy mu się zaokrągliły. Potrząsnął głową i z dziwnym wyrazem twarzy rozejrzał się podejrzliwie na wszystkie strony.

– Co? Co się stało? – zaktywizowały się natychmiast z tylnego siedzenia Malwina i Eliza.

Lala niespokojnie spojrzała na ekran komórki i osłupiała.

– No, jak to... Przecież... Nie ma go tu... – Potoczyła wzrokiem po obu stronach szosy. – On mówi...

– Kto? – przerwała niecierpliwie Malwina.

– Ten pipcik. On mówi, że parszywiec jest tutaj, a to prze... O, kurczę! Wiem! Musiał odpaść, jak rąbnął! Mówiłyście, że zgrzytnęło! Wychodzę! – Szarpnęła za drzwiczki. – Może go znajdę i oddam!

– Odpadł? – rozczarowała się Eliza. – A mojej lodówki to się trzymał jak głupi.

– Jak ona go tu znajdzie? – Malwina wzruszyła ramionami. – W tych liściach nic nie widać. Dobrze choć, że odpadł już po akcji.

– Znajdziemy. – Piotruś podjął męską decyzję i też zaczął wysiadać. – Komórka nas doprowadzi.

Kiedy pobiegł za Lalą, przyjaciółki spojrzały na siebie i pośpiesznie opuściły samochód.

– Tu nie macie czego szukać – oznajmiła Malwina, widząc, że młodzi przeszukują oczami pobocze. – Trawa i chaszczce. Nie ma co zgrzytać...

– Wiem! – Lala nagle dojrzała wystający spośród zarośli głaz. – Kamień! Zarzuciło go na tych wybojach i rąbnął! Patrzcie! Jest! Przyczepił się!

– No to teraz go nie oderwiemy do uśmiechniętej śmierci – przepowiedziała złowieszczo Eliza. – Zostawmy go. Zrzucimy się i

zapłacimy za niego. Nie martw się, Lala.

– Nie o to chodzi – westchnęła Lala. – Nie możemy go zostawić, bo jak ten film trafi do prokuratora, to na pewno tu przyjadą na wizję lokalną. Nie jestem pewna, czy takie pipciki są legalne. Co będzie, jak go znajdą? Na pewno są na nim nasze odciski. Wsadzą nas do jednej celi z parszywcem?

– Jego nie wsadzą – mruknęła pogardliwie Malwina. – Najwyżej pouczenie dostanie i grzywnę zapłaci.

– Ale nas mogą – zastanowiła się Eliza. – Może się okazać, że śledziliśmy go nielegalnie.

– To z pewnością... Dobra. Nie ma co debatować – orzekła ponuro Malwina. – Musimy to świństwo zabrać ze sobą. I wołałabym szybko, zanim moje dzieci wstaną...

Piotrusiowi zrobiło się ciemno przed oczami na myśl, że po raz kolejny ma walczyć z obrzydliwie upartą materią. Najchętniej rozgniółby paskudztwo, ale nie mógł zawieść bóstwa.

Na widok jego miny Malwina się zlitowała. Stała jej przed oczami pralka i poczuła, że doskonale go rozumie.

– Zastosujemy metodę rzepki – powiedziała stanowczo. – Piotruła łapie to świństwo, Lala Piotrułę, Lale Eliza, a ja na końcu. I ciągniemy ze wszystkich sił.

Na szczęście wokół nie było żywego ducha i nikt nie miał okazji obejrzeć nietypowej inscenizacji wiersza Tuwima. Pipcik okazał się mniej oporny niż rzepka. Ledwie Piotruś go pociągnął, oderwał się od kamienia, a ponieważ wszystkie niewiasty rzetelnie przyłożyły się do przedsięwzięcia, młody Barnaba z impetem poleciał na Lale, ta na Elizę, Eliza zaś na Malwinę, która z rozmachem i pluskiem wylądowała w błotnistej kałuży.

Do naturalnych odgłosów lasu dołączyły pojękiwania, złorzeczenia i

postękiwanie Malwiny, która została najbardziej poszkodowana. Twarz miała upstrzoną cętkami błota, a tył roboczych portek utyłany w kałuży.

– No, już przestań – zgaśniła ją Eliza. – Wszyscy się upaćkaliśmy. Kto mógł przewidzieć, że to ustrojstwo tak nagle puści. Do mojej lodówki było bardziej przywiązane. Może nie lubi natury...

– Zabierzcie ją ode mnie, bo jej coś zrobię! – warknęła Malwina, usiłując się ogarnąć.

– Ja mogłem przewidzieć – burknął Piotruś, skrupulatnie sprawdzając, czy bóstwo nie zrobiło sobie krzywdy. – Lodówka jest z metalu, a kamień nie. Dlatego słabo się trzymał. I gdybyście mnie jak zwykle nie ogłupiły, pewnie bym na to wpadł.

– Czego ty się mnie czepiasz? – obraziła się Eliza. – To nie ja wymyśliłam, tylko ty!

– Widocznie to się udziela, jak się za długo przebywa w twoim towarzystwie!

– Nie kłóćcie się – powiedziała pojednawczo Lala. – Tu już nie mamy nic do roboty. Jedźmy, bo czas ucieka. Pani Malwina musi jeszcze wkraść się do domu.

– Jak ja teraz pojedę? – Malwina wykręciła głowę do tyłu, usiłując dojrzeć szkody wyrządzone przez kałużę. – Tylek mam w błocie. Uświnię ci samochód.

– Miś zawsze wozi w bagażniku brezentową płachtę, bo czasami sobie ćwiczy na łonie przyrody – pocieszyła ją Lala. – Rozłożę na siedzeniu i nic się uświni. Chodźmy.

Lala wyjęła z bagażnika płachtę, o której mówiła, i wyścieliła nią tylne siedzenie. Cała czwórka najpierw zapamiętała wycierała zabłocone obuwie o resztki zeszłorocznej trawy porastającej pobocze, potem zapakowała się do

samochoodu i wreszcie opuściła miejsce Iryskowego przestępstwa, wywożąc ze sobą złośliwego pipcika i upragnione dowody.

– Rany boskie! Już po szóstej! – Malwina z popłochem spojrzała na zegarek. – Żebym tylko zdążyła! Mój zięć chyba złośliwie wstaje o takich upiornych godzinach... Piotruła, pójdziesz ze mną! Muszę złazić tyłem. Potrzywasz mnie za ręce, żebym rumoru nie narobiła. Chodź!

Piotruś westchnął i bez słowa udał się za ciotką. Zaparkowali dwa domy wcześniej, obawiając się, że Irysek może rozpoznać złoczyńców po strojach. Wprawdzie Eliza była zdania, że przerażenie stępiło mu bystrość umysłu, o ile takową posiadał, ale woleli nie ryzykować.

– Idź za mną – poleciła Malwina. – Tyłek mam w błocie. Ludzie już zaczynają łązić na poranne zakupy, lepiej, żeby nikt nie zauważył... Święta Rito, pomóż – mamrotała pod nosem. – Żebym tylko nikogo nie spotkała po drodze...

Inwokacja zaintrygowała Piotrusia.

– Dlaczego święta Rito? – zapytał, posłusznie osłaniając zabłocone tyły ciotki. – Ona jest od niechcianych spotkań? Nie słyszałem o takiej.

– Ona jest od rzeczy niemożliwych – wyjaśniła krótko Malwina i ostrożnie uchyliła furtkę. – Teraz cicho... Otwarte, dzięki Bogu. Mam nadzieję, że śpią... Piotruła – wyszeptala – stanę tyłem do okienka. Przytrzymasz mnie za ręce, a ja się będę spuszczać w dół. Rozumiesz?

– Pewnie, że rozumiem. Wyglądam na głupiego? – obraził się Piotruś.

– Dobra. Czekaj! Najpierw się wpasuję w to okienko...

Malwina uklękła na chodniczku, przekreśliła pasek na szyi tak, by kamera znalazła się z tyłu i podpierając się rękami, wetknęła nogi w otwór, a Piotruś przykucnął przed nią, w każdej chwili gotów do pomocy. Nogi weszły bez problemu, dopiero przy biodrach się zaklinowała.

– Teraz!

Trzymana krzepko przez Piotrusia przypomniła sobie tańczoną w młodości sambę i zaczęła wykonywać biodrami węzowe ruchy. Włożyła w tę czynność całą pasję, bo przed oczami stanął jej ten cholerny Pędziwiatr, który sambą w jej wykonaniu tak się zachwycił, że zaczął ją podrywać. Malwinę, nie sambę. A kiedy już porządnie poderwał, zostawił.

Biodra przeszły i Malwina z ulgą kiwnęła na Piotrusia, by ją puścił. Uchwyciła się framugi, sprawdzając jednocześnie nogami, czy ma pod sobą jakieś stabilne podłoże. Kiedy wychodziła, skorzystała z miednicy ustawionej odwrotnie na starym krześle. Krzesło nogi miało, ale samo nie chodziło, w związku z czym powinno być w tym samym miejscu i trwać na stanowisku. Trwało. Malwina z ulgą poczuła pod stopami stabilne podłoże. Wydawało jej się wprawdzie, że znajduje się nieco niżej, niż zakładała, i jest dziwnie miękkie, ale nie zawracała sobie tym głowy. Najważniejsze było, że znajdowała się we własnym domu. Teraz tylko musiała się umyć, przebrać i już mogła pokazać się dzieciom w zwykłej roli pracowitej mamuni przyrządzającej śniadanie.

– Stoję – poinformowała z ulgą Piotrusia.

W tym samym momencie oboje usłyszeli zdumiony męski głos:

– Co to ma znaczyć?!

W Piotrusia jakby grom strzelił. Przypomniał sobie, że zięć Malwiny jest policjantem. Nie czekał na dalszy rozwój sytuacji. Uciekł w popłochu.

Łukasz wstał wcześniej, bo zamierzał zrobić żonie niespodziankę. Luka wczoraj do późna siedziała przy komputerze, szukając wiadomości, które mogłaby wykorzystać w swoim artykule. Dopiero, kiedy się kładła, przypomniała sobie, że koszule małżonka domagają się prania. Łukasz pocieszył ją, że jeden dzień wytrzyma, ale Lukrecja postanowiła wstać

możliwie rano, by odpracować niedociągnięcie. Kochający małżonek uznał, że powinna odespać nocne poszukiwania, a ponieważ i tak z reguły wstawał wcześniej, postanowił sam zająć się praniem. Obsługę pralki miał opanowaną, a prace domowe specjalnie go nie brzydziły.

Kiedy zszedł do pralni, rzucił mu się w oczy dziwny nieład. Uchylone okienko go nie zdziwiło, bo uważał, że wietrzenie nie zaszkodzi piwnicy. Zaskoczył go natomiast widok odwróconej miednicy umieszczonej na starym krześle, którego używała czasami teściowa. Bywało, że oczekując na zakończenie „programu pralnego” – jak napisano w jednej z instrukcji – siadała na owym krześle, przeglądając stare gazety.

Łukasz zadumał się nad tą tajemniczą konstrukcją, ale po chwili wzruszył ramionami i pochylił się nad koszem z brudami. Spośród sterty ciuchów wydobywał swoje koszule i wrzucał je do miednicy, którą wcześniej odwrócił. Trochę mu to czasu zajęło, bo był dokładny i chciał się upewnić, czy niczego nie przeoczył.

Właśnie miał zamiar przenieść miednicę na pralkę, by włożyć jej zawartość do bębna, gdy wydarzyło się coś, co go ogłuszyło. Nagle w okienku pojawiły się ludzkie nogi. Stopy obute były w dość brudne adidas, a spodnie od dresu były zapaćkane błotem. W pierwszej chwili przemknęło mu przez głowę, że jakiś kraśnicki złodziejaszek próbuje wykorzystać okazję. Opanował zaskoczenie i czekał cierpliwie, aż ukaże się pozostała część intruza.

Osoba tkwiąca w okienku zaczęła wykonywać dziwaczne ruchy i Łukasz domyślił się, że ma trudności z przepchnięciem się przez niewielki otwór. Wreszcie pokazały się biodra i Szczęsny zdumiał się jeszcze bardziej, bo tylna część opinających je spodni pokryta była warstwą zaschniętego błota osypującego się teraz na tkwiące w miednicy koszule. W dodatku

biodra wyglądały na przynależne do płci pięknej.

Nogi przez moment macały bezradnie przestrzeń poniżej, po czym zakotwiczyły w miednicy, a Łukasz ujrzał resztę osoby i – mimo zaplątanych we włosach zeschniętych liści – rozpoznał teściową. Po koafiurze i po przerzuconej na plecy kamerze, którą miał ją wczoraj w rękach, bo Malwina prosiła, żeby sprawdził, czy dobrze działa.

Rany boskie, dlaczego jego teściowa uprawia te dziwne akrobacje, zamiast normalnie wejść przez drzwi? Zgubiła klucze? Gdzie ona w ogóle wychodziła o tej porze? Do sklepu? Z kamerą?! I czemu, na litość boską, dewastuje jego osobiste koszule?!

Łukasza odblokowało i zadał jedyne pytanie, jakie mu przyszło do głowy:

– Co to ma znaczyć?!

Stojąca w miednicy Malwina odwróciła się gwałtownie. W odruchu całkowitego zaskoczenia i paniki przyłożyła dłoń do serca, gibnęła się lekko, ale utrzymała równowagę, i skamieniała, patrząc na zięcia ze zgrozą. Nie zdążyła przygotować sobie alibi w razie niespodziewanej wpadki.

– Cco tu robisz o tej porze? – wykrztusiła wreszcie.

– A mama? – zapytał surowo Łukasz.

– S... stoję sobie – odparła Malwina idiotycznie, bo w głowie miała kompletną pustkę, a odpowiedź narzucała się sama.

– W miednicy?! I na moich koszulach?!

Malwina spojrzała pod nogi i pośpiesznie wylazła z miednicy na stabilną posadzkę.

– Dlaczego mama wchodzi do domu przez okno? – dociekał Łukasz.

Malwinie przelatywały przez głowę różne wersje odpowiedzi, ale żadna jej nie zadowalała. Idiotki robić z siebie nie zamierzała.

Błyskawicznie przemyślała wszystkie możliwości i postanowiła trzymać się jak najbliżej prawdy.

– Bo nie chciałam was budzić – powiedziała uczciwie. – Te drzwi wejściowe skrzypią. Powinieneś się nimi zająć.

– A gdybyśmy się obudzili, to co? – zainteresował się Łukasz. – Nikt mamy na siłę w zamknięciu nie trzyma. Może mama wychodzić bez problemów.

Ewentualnie zostawić kartkę, żebyśmy się nie martwili. Po co te tajemnice?

Malwinie przemknęło przez głowę, że w zasadzie mogłaby się przyznać do zdemaskowania Iryska. Dowody miała na filmie, który przez Łukasza pewnie szybciej dotarłby do prokuratora. O współnikach milczałaby jak grób i może cała sprawa rozeszłaby się po kościach. Zięć pewnie nie ogłaszałby całemu światu, że jego teściowa popełniła przestępstwo... E tam, przestępstwo. Wykroczenie najwyżej. Niczego temu parszywcowi nie ukradli, po mordzie też nie dostał... Podjęła decyzję.

– Nastaw to pranie, synku, i chodź na górę. To trochę potrwa, bo muszę się doprowadzić do porządku. Opowiem ci przy śniadaniu.

– Myślałam, że będzie gorzej – powiedziała Malwina, siadając obok przyjaciółki, która złożyła jej wizytę ponaglona telefonem i solennie zapewniona, że nikt jej nie aresztuje. – Zrobiłam ci kawę, bo ziewasz jak hipopotam.

– O czwartej wstałam! – obraziła się Eliza. – Jeśli jest jakieś zwierzę z paszczą większą niż hipopotam, to mam prawo ziewać tak jak ono! – Podmuchała na parującą kawę, upiła łyk i z niechęcią powiedziała: – Właśnie doszłam do wniosku, że nie nadaję się na przestępcę. Jestem za wygodna. Oni działają przeważnie ciemną nocą albo bladym świtem. Mnie

by się nie chciało na dłuższą metę.

– Nie wszyscy – zauważyła po namyśle Malwina. – Na banki przeważnie napadają w biały dzień. Łatwiej, bo otwarte i nie muszą się włamywać.

– To ja bym chętnie napadła na bank – rozmarzyła się Eliza i westchnęła. – Tylko musiałabym mieć pewność, że ukradnę to, co chcę, i że mnie nie złapią.

– Ukradłabyś bez problemu. Na widok twojej kominiarki cały personel dostałaby ataku śmiechu, a ty mogłabyś spokojnie rabować... Odczep się od tych banków! Iryska mamy z głowy! Całkowicie!

– Bo co? Jak dzwoniłaś, kazałaś Piotruś od razu wrzucić mój film do sieci, ale nie wiem...

– Wrzucił?

– Wrzucił, ale...

– Bardzo dobrze – oznajmiła z satysfakcją Malwina. – Już się nie da pozamiatać... Słuchaj. Jak mnie zięć przydybał w tej pralni, przyszło mi do głowy, że przyznam się do wszystkiego i...

– Powiedziałaś mu o nas?! I o tym parszywcu, który wziął nas za kosmitów?!

– Czy ja wyglądam na głupią? – obrazila się Malwina. – Słowem o was nie pisnęłam. Pokazałam zięciowi film i powiedziałam uczciwie, że owszem miałam współników, ale ich nie wydaję, nawet gdyby mnie piłą rżnęli...

– „Mego ojca piłą rżnęli” – wyrwało się ze zgrozą Elizie, ale zaraz podejrzliwie zapytała: – I co? Odpuścił? Nie maglował cię na ten temat?

– Mój zięć już się nauczył, że jeśli o czymś nie chcę mówić, to i ksiądz ode mnie nie wyciągnie – powiedziała wyniośle Malwina. –

Uzgodniliśmy zeznania i stanęło na tym, że on powie prokuratorowi, że ktoś mu podrzucił ten film i powiedział, gdzie te śmieci się znajdują...

– A nie poznają...

– Nie, bo Łukasz przegrał film na swojego laptopa, a potem na zapasową pamięć do kamery. Na niej nic więcej nie ma i nikt nie dojdzie, do kogo należy. Najwyżej mogą poznać typ kamery i to wszystko. Poza tym ich nie będzie raczej interesowało, kto to nakręcił, tylko kto w tym zagrał.

– A jak znowu go szef...

– Dlatego nie będzie tego podtykał szefowi, tylko dostarczy od razu prokuratorowi. Jerczyk podobno, jak ma dowody, działa jak burza.

– No, popatrz, jakie jesteśmy skuteczne – stwierdziła z głębokim zadowoleniem Eliza. – Skunksa zniechęciliśmy do hazardu i napadania, a Irysek pewnie do końca życia będzie omijał lasy. Uważam, że zasługujemy na medal...

– Ten parszywiec od śmieci – ściszył głos Piotruś, bo siedzieli z Lalą w ulubionej kawiarni – dostał grzywnę. Podobno wysoką. Nie zbiednieje od tego, ale ciotka mówiła, że już rannych przejazdów nie uprawia. Przez jakiś czas jeszcze czatowała na strychu. I na posesji postawił dwa kubły. Na widoku. Żeby się od niego odczepili.

– Nauczka podziałała – ucieszyła się Lala.

– No. A ciotka miała dodatkową radochę, bo któregoś dnia zaczepiła ją przed domem Iryskowa i zaczęła jęczeć, jacy to wredni sąsiedzi tu mieszkają. Bo oskarżyli jej męża i musiał karę zapłacić za niewinność. A przecież on cały czas ciężko pracuje, żeby rodzinę utrzymać, i do głowy by mu nie przyszedł taki wandalizm. Specjalnie kubły postawili od ulicy, żeby ci podlece zobaczyli, że mają.

– A co na to pani Malwina? – zachichotała Lala.

– Mówiła, że język ją strasznie świerzbił, ale się powstrzymała. Ludzie i tak swoje wiedzą. Sprawdziłem, że na naszej kraśnickiej stronie było sporo wejść na ten film. A Irysek podobno zyskał nową ksywę: Smieciarz... Rany, jak to dobrze, że one mają zajęcie – sapnął z ulgą Piotruś.

– Matula odrabia zaległości, bo niedługo się zacznie składanie PIT – ów, a ciotka już wynajęła lokal i szuka fachowców od remontów. Kazała mi wymyślić chwytliwą nazwę dla swojego sklepu. Ja się na tym nie znam!

– Ona chce sprzedawać domowe obiady, tak?

– No. Takie na kieszeń emerytów i rencistów... Mnie tylko jedno hasło przychodzi do głowy: „Babki, dziadki, tu obiadki”.

– Po polsku to nie brzmi dobrze – skarciła go Lala i zamyśliła się głęboko. – Może „Kuchnia domowa”, a pod spodem „Obiady na każdą kieszeń”? Zaraz, przecież córka pani Malwiny jest dziennikarką – przypomniała sobie. – Niech coś jej wymyśli.

Łukasz, przerażony działalnością teściowej, powtórzył wszystko małżonce i oboje zarządzili burzę mózgow. Jej efektem był wniosek, że jak najszybciej należy znaleźć Malwinie jakieś pożyteczne zajęcie. W związku z tym Luka spięła się i w ciągu tygodnia pokazała matce lokal, który Malwina zaaprobowała. Było w nim obszerne pomieszczenie nadające się na kuchnię i drugie mniejsze, w którym miał być sklep. Lokal wymagał remontu, dlatego Łukasz, wspomagany przez swojego ojca, wziął urlop i zabrał się do roboty. Oboje z Luką doszli do wniosku, że nie istnieje na świecie taka brygada remontowa, która sprosta wymaganiom Malwiny i wytrzyma jej krytykę. Jeśli lokal miał zostać odnowiony w miarę szybko, nie było innego wyjścia, jak tylko załatwić sprawę w rodzinnym gronie.

Szczesny znalazł się na tego typu robocie, bo pomagał szwagrowi odnawiać mieszkanie. Poza tym z natury był dokładny, więc istniała

nadzieja, że Malwinę ominą typowe dla wielu prywatnych ekip usterki i niedoróbki.

Przyszła właścicielka lokalu przeprowadzała w tym czasie rozpoznanie na rynku. Dotarło do niej, że zaopatrywanie się w kraśnickich sklepach nie będzie opłacalne, więc zwiedzała okoliczne hurtownie w poszukiwaniu tańszego źródła. Dokładnie wiedziała, czego chce, nie bawiła się w wersal, zamierzała za towar płacić gotówką i już po miesiącu miała podpisane umowy z dostawcami.

Wszystkie formalności związane z rejestracją firmy również udało jej się załatwić w miarę szybko i bezboleśnie. Nie dlatego że w Kraśniku urzędy były wyjątkowo przyjazne dla przedsiębiorców, lecz z powodu obecności Lukrecji, która wszędzie z nią chodziła i podtykała urzędnikom legitymację prasową, wyjaśniając, że właśnie pisze artykuł na temat lokalnego biznesu.

Malwina dopiero w ZUS – ie zrobiła porządną awanturę, kiedy nadęte swoją ważnością, nieprzyjemne urzędniczki poinformowały ją o wysokości składek za ewentualnych pracowników.

– Wy tu prowadzicie rabunkową gospodarke! – oznajmiła donośnie i potoczyła wzrokiem po pozostałych petentach sprawiających wrażenie zrezygnowanych i potulnych. – Wam się wydaje, że ja na złocie sypiam?! Nie zakładam interesu po to, żeby do niego dokładać, tylko po to, żeby zarobić! Jeśli ja zarobię i zapłacę podatek, to na mnie z kolei zarobi państwo! Z tym się mogę pogodzić, ale nie widzę powodu, żebym miała utrzymywać was! Za co mam płacić?! Za to, że godzinę straciłam, żeby się w końcu czegoś dowiedzieć?! Wy tu jesteście dla ozdoby?!

Na szczęście dla obrażonych tyradą urzędniczek dalszą inwokację przerwała Eliza, która piętro wyżej załatwiała własne sprawy i właśnie

schodziła. Rozpoznawszy podniesiony głos przyjaciółki, zawróciła od drzwi, bez słowa ujęła purpurową ze złości Malwinę pod ramię i wyprowadziła przed budynek. Tu przeprowadziła stosowne szkolenie, w wyniku którego nowa kraśnicka bizneswoman zaparła się przy zatrudnieniu rencistek lub emerytek, byle nie płacić haraczu rabusiom z ZUS – u. Zrezygnowała też z natychmiastowego ukarania paskudnej instytucji napisem ZŁODZIEJE na nowej elewacji budynku i poprzestała na obraźliwych epitetach wygłoszonych głośno i jadowicie.

Eliza również na razie porzuciła myśl o prawej i sprawiedliwej obywatelskiej wendecie, bo przyjaciółka podpisała z nią umowę i dostarczyła duży plik faktur, które należało odpowiednio zaksięgować. Ogłoszenie w „Echu Kraśnika”, które zamieściła za poradą Malwiny, również zrobiło swoje i zgłosili się do niej nowi klienci przerażeni nadchodzącym wielkimi krokami terminem rozliczeń podatkowych. Dzięki temu Eliza z coraz większym optymizmem spoglądała w przyszłość, która dodatkowo miała przynieść formalne odcięcie się od Stasiulka.

Magister Piotr Barnaba podpierał ścianę w poczekalni kraśnickiej przychodni i marzył, żeby jak najprędzej znaleźć się we własnym łóżku, naciągnąć na siebie kołdrę i spać. Ekologiczna zemsta najwyraźniej nie przysłużyła się jego gardłu. Kiedy tabletki do ssania nie pomagały, matka telefonicznie wyciągnęła mu kartę i kazała natychmiast iść do lekarza. Nie protestował, bo życzył sobie jak najszybciej wrócić do zdrowia i spotykać z bóstem bez ryzyka, że je zarazi.

Jak powszechnie wiadomo, kobiety chorują. Mężczyźni natomiast chorują obłożnie. Tak było i z Piotrusiem. Oczy miał błyszczące od gorączki, gardło obolałe jakby ktoś umieścił w nim ruchomą żyłkę, w głowie mu huczało i trzęsły nim dreszcze. Z przyjemnością by usiadł, ale do

dyspozycji miał jedynie podłogę, ponieważ wszystkie miejsca siedzące obsiadły kraśniczanki w wieku popoborowym, które akurat dziś zdecydowały się na wizytę. Babcie sprawiały wrażenie irytująco zdrowych i energicznych. Dyskutowały żywo i ze znanstwem o swoich licznych dolegliwościach. Ledwo stojącego na nogach Piotrusia te dywagacje kompletnie nie obchodziły, ale drażniły go jazgotliwe głosy, które nieprzyjemnym echem odbijały się w jego obolałej głowie.

Prym wiodła wysuszona jak szczapa babulka, przeraźliwie wścibska i wszystkowiedząca. W zasadzie pozostałe pacjentki z powodzeniem mogły darować sobie wizytę u lekarza, bowiem niewiasta przeprowadziła szczegółowy wywiad na temat dolegliwości każdej z nich i udzieliła stosownej porady. Gdyby nie złe samopoczucie, Piotruś pewnie nieźle by się ubawił, jednakże głos babulki był dźwięczny i donośny jak u generała na polu walki i coraz bardziej go drażnił.

Oparł się wygodniej o ścianę z nadzieją, że jego poprzedniczka wyjdzie za chwilę z gabinetu i będzie mógł zająć jej miejsce, odcinając się od tego męczącego jazgotu. Pożałował, że nie pożyczył od matki zatyczek do uszu, wpatrzył się błagalnie w drzwi i w tym momencie babulka dobrała się do niego.

– A kawalerowi co dolega? – zapytała rażno.

Piotruś nie potrafił udawać, że nie słyszy, bo matka od małego wpajała mu grzeczność wobec osób starszych. Jednakże na samą myśl, że miałby dyskutować z pyską babulką o swoich problemach zdrowotnych, a potem jeszcze wysłuchać na emeryckim forum stosownej porady, zrobiło mu się niedobrze. Umysł mu działał trochę wolno, więc w popłochu usiłował wymyślić coś, co by samozwańczą medyczkę zniechęciło do przesłuchania. Już zamierzał pokazać na gardło, by dać niewieście do zrozumienia, że nie

może mówić, gdy coś mu nagle przyszło do głowy. Resztką sił zmobilizował się, by oderwać się od ściany, popatrzył na kobiecinę nienaturalnie błyszczącymi oczami i wychrypiał grzecznie:

– A ja jestem psychopata. Przyszedłem, bo wczoraj skończyły mi się leki, i mam obsesję, żeby kogoś zabić.

W tym momencie z gabinetu wyszła pacjentka i Piotruś z ulgą wszedł do środka. Kiedy po kwadransie wychodził z receptą, w poczekalni wciąż zalegała trwożna cisza.

Za oknem zapadał ciepły czerwcowy wieczór. Eliza siedziała przed telewizorem zadowolona i zrelaksowana. Z podwórka dobiegały piskliwe głosy dzieciaków, które do końca usiłowały wykorzystać sytuację, że ich matki najwyraźniej nie śpieszyły się z wołaniem ich do domów.

Eliza spędzała wieczór samotnie, ponieważ Piotruś i Lala udali się na spęd rodzinnej młodzieży, czyli organizowane na działce ognisko. Poinformowali ją, że wrócą prawdopodobnie dość późno, zakazali się martwić i pocieszyli, że mają ze sobą komórki. Doskonale pamiętała własną młodość i obsesyjną chęć wyrwania się spod kurateli rodziców, zatem nie zgłaszała sprzeciwów. Przez chwilę tylko pomyślała, że przyjemnie byłoby posiedzieć w opustoszałym mieszkaniu z przynależnym do niej mężczyzną, ale gdy mignęła jej przed oczami postać Stasiulka, zrezygnowała z pomysłu. Przed wyrzuceniem z domu małżonek, jeśli był trzeźwy – co zdarzało się nader rzadko – odsypiał, regenerując siły na kolejną pijatykę, bądź łąził rozziwiany po mieszkaniu, czochrając się jak goryl i narzekając na swój los. Nie, bez Stasiulka było o wiele przyjemniej, a następcy Eliza na razie nie zamierzała szukać.

Przełączyła telewizor na AXN, bo większość pozostałych kanałów z uporem maniaka pokazywała przekrzykujących się polityków, i zaczęła

oglądać kolejne śledztwo prowadzone z imponującym rozmachem przez porucznika Caine'a. Na ekranie jakiś bandzior o bardzo nieprzyjemnym wyrazie twarzy eliminował konkurencję przy pomocy własnego wyrobu ładunków wybuchowych. Porucznik usiłował go dopaść, nim konkurencja przestanie istnieć.

Eliza była zdania, że świat byłby lepszym miejscem do życia, gdyby bandziory wzajemnie się wykończyły, ale pogodziła się ze światopoglądem porucznika, który każde zabójstwo uważał za przestępstwo. Pogodziła się głównie dlatego, że miała słabość do rudych facetów. Ze wzdrgnąciem natomiast śledziła poczynania antypatycznego bandziora. Bogatsza o własne doświadczenia, szybko doszła do wniosku, że amerykański świat przestępczy składa się głównie z dewiantów i bałwanów. Wszak powszechnie wiadomo, że wszelkie materiały wybuchowe stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo dla jednostki ludzkiej. Głównie dlatego, że wybuchają w niestosownych momentach. Zamiast wyeliminować przeciwnika, można samemu w nieprzyjemnych okolicznościach opuścić ten padół. W dodatku zemsta, jeśli się już uda, jest może ostateczna, ale jaka nieekologiczna. Jakieś świństwa przenikają do atmosfery, giną przypadkowi ludzie, w dodatku widok może spowodować szok u świadków. No i w końcu, co to za przyjemność, kiedy wróg zginie? Niech cierpi, parszywiec jeden. Niech dostarcza kojącej satysfakcji. Po coś się przecież tego wroga ma! Przestępca inteligentny powinien odkryć słabe punkty przeciwnika i walić w nie jak w bęben. Jak najdłużej, żeby mu żywot skutecznie obrzydzić.

Rozważania Elizy przerwał dźwięk dzwonka. Przez chwilę nie mogła pojąć, co się dzieje. Wreszcie skojarzyła, że ktoś usiłuje złożyć jej wizytę. Zdziwiło ją, że o takiej porze i bez zapowiedzi, ale szybko doszła do wniosku, że pewnie sąsiadka czegoś potrzebuje lub przyszła się pożalić.

Wyciszyła dźwięk w telewizorze i udała się do przedpokoju. Przeżyła wstrząs. Po otwarciu drzwi stwierdziła, że stoi przed nią małżonek. Ubrany w wyprasowany garnitur, świeżą koszulę, pod krawatem. W dodatku wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jest trzeźwy jak nieużywany alkomat. Eliza była zdania, że w jej ukochanej ojczyźnie używany nie ma szans wytrzeźwieć, albowiem nie pozwala na to częstotliwość jego pracy.

– Wpuścisz mnie? – zapytał pokornie Stasiu – lek. – Porozmawiać chciałem. – Wyciągnął ku niej rękę z różą na przeraźliwie długiej łodydze. – To dla ciebie.

– Mamusia cię wysłała, żebyś mnie ugłaskał? – zainteresowała się z nutą złośliwości w głosie Eliza. – Jak już przyszedłeś, to wejdz. – Usłyszała szmery za sąsiednimi drzwiami i dodała dość głośno: – Pani Lepniewska, bo pani ucho do dziurki przyrośnie.

Wbiwszy szpilę wścibskiej sąsiadce, wzięła od męża kwiat i poprowadziła Stasiulka do kuchni, zastanawiając się po drodze, czy znajdzie odpowiednio wysokie naczynie. Po namyśle wyjęła z szafki butelkę po winie, które po akcji w parku wytrąbiły z Malwiną, naląła weń wody i wetknęła różę. Postawiła ozdobę na stole i przyjrzała się jej krytycznie. Róża przekrzywiła się ryzykownie, wywołując w Elizie obawę, że za chwilę ciecz z butelki rozleje się na blacie. Złapała więc nóż, udydoliła z trudem, bo narzędzie było tępe, porządny kawałek łądygi, sięgnęła po stojący na lodówce wąski flakon, napełniła go wodą i włożyła kwiat. Odpowiednio skrócony sprawiał o wiele przyjemniejsze wrażenie. Postawiła naczynie na stole, niepotrzebną butelkę zaś wstawiła do zlewu.

Stasiulek usiadł przy stole i w milczeniu przeczekiwał poczynania małżonki, tylko w pewnym momencie dostał lekkiego wytrzeszczu i w

oczach błysnęła mu zgroza.

– Słucham. – Eliza usiadła wreszcie naprzeciwko i spojrzała na niego bez odrobiny sentymentu. Dojrzała nagle panikę w jego oczach i nieco się zdziwiła, bo ostatecznie nie dzierżyła w dłoni żadnego morderczego narzędzia. – I cóż się tak na mnie wytrzeszczasz? – zapytała niecierpliwie. – Jak masz kaca, mogę ci zrobić herbaty. Na klina nie licz – dodała twardo.

Stasiulek wzdrygnął się lekko i potrząsnął głową.

– Liziu, ja nie piję – oznajmił pokornie. – Od dwóch miesięcy nie piję. Chodzę regularnie na AA. Pracę znalazłem. Dlatego przyszedłem – dokończył niepewnie. – Żeby ci powiedzieć.

Eliza wpatrywała się w niego sceptycznie. Już to przerabiała. Na wszystkie świętości przysięgał, że nigdy więcej, a po paru dniach zapominał o przyrzeczeniach.

– A cóż cię tak nagle odrzuciło? – zapytała nieufnie.

Stasiulek poczerwieniał.

– Będiesz się śmiała – wykrztusił speszony.

– Odmiana mi się przyda – warknęła Eliza. – Do tej pory przez ciebie płakałam. – Przezornie nie dodała, że głównie z bezsilności.

– Święty Mateusz mi się pokazał – wybąkał cicho Stasiulek i pośpiesznie wyjął z portfela obrazek ze świętym. – Zobacz. Tak wyglądał. Poznałem po brodzie, że to on. I aureolkę miał jak na tym obrazku.

Eliza w milczeniu popatrzyła na świętego i ugryzła się w język. Pewnie małżonek w pijanym widzie wziął za Mateusza jakiegoś Bogu ducha winnego człowieka, który litościwie mu pomógł.

– I co ci powiedział? – zapytała nieprzyjaźnie.

Stasiulkowi stanęła przed oczami wielka biała mysz i aż się wzdrygnął.

– Że jak będę dalej pił, to skończę jako świr – wyznał uczciwie.

– I tak od razu posłuchałeś? – zdziwiła się złośliwie Eliza.

– Nie od razu. – Stasiulek westchnął i spuścił głowę. Przypomniawsobie, że ocknął się w areszcie, gdzie został poinformowany, że cudem uniknął śmierci albo kalectwa. Kiedy komunikat dotarł do jego skacowanej świadomości, poczuł ogromną wdzięczność, że uniknął nieszczęścia i lekko przestraszony wrócił w rodzinne pielesze. – Przez dwa dni siedziałem w domu, żeby mnie nie skusiło, ale na trzeci mamusia wysłała mnie do sklepu i... Kolegów spotkałem... I znowu... Ale potem... To było w parku... – Eliza drgnęła i nastawiła uszu. – Wracałem od znajomego i... No, przysnąłem. Na ławce. Jak się obudziłem, zobaczyłem diabły. Kiwały na mnie. Chciały mnie zabrać do piekła... Liziu, ja jestem może głupi, ale wierzący. Całe życie mi przeleciało przed oczami. Jak z Piotrułą chodziłem na ryby, na mecze... Ja wiem, że to moja wina – wyznał pokornie. – Byliśmy dobrą rodziną, dopóki nie zacząłem pić... Piotruła, jak mnie widzi na ulicy, przechodzi na drugą stronę... Z dziewczyną go widziałem i wstydziałem się podejść... To nasze kraśnickie AA naprawdę pomaga. Ja wiem, że muszę sam, ale... Wygadać się można, poradzić... Tam ludzie już lata nie piją. Jeśli oni mogą, to dlaczego ja nie? Uparłem się teraz naprawdę.

Eliza na początku tej opowieści powstrzymywała śmiech, bo stanął jej przed oczami solowy występ Malwiny. Potem zaczęła uważnie słuchać i zrozumiała, że dzisiejsza opowieść małżonka różni się od poprzednich. Niczego jej nie obiecywał. Zrobiło to na niej wrażenie. Z zakamarków pamięci wypłynęły wspomnienia. Jak Stasiulek zajmował się kilkutygodniowym synem, bo ona złapała anginę i leżała obłożnie chora z wysoką gorączką. Jak mu tłumaczył zadania z matematyki i uczył posługiwania się atlasem. Jak we troje ubierali choinkę, podśpiewując kolędy... Pewnie, były i złe chwile. Jak ta, kiedy podjął z konta pieniądze

przeznaczone dla Piotrusia na stancję i przepił w ciągu jednej nocy...

– I co? – zapytała wrogo, bo znów poczuła tę samą złość, co wtedy. – Mam uwierzyć, że nie będziesz pił? Dwa miesiące to nie wieczność. Spotkasz kumpla i...

– Liziu, ja nie proszę, żebyście mnie przyjęli z powrotem. Wiem, że nie musicie mi uwierzyć. Też się boję. Ale gdybym miał wsparcie z waszej strony, byłoby mi może łatwiej... Miałbym jakiś cel – powiedział prosząco Stasiulek. – Mam pracę. W takiej firmie, co montuje nowe okna. Może być na razie, ale będę szukał czegoś innego. Mieszkam u mamusi. Muszę jej teraz pomóc, bo przeze mnie w długi wpadła. Powiedziała, że jak przestanę pić, zapisze mi swoje mieszkanie w testamencie. Jakbyś chciała... To moglibyśmy kiedyś zostawić Piotruli... Nie pcham się do was na siłę... Ale chciałbym wiedzieć... Może mnie syn na ślub zaprosi... Pogadać bym czasem chciał... A może ty... Masz kogoś? – przeraził się nagle.

Eliza poczuła urazę. Bałwan! Już rzeczywiście nie ma co robić, tylko rozglądać się za kolejnym nieudacznikiem!

– A w łeb chcesz? – zainteresowała się złowieszczo. – Czy ja wyglądam jak lafirynda? Skąd go miałam wziąć? Z nieba desantu nie było, a ja nie miałam czasu szukać na ulicy. Pieniądze musiałam zarabiać, bo jakoś żyć trzeba... Zaraz. – Przypomniała sobie dziwną minę małżonka. – Co cię tak zestresowało, jak wszedłeś? Bo minę miałeś taką, jakbyś diabła zobaczył?

Stasiulek poczerwieniał i wyjąkał nieszczęśliwym tonem:

– Bo tę butelkę zobaczyłem... I pomyślałem, że... No, wiesz... Że ty też... Przeze mnie...

– Zapomnij! – warknęła Eliza. – Nie mam zamiaru popadać w alkoholizm przez chłopa! Jeszcze nie zgłupiałam! Jak mi się trafią jakieś

wnuki, to co będzie za pożytek z pociągającej babuni?... Zaraz! – Wyprostowała się gwałtownie i rzuciła mu ostre spojrzenie. – A może ci mamusia powiedziała, że sprawę o rozwód chcę wnieść, i dlatego jesteś taki milutki?

– A chcesz? – W oczach Stasiulka mignął błysk popłochu. – Nie wiedziałem... Mamusia to mnie próbowała przekonać, żebym ja się z tobą rozwiódł. Ale to niemożliwe. Nie będę ci utrudniał, jeśli chcesz rozwodu, ale sam... Liziu, wiem, że... Nawet, jak piłem, nigdy mnie nie obchodziły inne kobiety... Wiem, że nie jestem wart..

– To bądź wreszcie, do cholery! – huknęła ze złością Eliza. – Przestań skamleć i weź się za siebie! Piotruła znalazł sobie dziewczynę! Może niedługo będzie się żenił! Pozbieraj się do kupy, bo nie ma czasu!

– To znaczy, że... – W oczach Stasiulka błysnęła nadzieja. – Nie, ja wiem, że to za wcześnie... – Wyprostował się i Eliza zobaczyła przed sobą tamtego chłopaka, w którym się kiedyś zakochała. – Liziu, zrobię wszystko... Może kiedyś powiesz, że mogę wrócić... Pozwól mi tylko was odwiedzać. Chciałbym pogadać z Piotrułą... Przeprosić...

– Idź już – przerwała sucho Eliza, bo przeraziła się, że zaraz się rozklei. – Muszę wszystko przemyśleć i naradzić się z Piotrułą. Przyjdź w niedzielę na obiad, to porozmawiamy. Może będzie Lala.

– To ta dziewczyna? To może kiedy indziej? – Stasiulek wyraźnie się przestraszył. – Najpierw bym chciał z wami...

– Dobra. Powiem Piotruli, żeby trochę wytrzymał. Niech się umówi na randkę po obiedzie – powiedziała miłosiernie Eliza i wstała. – A teraz już idź. Muszę pomyśleć.

Kiedy zamknęła drzwi za gościem, wróciła do kuchni, zaparzyła ukochaną herbatę i usiadła przy stole, patrząc w zadumie na samotną różę.

To pewne, że musi się naradzić z synem. Dorosły jest, niech podpowie, co powinna zrobić. Z jednej strony – choć nigdy by się do tego nie przyznała – tęskniła za tamtym Stasiulkiem, za którego wyszła. Mogła sobie Malwina pluć na cały męski ród, ale jakoś łatwiej kobiecie żyć, jeśli ma się na kim wesprzeć. Nie materialnie, tylko psychicznie. Kłopot podzielony na pół mniej uwiera. No, fakt. Malwina źle trafiła, bo Pędziwiatr miał mentalność nastolatka i lubił, żeby problemy rozwiązywali za niego inni. Stasiulek jakoś sobie radził, dopóki go nie zredukowali. Był trochę ciamajdowaty, ale wystarczyło go pchnąć we właściwą stronę i nie zbaczał z kursu.

Z drugiej strony... Pijący małżonek to było coś, czego miała dość na całe życie. Nie docierały do niego żadne argumenty, zachowywał się jak kompletny idiota. A najbardziej było jej wstyd, że dziecko na to patrzy.

W zasadzie... Może to nie taki głupi pomysł. Rzadko się trafia taka przyjemność, żeby chłop musiał od nowa starać się o względy. Niech sobie na razie siedzi u mamusi, a rodzinie składa wizyty towarzyskie. Odpada karmienie i pranie. Nie, żeby mu żałowała, ale pamiętała, jak mąż zachwalał jej kuchnię. Co cholernie denerwowało teściową. Może wreszcie doceni, jak mu we własnym domu dobrze było. No i to mieszkanie... Piotruś i Lala mieliby dobry start, a ona mogłaby się przenieść do Stasiulka. Rzecz jasna, po śmierci teściowej, bo w innym przypadku obie by się pozabijały. Kwestia dalekiej przyszłości. Teściowa należy do tego gatunku, który utrzymuje się przy życiu głównie dzięki paskudnemu charakterowi. Niech tam sobie żyje jak najdłużej, byle daleko od niej. Przed nią, Elizą, same przyjemności. Dochodzący małżonek bardzo jej do tego pasował. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Zdążyła się już przyzwyczaić, że dysponuje czasem wedle własnego uznania i nikt jej nie kontroluje. Osobników proszących się o porządną ekologiczną nauczkę w tym miasteczku nie brakuje. I

burmistrzowi dadzą radę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Niech wie, że mieszkańcy patrzą mu na ręce. Może niekoniecznie podejmą walkę za pomocą rycyny czy sprayu, ale na pewno jakiś sposób się znajdzie. Malwina pewnie będzie zajęta, ale we dwie z Lalą jakoś sobie poradzą. Dziewczyna ma znakomite pomysły i spryt. Piotruła będzie musiał zarabiać na utrzymanie, a one spróbują wyprostować parę wrednych charakterów. Szykowało się zajęcie na wiele lat. Może kiedyś wnuki pomogą? Po rodzicach i babci powinny mieć predyspozycje...

TTLR